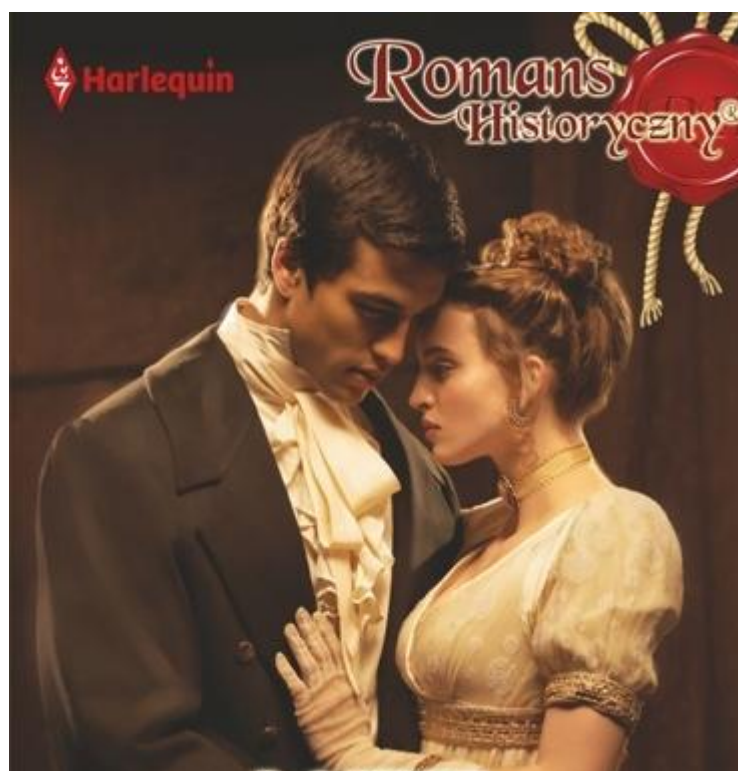




***Louise Allen***



***Anioł miłosierdzia***

# Prolog

*Lipiec 1808 r.*

- Północna Walia? - głucho powtórzyła Celina. - Meg, przecież to setki mil stąd! Nigdy więcej cię nie zobaczymy.

- Nie byłoby tak źle, gdybyśmy miały pewność, że będziesz szczęśliwa - dodała Arabella. - Ale babka cioteczna Caroline? Przecież to straszny odludek...

- I w dodatku brak jej piątej klepki - dodała Meg Shelley, przelękając łzy. - Szkoda, że nie wiecie, co wypisuje w tych okropnych listach, które trafiają do papy. Jest jeszcze gorsza od niego. - Uścisnęła ręce sióstr, po czym skrzywiła się z bólu, bo na spodach dłoni miała świeże pręgi po uderzeniach. - Wolałabym zostać z wami i znosić codzienne baty, niż jechać do niej.

- Może powinnaś solennie przysiąc papie, że już nigdy nie przeczytasz żadnej powieści? - Arabella przyjrzała się znoszonej koszuli, którą cerowała dla ubogich, po czym z westchnieniem wrzuciła ją do koszyka.

Meg spojrzała z czułością na starszą, już dziewiętnastoletnią siostrę, która za wszelką cenę usiłowała być dobrą córką i robić, co do niej należało, nie zważając na nieustanne połajanki i chłód ojca. Nie mogła pojąć, jak Arabelli udaje się ta sztuka. Bardzo wątpliwe, by sama kiedykolwiek stała się równie pocziwa i uległa.

- A raczej żadnej książki z wyjątkiem Biblii - rzuciła z goryczą. - Jeśli mam nie czytać, pozostają mi spacer, uprawa kwiatków lub też konwersacje i śpiew. No, akurat śpiewać nie umiem - dodała autoironicznie. - Przecież nie mogę obiecać, że przestanę myśleć i porzucę to wszystko, co sprawia mi przyjemność! Szybko bym oszalała, ja to się stało z babcią Caroline. Ciężka praca mnie nie przeraża, nie mam nic przeciwko praniu, cerowaniu czy sprzątaniu. Nie przeszkadzają mi też modlitwy. Nie rozumiem jednak, jak można wymierzać kary za pragnienie radości i umiłowanie piękna...

- A ja nie pojmuję tego, co papa powiedział o mamie - wtrąciła ponuro Celina. - Jak może mówić, że w naszych żyłach płynie jej zła, grzeszna krew? Przecież mama nie była grzesznicą.

- Źle z nim, odkąd umarła. - Arabella nerwowo zerknęła ku drzwiom w obawie, że wielebny Shelley zaraz stanie na progu, wymachując różgą.

Meg pokręciła głową. Rozmawiały o tym już wiele razy, wciąż jednak nie mogły zrozumieć, co takiego zmieniło ich poważnego i surowego, ale rozsądnego i sprawiedliwego ojca w zgorzkniałego i podejrzliwego tyrana. Stało się to wtedy, gdy owdowiał, ale sama śmierć jego żony, a ich matki, nie wystarczała za wytłumaczenie. Coś jeszcze musiało za tym stać.

- Papa twierdzi, że babka Caroline podupada na zdrowiu, muszę więc jechać, by zapewnić jej opiekę w bolesti i podnieść na duchu. Oczywiście mogłaby zatrudnić tuzin pielęgniarek i dam do towarzystwa, przecież ma na to środki, ale papa wykorzystał jej chorobę, by mnie ukarać. To jasne jak słońce, że wszystkim nam lepiej żyłoby się w klasztorze. Ty, Bello, masz zatroszczyć się o papę, gdy osiągnie podeszły wiek. Ty, Lino, wyjdiesz za pastora, o ile papa znajdzie kogoś odpowiednio ponurego i purytańskiego. Ja jednak jestem mu tylko zawalidrogą, więc usuwa mnie z pola widzenia.

- Tak... Tylko co możemy zrobić? - wyszeptała Celina.

Meg ciężko westchnęła. Celina, śliczna i urocza siedemnastoletnia panna, szybko zwiędnie skazana na harówkę i chłód, chyba że się zbuntuje i całkiem odmieni swoje życie. Niestety wszystko wskazywało na to, że nie jest zdolna do czegoś takiego.

Jakby na komendę siostry spojrzały na haft wiszący nad zimnym piecem. Arabella wykonała pierwszy wers, Meg wyszyła drugi, a Celina zajęła się krzyżykowym obrzeżem. Na płótnie widniało ulubione powiedzenie wielebnego Shelleya, w którego prawdziwość wierzył z całego serca:

*Kobieta jest córką Ewy,*

*Zrodzonym z grzechu naczyniem grzechu.*

- Czyżbym słyszała stukot końskich kopyt? - Meg otworzyła okno na oścież, nie kryjąc podniecenia, że wreszcie coś się dzieje.

Spod okapów domu pastora w Martinsdene, gdzie dawniej mieściła się szkoła, widać było zarówno kościół, jak i zieloną wioskę. Meg wychyliła się tak bardzo, że niemal leżała na parapecie.

- Och, nie rób tego! - Celina jeszcze bardziej puściły nerwy, gdy Meg kompletnie ją zignorowała. - Nie rób, powtarzam! Przecież wiesz, jak zezłościł się papa, gdy zobaczył, że wychylamy się z okna. Nazwał nas prostytutkami z gminu.

- Ależ to James! - Meg poczuła dziwny ucisk w dołku i doszła do wniosku, że tak musi objawiać się wielka miłość. - Wreszcie wrócił do domu. Spójrzcie, jest w mundurze! Zatem wstąpił do armii, jak zapowiadał, wbrew zakazowi pana Halgate'a. Wygląda niebywale elegancko. Bello, nie sądzisz, że do twarzy mu w uniformie?

- James Halgate może sobie wyglądać niczym Adonis i być młodym dżentelmenem z dobrego domu, lecz zupełnie nic z tego nie wynika. - Zdrowy rozsądek Arabelli był równie przewidywalny, jak nerwowe reakcje Celiny. - Meg, przecież doskonale wiesz, że papa nie pozwoli, by złożył nam wizytę. Wolę nie myśleć, co by było, gdybyś znów spróbowała wymknąć się na spotkanie z Jamesem. Przecież nie zapomniałaś, co wtedy się stało. Papa zamknął cię na strychu i przez okrągły tydzień trzymał o chlebie i wodzie...

Meg wychyliła się jeszcze bardziej, pomachała ręką i krzyknęła:

- James musi mnie zobaczyć! - A gdy młodsza siostra dołączyła do niej, zawołała z entuzjazmem: - Tylko spójrz na niego!

Celina uśmiechnęła się z aprobatą.

- To prawda, wygląda wspaniale. - Po tym wyznaniu nerwowo zerknęła na drzwi. - Pan Halgate może być będzie dumny z takiego syna i zapewne wybaczy mu ten rok spędzony w Londynie, z dala od majątku.

- Zauważył mnie - wyszeptała Meg, a jej serce na moment zamarło.

Często w nocy, zamiast zasnąć po dniu wypełnionym pracą, rozmyślała o ukochałym z dzieciństwa. Nadal czuła się jak wtedy, gdy wyjechał. To oczywiste, że kochała Jamesa, dlatego wciąż wspominała pola jaskrów, po którym biegali w słońcu, trzymając się za ręce i wymieniając niewinne pocałunki. Chociaż, gdy się nad tym dobrze zastanowić, jego pocałunki wcale nie były takie niewinne.

James ściągnął wodze, zdjął czako i pomachał nim do pańienek wyglądających z okna, bacznie przy tym zerkając na boki. Wszyscy w Martinsdene znali poglądy wiele-

bnego Shelleya na wychowanie dziewcząt i wiedzieli, jak czujnie strzeże swoich córek, które dorastały bez matki.

Gdy wskazał ręką strumień po drugiej stronie ulicy, zdumiona Celina spytała:

- Cóż on takiego robi?

- Daje mi znak, że zostawi wiadomość w starej wierzbie, jak kiedyś. - Meg przycisnęła dłonie do piersi, lecz jej serce wciąż tłukło się jak dziki ptak w klatce. - Pragnie spotkać się ze mną. - Czyżby jej marzenia miały się ziścić? Czy przybył po nią bajkowy rycerz w lśniącej zbroi, aby wdrapać się po zamkowych murach, wyrąbać drogę przez cierniste zarośla i porwać ją, swą wybrankę, aby mogli żyć razem długo i szczęśliwie?

Patrzyła, jak gniada klacz kroczy stępą uliczką. Gdy znikła jej z oczu, powróciła do stołu i w niepohamowanym odruchu kopnęła koszyk z przyborami do szycia, żeby nie widzieć go chociaż przez chwilę.

- Och, Meg, czy nadal darzysz Jamesa uczuciem? - spytała Arabella współczującym, lecz jednocześnie nieco rozdrażnionym głosem. - Dobrze wiesz, że dostaniesz od papy baty, jeśli się o tym dowie.

- Nic sobie z tego nie robię. - Meg opadła na krzesło i wykrzywiła usta, jakby miała się rozplakać. Nie bała się różgi. Chłosta była bolesna i upokarzająca, lecz podczas wymierzania kary Meg zawsze uciekała w świat fantazji. - Gdyby tylko darzył nas choć odrobiną zaufania, nie musiałabym wymykać się po kryjomu. Przecież skończyłam już osiemnaście lat i mam prawo do własnego zdania, a najważniejsze, że kocham Jamesa. Zawsze go kochałam. Jesteśmy sobie pisani, gdyż odwzajemnia moją miłość. Pytam więc, gdzie tu grzech? - Jakie zło kryła w sobie miłość, skoro ojciec stawiał ją na równi z takimi przestępstwami, jak złodziejstwo czy zabójstwo? Kilka lat temu Meg zadała mu to pytanie, a potem przez tydzień nie mogła usiąść.

- Grzeszysz tylko dlatego, że przeciwstawiasz się woli papy - w zadumie odparła Arabella. - Tak to wygląda z jego strony, ale przecież ty i James idealnie pasujecie do siebie, a wasz związek wydaje się absolutnie stosowny. Celino, mogłabyś pobiec do kucharki i poprosić o dzbanek lemoniady?

W spokojnym głosie siostry pobrzmiwał nieznany ton, który sprawił, że Meg poczuła ciarki. Czyżby mogła mieć nadzieję?

Gdy zostały same, Arabella powiedziała z powagą:

- Meg, ojciec karze cię najczęściej i najsurowiej, gdyż jesteś romantyczną marzycielką. Życie daleko stąd, w towarzystwie babki Caroline, byłoby dla ciebie koszmarem. Jeśli James kocha cię szczerze i pragnie ożenić się z tobą, pomogę ci, jak tylko potrafię. Nie wolno nam jednak nic mówić Celinie, bo tylko dzięki naszej dyskrecji będzie mogła przysiąc, że o niczym nie wiedziała. Ze mną jest jeszcze inaczej. Ponieważ nigdy nie robię nic złego, papa nie będzie podejrzewał, że maczałam w tym palce.

Meg nie wierzyła własnym uszom. Zatem mogła liczyć na pomoc siostry! Przepęłniały ją radość i zachwyty, ale także świadomość utraty tego, co dotąd uważała za najcenniejsze. Na szczęście siostry nie miały zniknąć z jej życia bezpowrotnie, jak mama. Arabella i Celina pozostaną nieopodal, więc będzie miała okazję je widywać.

- Bello, dziękuję! - westchnęła oszołomiona. - Tylko jak mogę zostawić was obie...

- Gdyby nasz dom był normalny, i tak wkrótce byśmy się rozstały. Każda z nas znalazłaby męża i zamieszkałaby pod nowym dachem. Będziemy za tobą tęskniły, kochana, zarazem jednak zrobi się tu spokojniej, gdyż papa nie będzie miał z kim się kłócić. Dzięki temu Celina przestanie tak się denerwować. - Arabella zacisnęła palce na dłoni Meg. - Ale najważniejsze jest to, że szczerze pragnę twojego szczęścia, siostrzyczko. Oczywiście James będzie musiał przysiąc, że masz ojcowską zgodę, ale po ślubie nawet papa nie będzie robił trudności. Pomyśl, na jaki skandal naraziłby się swoim sprzeciwem!

- Dobrze do siebie pasujemy - oświadczyła Meg z zapalem. - Nie będzie żadnego skandalu, jeśli weźmiemy ślub. James na pewno wyjedzie za granicę. Podejrzałam w gazecie papy, że nasze wojska wyruszają na Półwysep Iberyjski. Jeśli James trafi do Portugalii, wyruszę wraz z nim. Och, mogą minąć lata, nim znów się spotkamy!

Arabella uścisnęła siostrę tak serdecznie, jakby już się żegnały.

- Gdyby papa zesłał cię do Walii, tak samo byśmy się nie widziały przez długie lata. Wiesz, że pragnę twojego szczęścia. Przekonajmy się najpierw, czy James ci się oświadczy. Jeśli tak, to miłość z pewnością zwycięży. Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość.

# Rozdział pierwszy

*20 kwietnia 1814 r.*

*Bordeaux, Francja*

Bryza znad morza w ujściu Żyrondy była tak chłodna, że Meg starannie owinęła ramiona szalem. Od dawna nie miała nic w ustach, a torba z pelisą zaginęła na polu bitwy w Tuluzie. Trzęsła się z zimna i głodu, nie ze strachu.

Nabrzeżem jacyś ludzie zmierzali do statku, który wkrótce odpływał do Anglii. Meg wyprostowała się i uniosła brodę. Wiedziała, że musi prezentować się szacownie, elegancko i godnie. Nikt nie powinien się domyślić, iż jest w potrzebie. Któryś z pasażerów z pewnością potrzebował kogoś do pomocy podczas rejsu. Pytanie tylko, czy będzie gotów opłacić jej podróż w zamian za wsparcie? Plan Meg nie był pozbawiony wad, ale żaden inny nie przychodził jej do głowy.

Po chwili minął ją wysoki dżentelmen, który szedł pod ramię z elegancką damą. Za nimi kroczyli objuczeni bagażami kamerdyner oraz pokojówka. Tacy ludzie z pewnością nie potrzebowali dodatkowej osoby na posługi. Meg zwróciła też uwagę na przeciętnie ubranego mężczyznę w średnim wieku, z walizką w dłoni i sekretarzem u boku. Nie ulegało wątpliwości, że podróżował w interesach.

Po chwili zza wózka wypełnionego bagażem wyłonił się następny pasażer, tak nietypowy, że Meg cofnęła się z zabobonnym strachem. Przez chwilę wydawało się jej, że widzi samą śmierć, która w świetle wiosennego dnia kuśtyka po nabrzeżu.

Otrząsnęła się i ze złością pomyślała, że musi wziąć się w garść. Nieznajomy bez wątpienia był zwykłym człowiekiem z krwi i kości, tyle tylko że jakby dominował nad innymi, a to ze względu na wysoki wzrost oraz niecodzienny wygląd. Mocno zbudowany, miał na sobie ciemnozielony mundur strzelca. Szedł z gołą głową i szpadą u boku, a czerwona oficerska szarfa była poplamiona i poczerniała. Co niezwykle dla oficera, niósł przewieszony przez ramię karabin. Prawą nogawkę miał przeciętą, by pomieścić wiele warstw bandażu tuż ponad kolanem, dlatego też przy każdym kroku spodnie łopotały wokół czarnego buta z wysoką cholewą.

Miał kruczoczarne włosy i cień zarostu na szczęce. Rozglądał się czujnie po nabrzeżu, jakby wypatrując nieprzyjacielskiego snajpera, a zmrużone oczy groźnie lśniły w słońcu. Był wysoki, brudny i ranny, ale nawet gdyby doprowadził się do porządku, i tak nikt nie nazwałby go przystojnym mężczyzną. Wielki nos z pewnością kiedyś został złamany, szczęka była niemal kwadratowa, a ciemne, nieco skośne oczy pod grubymi brwiami wyglądały wręcz szatańsko. Nic dziwnego, że na pierwszy rzut oka skojarzył się Meg ze śmiercią.

Kiedy jego wzrok padł na nią, z trudem zachowała spokój. Z pozorną obojętnością odwzajemniła spojrzenie, lecz zaraz odwróciła głowę. Przez lata wojennej tułaczki nauczyła się błyskawicznie oceniać mężczyzn, a teraz doświadczenie podpowiedziało jej, że ma do czynienia z kimś nad wyraz niebezpiecznym.

Gdy ją minął, dostrzegła, że podąża za nim bagażowy z wózkiem, na którym stał kufer oraz kilka podniszczonych toreb. Meg dowiedziała się wczoraj, że po kapitulacji Napoleona część brygady strzelców wyrusza prosto do Ameryki, jednak ten oficer nie był zdolny do dalszej walki, było więc prawie pewne, że jak i ona wracał do domu.

Do Anglii, poprawiła się w myślach. Czy mogła jeszcze nazywać ten kraj swoim domem? Opuściła go tak dawno, że wydawał się jej jeszcze bardziej obcy niż Hiszpania. Tam jednak mieszkały jej siostry i musiała je znaleźć.

Pasażerowie napływali nieprzerwanym strumieniem. Meg doszła do wniosku, że powinna zapomnieć o ponurym oficerze i skupić uwagę na innych ludziach. Nagle ujrzała kogoś, kto wydawał się spełniać wszystkie jej oczekiwania. Do statku zmierzała elegancko ubrana Hiszpanka lub Portugalka z trójką... nie, z czwórką dzieci i z pokojówką, która trzymała na rękach piątą, drąca się wniebogłosy pociechę. Meg zmusiła się do pogodnego uśmiechu i z pełną szacunku miną ruszyła na powitanie damy, która nie kryła wielkiego zmęczenia.

- Hura! - krzyknął mały chłopiec i przebiegł obok Meg, ścigając obręcz, która hałaśliwie toczyła się po bruku.

Po latach obcowania ze śmiercią i zagładą Meg z radością powiodła wzrokiem za szczęśliwym i rozbawionym dzieckiem.



- José! Uważaj na panią! Wracaj natychmiast! - zawołała udreńczonym głosem matka chłopca.

Meg modliła się w duchu, by przyjęła jej ofertę.

- Madame, przepraszam, czy mogę pani jakoś pomóc? - spytała po hiszpańsku. - Widzę, że ma pani gromadkę dzieci, a ja...

- José!

Nagle rozległ się plusk. Meg błyskawicznie się odwróciła, lecz nie ujrzała już dziecka, tylko samą obręcz, która upadła na skraju nabrzeża. Bez namysłu uniosła suknię i pędem rzuciła się przed siebie. Pomyślała, że na wodzie z pewnością znajdzie łódź, lecz pięć jardów niżej zobaczyła wir i zrozumiała, że nie tylko nie ma tam żadnej łodzi, lecz w dodatku trwa odpływ i poziom wody raptownie się obniża. Na nabrzeżu nie dostrzegła schodów. W takich warunkach nie mogłaby zanurkować, nikt nie miałby szansy przeżyć w kipieli.

Z wiru wyłoniła się dziecięca główka, lecz po sekundzie znikła ponownie. Meg bezradnie biegła wzdłuż nabrzeża, usiłując śledzić w wodzie chłopca. Gdzie się podzieli wszyscy? I dlaczego zapomniała, jak wzywać pomocy po francusku?

Nagle ktoś minął ją pędem i wskoczył do wody, zanurzając się w rzece tuż za chłopcem.

- *Aidez-moi!* - wrzasnęła Meg na widok ludzi zmierzających w jej stronę. - *Une corde! Vite!*

Nieznajomy błyskawicznie wyłowił chłopca. Meg przez cały czas biegła brzegiem i ciężko dyszała, jakby usiłowała oddychać także za dziecko i za ratownika. Mężczyzna odwrócił głowę ku pionowej ścianie, tuląc w ramionach oszołomionego malca, lecz widać było, że słabnie w nierównej walce z odpływem. Meg dopiero teraz uświadomiła sobie, kim jest ten człowiek. Na ratunek pośpieszył oficer o złowrogim wyglądzie. Zakrawało na cud, że jeszcze nie utonął, przecież miał obandażowaną nogę, która musiała ciągnąć go na dno niczym kamień.

Zauważyła wmurowaną w kamienną skarpe żelazną drabinkę. Meg miała nadzieję, że bohaterski oficer zdoła pochwycić szczebel. Czy jednak w ogóle zdoła dopłynąć do brzegu?

Dyszał chrapliwie, a brudna woda zalewała mu usta. Piekący ból nad prawym kolaniem ustąpił pola odrętwieniu, które sprawiało, że bezwładna noga ciągnęła go w dół niczym kamień. Ross zacisnął rękę na piersi chłopca i z trudem walczył z błotnistym prądem rzeki, kierując się ku wysokiemu nabrzeżu. Zanurkował w butach, które ciążyły mu, jakby odlano je z ołowiu. Coraz mocniej docierało do niego, że nie ma już żadnych szans.

Malec drgnął gwałtownie.

- Nie ruszaj się - wykrztusił Ross po hiszpańsku.

Zamierzał uratować dzieciaka bez względu na cenę, którą przyjdzie mu zapłacić. Zbyt wiele widział śmierci, zbyt wielu ludzi sam posłał na tamten świat, więc nie chciał znów patrzeć na ludzką tragedię. Chłopiec musiał przeżyć.

Uświadomił sobie, że śliska od glonów, granitowa ściana znajduje się tuż przed nim, lecz nie ma na niej żadnego występu, nic, czego mógłby się ucześcić. Przez kilka długich sekund rozglądał się z rozpaczą, aż nagle odzyskał nadzieję.

- Chłopcze! - Na jego krzyk malec drgnął i rozkaszał się. - Widzisz ten metalowy pierścień?

Obaj mocno uderzyli o kamień, pchnięci gwałtowną falą. Ze ściany sterczało przeżarte rdzą stalowe koło cumownicze, na tyle duże, że dałoby się przecisnąć przez nie głowę i ramiona chłopca.

- *Si...* - Dzieciak był blady jak kreda i kurczowo trzymał się szyi wybawiciela, lecz podniósł głowę.

- Puść mnie i spróbuj je chwycić. - Ross uniósł malca, a sam zanurzył się z głową pod wodą, raz i drugi. Potem poczuł, że ciężar znikł, więc w pośpiechu wychylił się ponad powierzchnię, wypłuł wodę z ust i zobaczył, że chłopiec gramoli się na pierścień i czepia go jak wystraszona małpka. - Nie puszczaj! - Gdy dzieciak z determinacją skinął głową, poczuł ulgę, a zarazem wiedział, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Piekący ból w ramionach stał się nie do wytrzymania, a sprawna noga za bardzo ciążyła, by nią choćby poruszyć.

A więc to koniec, pomyślał. Trzynaście lat służby w deszczu, o głodzie i chłdzie, pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Przemaszerowałem Półwysep Iberyjski wzdłuż i wszerz, wygraliśmy wojnę, a teraz ginę w błotnistej, francuskiej rzece.

Pociemniało mu przed oczami. Usiłował machać nogami i rękoma, czuł jednak, że już nie da rady przepłynąć choćby z jard. To bez znaczenia, pomyślał z bezbrzeżnym smutkiem, przecież i tak nie chciałem wracać... Musiałem spełnić obowiązek...

Nagle uderzył w coś twarzą i odruchowo uniósł dłonie, żeby się osłonić, zaciskając przy tym palce na metalowym pręcie. Dawało to złudzenie ocalenia, tylko po co się łudzić? Może lepiej od razu rozprostować palce?

- Trzymaj się! - ktoś po angielsku krzyknął mu prosto do ucha.

Czyżby usłyszał kobiecy głos? Ross był pewien, że dopadły go halucynacje. A więc to już naprawdę ostatnie chwile...

Jakieś dłonie chwyciły go za rękę i mocno pociągnęły. Potem pochłonęła go ciemność.

Kiedy wreszcie się ocknie? - pomyślała zniecierpliwiona Meg. Odgarnęła włosy z oczu, po czym przelała brudną wodę do wiadra na pomyje. Przemoczona suknia nieprzyjemnie lepiała się do nóg, ale Meg starała się nie zwracać na to uwagi. Oprócz tej miała jeszcze tylko jedną suknię, więc nie mogła narażać jej na zniszczenie. Poza tym najpierw musiała zająć się pacjentem, a dopiero potem sobą.

Cofnęła się, oparła dłonie na biodrach i spojrzała na chorego, który leżał na koi. Aż czterech dokerów wyciągało go z wody, uprzednio owinąwszy sznurem. Musieli też uporać się z Meg, która zahaczyła nogami o zardzewiałą drabinkę i zanurzona po kolana w wodzie, kurczowo trzymała za rękę nieprzytomnego oficera. Był potężnym mężczyzną, na dodatek jego ubranie nasiąkło wodą, więc wyciąganie go z topieli było niemal równie ciężką harówką, co podnoszenie martwego konia. Na samo wspomnienie roztarła obolałe ramiona.

Członkowie załogi Falmouth Rose, którzy nieśli niedoszłego topielca, nie pytali jej o nic. Towarzyszyła majorowi Brandonowi, co wystarczyło, by została wpuszczona na statek. Na szczęście Meg przytomnie zauważyła jego nazwisko na bagażu, do tego znała

się na mundurach - w ostatnich miesiącach zdjęła ich całe mnóstwo - więc potrafiła bezbłędnie rozpoznawać jednostki i formacje.

Dokerzy, którzy przetransportowali majora do kabiny, wyręczyli Meg i sami go rozebrali. Gdyby tego nie zrobili, najpewniej musiałyby rozciąć uniform, lecz nieuszkodzone ubranie wisiało teraz na gwoździach wbitych w grodzie i ociekało wodą. Nieprzytomny oficer leżał pod prześcieradłem, które zakrywało go od górnej części ud po pierś.

Meg przemyślała już zadrapanie na twarzy, powstałe wtedy, gdy major Brandon uderzył o drabinkę, a teraz naląła czystej wody do miski i otworzyła solidną, skórzaną torbę, która postawiła obok swojej walizki. Wyjęła nożyczki i zabrała się do rozcinania przemoczonego bandażu na nodze.

- Uch! - Aż się wzdrygnęła na widok rany.

Ktoś ją opatrzył, i to najpewniej na polu bitwy, lecz zrobił to w pośpiechu, byle jak, a potem już nikt się nią nie zajmował, jak Meg mogła się domyślać. Krwawa dziura tuż ponad kolanem była poszarpana i nabrzmiała. Zapewne podczas usuwania ołowianej kuli lekarz kierował się bardziej pośpiechem niż finezją, a do postrzelenia doszło całkiem niedawno, najprawdopodobniej pod Tulużą. Meg pomyślała, że naprawdę trzeba być pechowcem, by zostać rannym podczas ostatniej batalii na wojnie, tuż przed ogłoszeniem przez Napoleona kapitulacji i na krótko przed jego abdykacją.

Co zaskakujące, lekarze nie amputowali nogi, co było zwyczajową praktyką na polu bitwy. Meg zerknęła na twarz majora i pomyślała, że ktoś z taką szczęką musi być człowiekiem twardym i nieustępliwym, mógł się więc nie zgodzić się na amputację. Skoro potem chodził samodzielnie, to był albo niesłychanie odporny na ból, albo niewiarygodnie uparty. Stawiała zresztą na to drugie, jako że ponura i skrzywiona mina Brandona, o ile nie była mu przyrodzona, to świadczyła o wielkim cierpieniu.

Meg pochyliła się nad raną i wrażliwym powonieniem zdiagnozowała infekcję, lecz na szczęście nie wychwyciła obrzydliwie słodkawego smrodu zgorzeli.

- Masz więcej szczęścia niż rozumu - poinformowała pacjenta, choć nie mógł jej słyszeć. - Dobrze, że jesteś nieprzytomny, gdyż zamierzam oczyścić ranę.

W skórzanej torbie z inicjałami P.F. znajdowały się wszystkie potrzebne przybory. Wiedziała, że zabierając neseser medyczny Petera, w jakimś sensie dopuściła się kra-

dzieży, tyle że zmarłego to nie obchodziło, a Meg nie widziała powodu, by zostawiać cenny sprzęt na pastwę grabieżców. Lekarz sporo ją nauczył przez długie miesiące, kiedy dzielili namiot i razem pracowali wśród krwi i niewyobrażalnych cierpień, których nigdy nie szczeni wojna. Niestety, oboje okazali się bezradni, gdy Peter padł ofiarą gwałtownego ataku gorączki.

Meg umyła ręce, układając plan działania. Najpierw wodą oczyściła ranę, a po osuszeniu zbadała ją, dotykając obrzeży palcami, a następnie zagłębiła w niej małe szczypce. To był dopiero początek, miała jeszcze przed sobą wiele pracy.

Wreszcie wyprostowała się i rozluźniła spięte ramiona. Jak na dobrego medyka przystało, nauczyła się odprężyć szybko i skutecznie. Miała tylko nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiała sondować żadnej rany.

Z satysfakcją przyjrzała się swojemu dziełu. Noga majora Brandona była starannie zabandażowana, a w misce leżało kilka odprysków kości oraz pogięty kawałek metalu. Były duże widoki na to, że rana wkrótce się zagoi, jeśli tylko major wykaże się odrobiną zdrowego rozsądku i o siebie zadba.

Wreszcie Meg przyjrzała się dokładniej pacjentowi.

Wcześniej pobieżnie go obmyła, naturalnie przy zachowaniu należytej skromności i dystansu, jak na fachową pielęgniarkę przystało. Teraz jednak po prostu patrzyła na leżącego na wznak majora Brandona. Miał ogorzałą skórę, a tors, nogi i ręce przyprószone były czarnymi włosami. Ile lat mógł sobie liczyć? Trudne pytanie, jako że z powodu surowych rysów najpewniej wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. Na pewno po trzydziestce, mniej więcej ze trzydzieści dwa lata.

Rozpostarła prześcieradło, żeby zasłonić go od szyi do stóp. Nawet przy otwartym iluminatorze w kajucie było ciepło, więc major Brandon nie potrzebował koca, a cienka tkanina przynajmniej jakoś go zakrywała.

Meg raz jeszcze niespiesznie powiodła po nim wzrokiem, po czym przygryzła wargę. Zaszło jej w ustach, poczuła w sobie dziwne sensacje. Leżał przed nią wspaniały mężczyzna o surowym, groźnym obliczu. Z uznaniem wpatrywała się w wyraźnie zarysowane mięśnie, wyrzeźbiony tors i poraną bliznami skórę. Kusiło ją, żeby go dotknąć... I aż zamrugała zawstydzona. Major Brandon był jej pacjentem i powinna myśleć o nim

wyłącznie w takich kategoriach. Mimo to targały nią uczucia silniejsze i bardziej niepokojące niż jakiegokolwiek dotąd, a przecież po pięciu latach życia z Jamesem powinna doskonale wiedzieć, że miłosna satysfakcja to coś bardzo ulotnego i krótkotrwałego. Meg nigdy nie pragnęła pieścić męża w taki sposób, w jaki teraz miała ochotę dotykać tego obcego mężczyzny. Najchętniej przytuliłaby się do niego mocno, a potem...

Och, co za śmiałe myśli! A przecież, pomyślała z rozbawieniem, gdyby major nagle odzyskał przytomność i spróbował mnie dotknąć, uciekłabym z wrzaskiem. Ale co się dziwić, skoro nigdy dotąd nie przebywała w takiej bliskości z równie wielkim i ponurym mężczyzną.

Zaprowadzenie porządku w kajucie potrwało dłuższą chwilę, gdyż Meg musiała spakować lekarską torbę, a także usunąć brudną wodę oraz odzież. W ten sposób wygospodarowała odrobinę miejsca na to, by rozłożyć koce na podłodze i za pomocą zawieszonych na gwoździach prześcieradła odgrodzić swoją prywatną przestrzeń od reszty pomieszczenia. Przywykła do życia w namiotach i chatach, a schludność stała się jej drugą naturą.

Wreszcie mogła trochę odpocząć, a jej myśli poszybowały daleko od tego miejsca. Ciekawe, co powiedziałyby Arabella na jej widok? Romantyczna, rozmarzona Meg z podwiniętymi rękawami zniszczonej sukni, pielęgnująca ранego mężczyznę na morzu...

Głośny oddech chorego zdawał się wypełniać kajutę. Gdy dokerzy wyciągnęli majora Brandona na nabrzeże, zwrócił mnóstwo wody, teraz jednak jego płuca wydawały się pracować jak należy. Meg uświadomiła sobie, że pacjent nie śpi, choć nadal miarowo oddycha. Odłożyła zwiniętą koszulę i spojrzała mu w oczy. Miał rozszerzone nozdrza niczym wietrzące niebezpieczeństwo zwierzę. Najwyraźniej doszedł do siebie, nie wiedział jednak, gdzie się znajduje i w czyim towarzystwie, więc ostrożnie oceniał sytuację. Nie chciał przedwcześnie zdradzać, że jest przytomny.

Pomyślała, że takie zachowanie wymagało doskonałej samokontroli, wysoce rozwiniętego instynktu samozachowawczego oraz bardzo podejrzliwego usposobienia. Potem przypomniała sobie jego czujne, czarne oczy. Był jednym z tych, którzy przeżyli, a musiał to zawdzięczać tym właśnie cechom.

Zauważyła, że ostrożnie zaciska palce prawej dłoni na materacu, jakby czegoś tam szukał.

- Dzień dobry, majorze Brandon - odezwała się. - Czy miałby pan ochotę czegoś się napić?

Wtedy otworzył oczy i spytał ostrym tonem:

- Gdzie mój karabin? - Jednak Meg nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż natychmiast dodał: - Kimże pani jest, skąd zna pani moje nazwisko i gdzie jest moje ubranie, u ucha?

- Oparł się na łokciach, rozejrzał po kajucie i zaklął, kiedy poruszył nogą.

- Moje nazwisko brzmi Halgate. - Starala się mówić jak najspokojniej. Nie chciała, by zauważył jej zdenerwowanie. - Wiem, jak się pan nazywa, gdyż pańska godność widnieje na bagażach, rangę zaś łatwo można rozpoznać po umundurowaniu. Pana odzież musi wyschnąć, a karabin stoi w kącie kajuty. - Obok strzelby postawiła szpadę, symbol oficerskiego statusu, lecz o nią nie spytał.

- A dlaczego tak piekielnie boli mnie noga? - Przesunął się na łóżku, nawet nie próbując podciągnąć prześcieradła, którego krawędź ledwie zasłaniała jego przyrodzenie.

- A dlatego, że w ranie nadal znajdowały się odpryski kości i metalu. - Meg machinalnie zwilżyła usta językiem. - Już zostały usunięte. Zaniedbał pan ranę, a potem zanurzył się w błotnistej wodzie i nadwreżył nogę. Nic dziwnego, że teraz pan cierpi. Mam jednak laudanum, jeśli ból jest nie do zniesienia.

Brandon zmrużył oczy. Gdyby chciała wsunąć mu do ust narkotyk, musiałyby skorzystać z pomocy co najmniej sześciu krzepkich mężczyzn. Nawet nie zamierzał zaszczycać odpowiedzią tej propozycji.

- A kto mnie rozebrał i opatrzył nogę, pani Halgate?

- Dwóch marynarzy pomogło mi rozebrać pana. Podróżuje pan ze skromnym bagażem, więc założyłam, że lepiej nie rozcinać munduru. Ranę oczyściłam i zabandażowałam. - Usiadła na podróżnym kuferku majora, u stóp koi, gdyż poczuła się niepewnie. Czy już odbili od brzegu? Kusilo ją, by wyrzucić przez iluminator, ale musiała skupić się na Brandonie, gdyż w każdej chwili mógł dojść do wniosku, że powinien usunąć ją z kajuty.

- Rozumiem. - Skinął głową. - Jak widać, jest pani uzdolnioną kobietą. Proszę przyjąć moje wyrazy wdzięczności. A gdzie się podziewa pan Halgate, jeśli wolno spytać?

- Porucznik Halgate poległ pod Vitorią. - Wolałaby nie rozwlekać tego tematu, a już na pewno nie zamierzała wyjaśniać majorowi, że tak naprawdę wcale nie nosiła nazwiska Halgate, a jej świadectwo ślubu nie było warte funta kłaków. Gdy major tylko skinął głową, Meg poczuła ulgę, że nie próbuje jej pokrzepić pustymi wyrazami współczucia. - A panicz José Rivera żyje, co z pewnością pana ucieszy - dodała. - Jest nieco osłabiony, lecz za parę dni odzyska wigor.

- Kimże jest José Rivera, na rany Chrystusa? - spytał zdumiony, podciągając prześcieradło, które tak się zwinęło, że zaczęło pełnić funkcję przepaski biodrowej.

Posępnie popatrzył na chorą nogę, Meg zaś w pośpiechu wbiła wzrok w kąt kajuty.

- To mały chłopiec, którego wyłowił pan z Żyrondy. Czy pamięta pan, że rzucił się dziecku na ratunek?

- Tak, pamiętam. - Zmarszczył brwi. - No, nie wszystko, w każdym razie byłem pewien, że już po mnie. Ciekawe, kto chwycił mnie za rękę?

- Wydobyli pana marynarze. - Postanowiła nie ujawniać, że to ona zeszła po drabinie i zanurzyła się po pas w wodzie, żeby go przytrzymać. Wstała i poruszyła zawieszonym mundurem, żeby równomiernie sechł na gwoździach.

- Nie o to pytałem. - Gdy zmrużył oczy na widok mokrej sukni, która przylgnęła do jej nóg, Meg domyśliła się, że oceniał kształt jej sylwetki pod przemoczoną odzieżą, on jednak dodał: - Uratowała mnie kobieta. Zapewne pani, czyż nie?

- Właściwie tak. - Wzruszyła ramionami. Odwrócona plecami do majora, niepotrzebnie zabrała się do ponownego poprawiania rozwieszonego munduru. - Akurat stałam najbliżej. Przecież nie mogłam patrzeć, jak pan tonie.

- Jestem pani dłużnikiem - oznajmił zwięźle.

Nie był szczególnie wylewny, lecz jego podziękowania wydały się jej szczerze. Czy mogła zatem żywić nadzieję, że major zgodzi się na jej propozycję?

- Podać panu koc? - spytała.



Major dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że jest prawie nagi. Pośpiesznie okrył nogi prześcieradłem i podciągnął je do pasa, nie wydawał się jednak zawstydzony, w każdym razie na jego ogorzałych policzkach Meg nie dostrzegła rumieńca.

- Dziękuję, nie trzeba. Ubiorę się, kiedy tylko wróci pani do swojej kajuty.

Wielkie nieba, zaczyna się, pomyślała, obdarzając go szerokim uśmiechem, by dać sobie otuchy, po czym powiedziała:

- Nie, panie majorze, zostanie pan w łóżku, żeby nie nadwierać nogi jeszcze przez co najmniej dobę. Jeśli będzie pan lekcewał moje zalecenia, grozi panu trwały uraz nogi i kalectwo. Musi pan dużo odpoczywać. Poza tym nie mam własnej kabiny, będę spała tutaj.

- Co takiego? - wykrztusił z niedowierzaniem.

- Zostaję tu. - Rozprostowawszy zaciśnięte palce, pogratulowała sobie spokoju.

- A cóż kapitan sądzi na temat gapowiczów? - Major wymownie uniósł brwi.

- Nie wiem. Zapewniłam go, że jestem pańską żoną.

## Rozdział drugi

- Powiedziała mu pani, że jest moją żoną? - powtórzył cicho.

Całą uwagę skupił na Meg, która wcale nie była pewna, czy ranny major jest mniej niebezpieczny od zdrowego. Zdarzyło się jej parę razy słyszeć, jak oficerowie używali takiego tonu, a zaraz potem ryczeli z wściekłością i wydawali nader nieprzyjemne rozkazy.

- Tak, potrzebuję...

- Mniejsza z tym, czego pani potrzebuje - przerwał jej szorstko. - Natomiast jeżeli chodzi o mnie, to z całą pewnością nie potrzebuję markietanki, choćby nie wiem jak gorliwej.

Krew napływająca do jej policzków świadczyła o furii lub o wstydzie, bądź też o jednym i drugim jednocześnie. Jak śmiał ją wziąć za markietankę, kobietę, która za garść miedziaków dostarcza mężczyznom rozrywki? Ten nieszczęśnik musiałby zaproponować jej o wiele więcej niż garść monet, żeby okazała mu choćby cień sympatii, a co dopiero przychylności, nawet jeśli swą niepokojącą urodą i mocną sylwetką budził jej niekłamanie zainteresowanie.

- Czyżby? - wycedziła. - A mnie nie potrzeba mężczyzny, i to żadnego, drogi panie. Jest pan w posiadaniu tylko jednego, czego mi trzeba, mianowicie kajuty na tym statku. Odwdzięczę się opieką potrzebną choremu, choć przecież uratowałam pana od niechybnej śmierci w topieli, co powinno sytuować mnie w uprzywilejowanej pozycji. W każdym razie gdyby miał pan jakieś niejasności w tej sprawie, za umożliwienie mi podróży do Anglii nie zapłacę żadną inną monetą.

Zapadła długotrwała cisza. Brandon przywykł do ukrywania swych myśli przed innymi i jak zwykle rozważał wszystko gruntownie.

- Bitwa pod Vitorią miała miejsce dziesięciu miesięcy temu - przerwał w końcu milczenie

Jego słowa tylko z pozoru były neutralne. Przyjrząwszy się pani Halgate, uznał, że ponad wszelką wątpliwość nie doskwierał jej głód, najwyraźniej nie wyszła też po-

wtórnie za męża. Jakże więc udało się jej przetrwać w otoczeniu żołnierzy, jeśli nie dzięki prostytutce?

- Wojskowy medyk, Peter Ferguson, wziął mnie pod swoje skrzydła - wyjaśniła Meg, bez trudu domyśliwszy się, co sugerował. - Asystowałam mu w pracy i nauczyłam się sporo o chirurgii.

Major Brandon musiał pomyśleć, że była utrzymanką Petera, ale co się dziwić, skoro wszyscy tak uważali. Ważne jednak było tylko to, by nie oczekiwał od niej miłosnych posług w zamian za kąpiel w kabinie.

- Pielęgniarka mi na nic - oświadczył lakonicznie.

Cokolwiek myślał o niej, najwyraźniej nie zamierzał mówić tego głośno. Meg ogarnęła irytacja. Pragnęła rozwiać wątpliwości majora co do swojego prowadzenia się, lecz by to uczynić, najpierw musiałby wprost zarzucić jej rozwiązłość.

- Wręcz przeciwnie, bardzo jej pan potrzebuje. Chyba, że woli pan odwiedzić chirurga, który obetnie panu nogę. Zresztą jeśli zajdzie taka potrzeba - dodała po chwili - i ja mogę przeprowadzić amputację. - Przynajmniej teoretycznie, dodała w myślach. Uświadomiła sobie, że zaciska pięści na biodrach i marszczy brwi, co żadną miarą nie mogło jej pomóc w zaskarbieniu sobie życzliwości majora Brandona.

- A sprawi pani, żebym odzyskał pełnię sił w nodze? - spytał z niechęcią. - Chcę wrócić do służby.

- Nie - odparła Meg szczerze - ale zadbam, by rana goiła się jak należy. Musi pan tylko ściśle przestrzegać moich zaleceń. Pokażę panu, jak najlepiej ćwiczyć. Stracił pan fragment kości, więc noga już nigdy nie będzie tak silna i sprawna jak przedtem, a to dla oficera piechoty mankament nie do nadrobienia. Widziałam maszerującą brygadę strzelców, więc wiem, co mówię. Nigdy nie zdoła pan dotrzymać kroku innym żołnierzom.

- Doskonale, pani doktor - mruknął major z lekką ironią. - Najwyraźniej zna się pani na rzeczy i jest na tyle uczciwa, by mówić prawdę. Może pani tu zostać.

- Dziękuję. - Odwróciła się do niego plecami i ukucnęła nad torbą lekarską, usiłując powstrzymać się od płaczu. Jak cudownie byłoby zalać się łzami ulgi! Nie mogła jednak pozwolić sobie na taki luksus, gdyż major uznałby ją za słabeusza. - W której z toreb trzyma pan nocne koszule? - spytała.

- Sypiam w mundurze bądź nago.

Jeśli sądzisz, że ucieknę z twojej kajuty z rumieńcami wstydu na policzkach, to grubo się pomyliłeś, pomyślała Meg buntowniczo, po czym powiedziała:

- To nie jest hiszpański biwak, panie majorze, więc musi pan spać w koszuli. Ponawiam zatem pytanie: w której torbie są koszule?

- W większej.

Wydało się jej, że w jego głosie usłyszała rozbawienie, ale doszła do wniosku, że to niemożliwe. Major Brandon niespecjalnie przypominał człowieka, a co dopiero człowieka obdarzonego poczuciem humoru.

- Czyżby jeszcze ich pani nie przetrząsnęła? - zapytał sarkastycznie.

- Nie. - Meg otworzyła torbę i zabrała się do wyciągania skromnej kolekcji koszul Brandona. O ile dobrze pamiętała wysokość żołdu, jako major zarabiał siedemnaście szylingów dziennie, z pewnością jednak nie wydawał tych pieniędzy na odzież. - Był pan nieprzytomny, a ja nie zamierzałam pana ubierać, choć teraz tego żałuję. Cóż, i tak nie dałabym rady. Z równym powodzeniem mogłabym przyodziewać ubitego niedźwiedzia.

Major spojrział na nią z wielkim zainteresowaniem, co sprawiło jej dziwną przyjemność. Najwyraźniej wyobraził sobie, jak Meg uprawia zapasy z jego bezwładnym nagim ciałem. Nawet nie chciała o tym myśleć, lecz i tak poczuła, jak po jej żyłach rozchodzi się fala ciepła. Cóż za nedorzecznosc! Spędziła z Jamesem pięć długich lat i doskonale wiedziała, że igraszki łóżkowe są rozkoszą, ale tylko dla mężczyzn.

- Proszę. - Wręczyła mu najbardziej sfatygowaną koszulę. - Idę po coś do jedzenia. W razie czego pod łóżkiem znajdzie pan nocnik.

- Kto go potem opróżni?

- Pańska nowa pielęgniarka, panie majorze. - Z przesadną uprzejmością pochyliła głowę. - Zajmę się także tym, co trzeba będzie wyrzucić, jeśli zapadnie pan na morską chorobę. Pielęgniarki nie mogą być nazbyt wrażliwe.

- Zaczynam to doceniać - odparł z kamienną miną.

Meg wyszła z kajuty, dumając o tym, że albo miała do czynienia z człowiekiem kompletnie pozbawionym humoru, albo kimś, kto celował w zachowywanie kamiennej miny, jednak w duchu natrzęsał się z niej ile wlezie.

- I niech pani sprawdzi, co tam jest do picia! - krzyknął za nią.

Starannie zamknęła za sobą drzwi. Jeśli ten nieznośny człowiek sądził, że przynie-  
sie mu rum albo brandy, które z pewnością nie pomogłyby w gojeniu się rany, to był w  
poważnym błędzie. Mógł liczyć co najwyżej na piwo bądź czerwone wino, i to dopiero  
wtedy, gdy rana zacznie się zasklepiać.

Zostawszy sam, Ross pograżył się w zadumie. Nie mógł rozgryźć swojej pielęgniar-  
ki... czy też raczej żony, pomyślał niechętnie. Nie była markietanką, choć tak jak  
one podążała za wojskiem. Wysławiała się elegancko, była więc dobrze urodzona. Jej  
suknia, choć zniszczona, była przyzwoita i skromna. Do tego pani Halgate przywykła do  
ciężkiej pracy. Skoro zdołała utrzymać go nad powierzchnią wody, była silniejsza, niż się  
wydawało na pierwszy rzut oka.

Może rzeczywiście nie kłamała? Może jako wdowa musiała przyjąć opiekę innego  
mężczyzny, który jednak nie zamierzał się z nią ożenić. Brandon zmarszczył brwi, zasta-  
nawiając się, dlaczego ktoś miałby odrzucać taką kobietę. Wzruszył ramionami. Cóż, to  
nie jego sprawa.

Podciągając prześcieradło, uderzyła go pewna myśl. Pani Halgate z pewnością nie  
bała się ciężkiej pracy i była ofiarna pielęgniarką, nie oznaczało to jednak, że powinien  
wysługiwać się nią niczym byle popychadłem z portowej tawerny. Opuścił nogi na pod-  
łogę, wstał i krzywiąc się z bólu, pokuśtykał do drzwi, po czym je uchylił, żeby wyrzeć  
na korytarz.

- Ejże, chłopcze!

Chudy jak patyk młodzieniec niepewnie popatrzył na odzianego w samą koszulę  
potężnego mężczyznę o marsowej minie. Ross dobrze wiedział, że przypomina płatnego  
zabójcę. Taki wygląd był wielce przydatny na polu bitwy, lecz w cywilu niepotrzebnie  
odstraszał ludzi.

- Słucham sir?

- Służysz na tym statku? - zapytał Ross.

- Tak jest, sir. Jestem do posługi pasażerom, wołają mnie Johnny. - Ukłonił się z  
przymilnym uśmiechem.

- Możesz zatem opróżniać kubel z pomyjami, a do tego codziennie przynosić zimną i gorącą wodę. - Gdy statkiem zakołysało, Ross musiał się chwycić framugi, przeklinając osłabioną, obolałą nogę. Wyraźnie czuł, że ta diablica, czyli pani Halgate, gmerała w ranie ostrym narzędziem. - Już jesteśmy na morzu?

- Nie, sir, ciągle w ujściu Żyromy. Może życzy pan sobie teraz gorącej wody, sir?

- Tak, byle na jednej nodze. Jeśli będziesz szybki, zarobisz trzy pensy dziennie. - Musiał się umyć i ogolić przed powrotem pani Halgate, gdyż czuł, że wygląda i cuchnie jak martwy niedźwiedź, do którego go przyrównała.

Chłopak pognał z kopyta, a Ross wrócił do łóżka, klnąc na czym świat stoi. Czuł się fatalnie przede wszystkim ze względu na nogę, nic jednak nie mógł na to poradzić. Skoro nie zginął na polu walki, prędzej czy później musi wyzdrowieć, i wcale nie miał ochoty zdawać się na pomoc obcej kobiety.

Johnny wkrótce wrócił z wiadrem wrzątku i błyskawicznie uporał się z brudną wodą oraz zawartością nocnika.

Ross pomyślał, że pewnie zaproponował mu zbyt sówite wynagrodzenie, ale machnął na to ręką.

Gdy został sam, zablokował drzwi i ściągnął koszulę.

Pół godziny później, gdy kończył się golić, ktoś mocno załomotał do drzwi.

- Panie majorze! Proszę otworzyć, jeśli łaska.

- Jestem goły jak święty turecki! - Wytarł brzytwę i powoli licząc w myślach, spakował przybory, włożył koszulę i przeczesał włosy grzebieniem. - Dziewięć, dziesięć... - wyszeptał.

- Niech więc się pan ubierze i otworzy drzwi!

Ross skrzywił się z niezadowoleniem. Nie przywykł do tego, żeby w jego otoczeniu kręciły się kobiety, a już na pewno nie takie jak ta, czyli względnie przyzwoite. Niewiasty w jego życiu służyły tylko do jednego. Otrzymywały za to sówite wynagrodzenie i szły precz.

Pomyślał, że chętnie użyłby życia z jakąś dorodną panną, lecz przynajmniej na razie wolał nie straszyć swojej współlokatorki, choć z drugiej strony wcale nie wydawała

się strachliwa. Odblokował zasuwkę, po czym szybko podszedł do koi i wsunął się pod prześcieradło.

- Wychodził pan z łóżka - oświadczyła Meg oskarżycielskim tonem, gdy tylko przekroczyła próg kajuty.

Widział, że przydźwigała całe namiętność jakichś rzeczy. W ogóle strasznie się szarogęsiła, lecz nie wiedzieć czemu Rossowi jakoś to nie przeszkadzało. Po chwili na jego na posłanie upadła butelka, którą szybko chwycił, by z radością przekonać się, że trzyma w rękach czerwone wino.

Pani Halgate postawiła na stole małe wiaderko z pokrywką, zawiniątko o kształcie bochenka chleba i dzban z dwoma kubkami. Następnie wyjęła butelkę z rąk Rossa, kiedy z uwagą odczytywał informacje na pieczęci. Wtedy doszedł do wniosku, że jej szarogęszenie się wcale nie jest takie zabawne.

- Wino będzie jutro, o ile nie zacznie pan gorączkować - oznajmiła stanowczo. - A teraz proponuję piwo i gulasz z chlebem. Będzie pan miał za swoje, jak dopadnie pana gorączka. Mówiłam, żeby został pan w łóżku.

- Musiałem się ogolić.

Wpatrywała się w niego, a on odwzajemnił spojrzenie. Miała owalną, opaloną twarz i nos obsypany piegami, które wprawiałyby w rozpacz niejedną damę, a do tego ciemne brwi i rzęsy, ciemniejsze niż gruby brązowy warkocz przełożony przez ramię. Nad czołem wiły się rozjaśnione słońcem loki, pełne, wyraziste usta zdradzały silną wolę i odwagę. Szczere szarobłękitne oczy mogły świadczyć o zmienności nastrojów. Ross poruszył się niespokojnie, gdyż nagle ogarnęło go pożądanie.

- Skąd pan wziął gorącą wodę? - spytała Meg. - I co się stało z brudną?

- Zatrudniłem chłopaka okrętowego. Ma na imię Johnny. Płacę mu trzy pensy dziennie.

- Sama mogłam zająć się tym wszystkim. - Ponownie zmarszczyła brwi, spoglądając na stertę sfatygowanych koszul.

- Nie wydaję pieniędzy na ubrania, co nie oznacza, że nie stać mnie na opłacenie służącego - stwierdził zaczepnie.

Na policzkach Meg wykwitły pąsowe rumieńce. Nie miała pojęcia, że tak łatwo ją przejrzeć.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

- Żona majora nie powinna wynosić brudów - dodał po chwili, wielce ciekaw, czy uda się mu ją sprowokować.

- Tak, oczywiście - zgodziła się z powagą. - Musimy za wszelką cenę dbać o pańską godność. James był ledwie porucznikiem, stąd moja ignorancja. Nie wolno mi zapominać o pańskiej pozycji.

- Bardziej leży mi na sercu pani dobro, pani Brandon - rzekł z naciskiem.

Cóż, skoro ma odgrywać jego żonę, tak właśnie będzie ją traktował.

Pomyślał jeszcze o czymś. Dobrze, że już nie musi przejmować się nogą, skoro i tak nie ma szansy wrócić do armii.

Oczy majora pociemniały. Meg pomyślała, że nie powinna wdawać się z nim w pyskówki. Dotąd jej nie zwymyślał ani nie strzelił w twarz, co nie oznaczało, że nie był do tego zdolny. Coś go dręczyło, a Meg z doświadczenia wiedziała, że mężczyźni z ranami na duszy lub ciele stają się bardziej skłonni do agresji.

Czy chodziło tylko o to, że jego kariera w brygadzie strzelców nieodwołalnie dobiegła końca, więc musi zmienić zajęcie? Przecież był dżentelmenem, jakkolwiek trudno było jej wyobrazić sobie tego człowieka na londyńskich salonach. Może potrzebował pracy?

Westchnęła z dezaprobatą. Jej rozważania nie miały sensu. Niepotrzebnie zagłębiała się w świat marzeń, zamiast skupić się na obowiązkach i przełożyć gulasz na talerze, które przyniosła w tobołku z chlebem. Po chwili podsunęła Rossowi pełny talerz oraz rogową łyżkę, a on podziękował skinieniem głowy.

- Pasażerowie, których nie zmogła morska choroba, spożywają posiłki na pokładzie nad nami - poinformowała. - Gdy już zjedzą, usuwa się wielkie stoły i jadalnia zamienia się w salon. Już prawie dopływamy do morza, ale kapitan zamierza zarzucić kotwicę i dopiero następnego ranka wznowić podróż. Podobno wieści o pokoju jeszcze nie dotarły do wrogich okrętów, więc lepiej wypłynąć na szerokie wody w pełnym świetle. - Major nie komentował jej słów, tylko pałaszował gulasz z takim zapałem, jakby od wielu dni



nie miał nic w ustach. - Nie musimy dodatkowo płacić za wikt. - Meg odsunęła swój talerz, nałożyła Rossowi jeszcze jedną porcję i ukroiła następną pajdę chleba. - Potrawy są smaczniejsze, niż zakładałam, a wszystko wliczono w cenę biletu. - Nalała piwa, a gdy major wypił je duszkiem, napełniła kubek ponownie. - Podróżujemy w towarzystwie przedziwnej zbieraniny. - Zajrzała do garnka. - Zostało jeszcze trochę gulaszu, jeśli ciągle doskwiera panu głód. - Podsunął talerz, więc wyskrobała resztki z rondla. - Spodziewałam się jednak, że będzie nas więcej. Na pokładzie znajdują się żony i dzieci oficerów, kupcy, a także niższej rangi dyplomata. Nie ma wojskowych, chyba że po cywilnemu. Zastanawiałam się...

- Pani Brandon, czy pani nigdy nie milknie? - przerwał jej rozdrażniony Ross, gdy ucichła, ponownie pochylił się nad talerzem. Wyglądało na to, że przy posiłkach jest jeszcze bardziej gburowaty niż zazwyczaj.

- Owszem, zdarza mi się nie odzywać, zwłaszcza gdy rozmówca nie wykazuje żadnego zainteresowania konwersacją - odparła z urazą. - Ponieważ spędzimy razem kilka dni...

- I nocy - wtrącił.

- I nocy. - Miała nadzieję, że nie dostrzegł jej rumieńca. - Uznałam, że miło będzie pogawędzić i poznać się nieco bliżej.

- Tak pani uznała?

- Owszem. Teraz opowiem panu o sobie. Nazywam się Meg Halgate, mam dwadzieścia cztery lata. Mój... James był porucznikiem w 30. Pułku Piechoty i nie powrócił z bitwy pod Vitorią. Przez pięć lat wędrowałam z nim po wojennych bezdrożach, a co robiłam po jego śmierci, już pan wie. - Naturalnie nie miała zamiaru wspominać o szokującej prawdzie, która wyszła na jaw po śmierci Jamesa. Okazało się, że Meg nie możejechać do teściów. Otrzymała od nich zwięzły list, w którym informowali ją wprost, że nie życzą sobie podejmować kobiety, która przez pięć lat żyła w grzechu z ich synem, nawet jeśli święcie wierzyła, że James jest wolny i może się z nią ożenić.

Państwo Halgate'owie uważali, że córka pastora uwiodła ich syna, gdyż marzyła o ucieczce z domu. Tak przynajmniej sobie wmawiała, bo nie mogła dać wiary, że ktoś jest aż tak nieczuły i nieżycliwy.

Powrót do ojcowskiego domu nie wchodził w grę, nawet gdyby znalazła pieniądze na podróż. Czasami jednak kusilo ją, by zawitać do rodzinnej strony choćby tylko po to, by zobaczyć minę ojca, lecz marna by to była zemsta za wszystkie nieszczęścia, których zaznała w dzieciństwie. Pastor, ujrzawszy niewidzianą od lat córkę, powiedziałby tylko, nie spodziewał się po niej niczego lepszego.

- Zaledwie dwadzieścia cztery?

- Tak, właśnie tyle. - Major Brandon był irytujący, ale przynajmniej radziła sobie z jego największym problemem, potrafiła zatroszczyć się o chorą nogę.

- Wygląda pani na starszą.

Zawiesiła wzrok na jego twarzy. Czy miał na myśli jej ogorzałą od słońca skórę, czy też szorstkie dłonie?

A może wyczuwał w jej zachowaniu doświadczenie życiowe, które zdobyła na wojnie? Cokolwiek to było, nie zamierzała go o to pytać.

Wystawiła naczynia w wiaderku przed drzwiami, żeby Johnny zabrał je do umycia, zatkała butelkę z resztą piwa i usiadła na kufrze.

- Oczekuje pani, że zrewanżuję się rewelacjami na swój temat? - Major Brandon oparł się plecami o drewnianą ścianę.

- To, co pan ode mnie usłyszał, trudno określić mianem rewelacji - odparła spokojnie. - Skoro jednak mam udawać pańską żonę, przynajmniej powinnam znać pańskie imię, wiek i bitwę czy potyczkę, podczas której został pan ranny.

- Ross Martin Brandon. Trzydzieści lat. Bitwa pod Tulużą. O ile zachowa pani odpowiedni dystans do pozostałych pasażerów, więcej informacji nie będzie pani potrzebowała.

- Trzydzieści? Wygląda pan na starszego - niemal dosłownie powtórzyła jego słowa. - Dlaczego miałabym trzymać się z dala od towarzyszy podróży? Ludzie powinni ze sobą rozmawiać, dzięki temu czas szybciej płynie.

- Nie mam z nimi nic wspólnego. - Wzruszył ramionami. - To cywile. - Skrzywił się, jakby wypowiedzenie tego słowa sprawiało mu przykrość.

Meg wpatrywała się w jego pełne, wyraziste usta. Doszła do wniosku, że są całkiem atrakcyjne i mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak major całuje. Czy jest delika-

tny i czuły, czy też brutalny i zaborczy? Tyle że przynajmniej na razie wołała tego nie sprawdzać.

- Zrobiło się ciemno - mruknął.

Meg podeszła do iluminatora, stanęła na palcach i wyjrzała na zewnątrz. W oddali zauważyła światła na brzegu-

- Pewnie zakotwiczyliśmy - powiedziała. - Statek porusza się inaczej. Czy mam pozostawić otwarty bulaj? - Odwróciła się do majora.

Jego twarz tonęła w dziwnych cieniach rzucanych przez światło rozkołysanych lamp.

- Ta, niech będzie otwarty. - Popatrzył na nią uważnie. - Jest pani zmęczona?

Po raz pierwszy okazał jej troskę. Meg ogarnęło wzruszenie, jej oczy znowu zaszyły łzami. Cóż, musiała być nie tyle zmęczona, co wyczerpana, skoro reaguje jak beksa. Ponadto czuła lęk przed tym, co przyniesie przyszłość, więc nic dziwnego, że się rozklejała.

Niech to diabli! - zaklęła w duchu. Wołała już jego oschłość niż życzliwość, gdyż pojedynki słowne z majorem Brandonem dodawały jej energii.

- Tak. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - To wielka ulga, że wreszcie wracam do Anglii.

- Jak rozumiem, pani słabość nie ma nic wspólnego z wyciąganiem martwych niedźwiedzi z rzeki, porządkowaniem kajuty i zapewnianiem mi opieki medycznej?

- Ależ skąd, panie majorze. Robiłam tylko to, co do mnie należało.

- Mów mi Ross, a ja będę ci mówił Meg - zaproponował nieoczekiwanie. - Gdybyś zechciała na kilka minut iść zaczerpnąć świeżego powietrza na pokładzie, mógłbym przygotować się do snu.

Okryła ramiona szalem i bez słowa wyszła z kajuty. Czuła pewien niepokój na myśl o tym, że spędzi noc w małej kabinie sam na sam z mężczyzną. Już wcześniej przygotowała jeszcze jeden nocnik i dzban z wodą dla siebie, nie mogła przecież wyrzucać rannego na korytarz, aby w tym czasie ściągnąć gorset.

Po powrocie zauważyła, że pali się tylko jedna lampka, a major Brandon leży na lewym boku twarzą do ściany. Nie major Brandon, tylko Ross, poprawiła się w myślach, mijając go jak najciszej. Odkąd znała jego imię, stał się jej trochę bliższy.

Pośpiesznie zsunęła z siebie suknię, rozplątała gorset, zdjęła trzewiki oraz pończochy, a na koniec rozpuściła włosy, które trzymała w siatce na karku. Woda była zimna, lecz odświeżająca. Gdy Meg wyszła zza kotary w samej halce i usiadła na kufrze, żeby rozczesać włosy, a następnie zapleść je w warkocz, w kajucie panowała cisza zakłócana tylko chłupotem fal, skrzypieniem drewna i regularnym oddechem Rossa. Meg westchnęła głęboko. Wojna dobiegła końca, już nie groziły jej alarmy i gwałtowne pobudki w środku nocy. Koniec zabijania i okaleczania...

Rozwinęła koc na podłodze, położyła na nim poduszkę i wsunęła się pod prześcieradło, uprzednio zgasiwszy lampkę. Czuła lekki ucisk pod kością biodrową i ramieniem, ale zdarzało się jej sypiać w gorszych warunkach. Tutaj przynajmniej było ciepło, sucho i bezpiecznie...

- Co ty wyprawiasz, u licha?

Meg gwałtownie usiadła, przyciskając prześcieradło do halki. W kajucie panowały ciemności, lecz Ross siedział na koi i zachowywał się tak, jakby doskonale widział swoją współpasażerkę.

- Jak to co? - odparła niecierpliwie. - Usiłuję spać, rzecz oczywista!

- Na podłodze?

- Owszem. Gdzieżby indziej? Mamy tylko jedną koję, ty jesteś ranny, a ja nie mam nic przeciwko spaniu na podłodze.

- Wskakuj do łóżka. - Usłyszała łopot odrzucanego prześcieradła.

- W żadnym razie! - zaprotestowała. - Sądziłam, że już zamknęliśmy tę kwestię. Nie będę z tobą spać, i tyle.

- Bardzo się mylisz. Nie wyrażam zgody na to, byś leżała na podłodze - twardo oznajmił Ross.

Meg prychnęła z pogardą, położyła się i podciągnęła prześcieradło na ramiona, plecami do Rossa. Ani jej się śniło wieść dysputy z tym władcym jegomościem. Miałyby spać z nim na jednej koi, też coś! Świetnie wiedziała, co by z tego wynikło. Mężczyznom nie wolno ufać, ot co.

Poprawiła poduszkę i zamknęła oczy. Usłyszała stłumione stuknięcie, ale postanowiła je zignorować. W następnej chwili poczuła na ramieniu męską dłoń. Ross przetoczył

Meg na plecy, wsunął drugą rękę pod jej kolana i uniósł ją jak piórko, nie zważając na ranną nogę. Zanim oszołomiona Meg zdążyła zaprotestować, już leżała na koi.

TLR

## Rozdział trzeci

- Zostaw mnie! - krzyknęła ze złością.

- Proszę bardzo. - Ross wpackował się za nią do łóżka i poprawił prześcieradło tak, aby oboje byli przykryci. Uwięziona przy ścianie Meg usiłowała się wygrzmolić, ale Ross zagroził jej drogę nogą. - Przestań panikować. Może wyglądam jak brutal, lecz nie mam w zwyczaju przymuszać kobiet do uległości. Gdybym chciał mieć cię pod sobą, już dawno byś się tam znalazła, uwierz mi.

- Zachowujesz się skandalicznie - wykrztusiła zbulwersowana Meg.

- Niby dlaczego? Bo cię nie gwałcę?

- Bo robisz niestosowne aluzje. - Poczowała, że oblewa się potem, widomy znak narastającej paniki. Gdyby Ross postanowił ją zniewolić, nie zdołałaby go powstrzymać, ba, nawet nie była pewna, czy w ogóle by chciała.

- Właśnie to cię trapiło, czyż nie? Z takim problemem lepiej się uporać szybko i mieć go z głowy. - Wyglądało na to, że temat rozmowy nie jest dla Rossa powodem do zakłopotania.

Bezwstydny jegomość, pomyślała Meg, jednak lęk przed gwałtem powoli ustępował.

- Pojmij - ciągnął Ross, nie doczekawszy się jej reakcji. - Nie będę leżał w łóżku ze świadomością, że z mojego powodu kobieta śpi na podłodze. Gdyby koja była jednoosobowa, zająłbym podłogę. Ponieważ oboje bez trudu mieścimy się na materacu, głupotą byłoby skazywanie ciebie lub mnie na niewygodę.

- Może tobie jest teraz wygodnie, lecz nie mnie, to pewne.

Znajdowali się tak blisko siebie, że gdyby głębiej odetchnęła, ich ciała musiałyby się zetknąć. Meg usiłowała zignorować coraz silniejsze bicie serca.

- Daję ci słowo oficera, że jesteś bezpieczna.

Wyczuła po jego głosie, że jest rozdrażniony, zapewne dlatego, że odbierała mu sen. Na szczęście nie umiał czytać jej w myślach.

- Och, wierzę w twoje słowo - zapewniła szczerze. - Kiedy nie śpimy. We śnie możemy jednak... hm... niechcący się dotknąć.

- Na litość boską! - zachnął się Ross. - Przez pięć lat żyłaś w wojsku nawet nie z jednym, lecz z dwoma mężczyznami, a zachowujesz się tak, jakbym porwał cię z klasztoru. - Demonstracyjnie odwrócił się plecami i znieruchomiał.

Meg doszła do wniosku, że gdyby leżała z łokciami mocno przyciśniętymi do boków i z wyprostowanymi nogami, sztywna jak deska, mogłaby udawać, że nie śpią w tym samym łóżku. Ponieważ nic jednak nie wskazywało, że Ross zacznie ją obłapiać, ostrożnie odwróciła się twarzą do ściany i wtedy ich pośladki się zetknęły. Meg odsunęła się jak oparzona i powróciła do poprzedniej pozycji. Uznała, że to lepsze wyjście, gdyż zdoła ułożyć się tak, aby w żaden sposób nie dotykać Rossa.

Nie mogła jednak uniknąć jego zapachu. Leżała obok mężczyzny, który na szczęście umył się najlepiej, jak potrafił, i usunął ze skóry pozostałości po brudnej, rzecznej wodzie, a także kurz i pot. Meg żadną miarą nie mogła się skupić na wypoczynku. Przez cały czas obsesyjnie myślała o tym, jak przyjemnie byłoby przytulić się do tych mocnych, męskich ramion i delektować poczuciem bezpieczeństwa.

Prawdę powiedziawszy, James nigdy nie był szczególnie jej oddany i zatroskany o jej dobro, nawet na początku związku, zawartego w atmosferze skandalu, po ucieczce z domu. Meg ceniła jednak siłę męża, jego młodość i urodę. Do tego traktował ją miło i uprzejmie, w dodatku miał poczucie humoru. Wesoło spędzali razem czas, przynajmniej wtedy, gdy wszystko szło po jego myśli. Niestety Meg szybko się przekonała, że pogodny nastrój Jamesa znika, gdy pojawiają się przeciwności losu.

Kiedy brali ślub, sądziła, że go kocha. Nie mogła przewidzieć, że James przez cały czas będzie ją okłamywał.

Mimo bolesnych wspomnień poczuła, że ogarnia ją sen. Przywarła plecami do ściany i całkiem wyczerpana w końcu zasnęła.

Gdy Ross się ocknął, uświadomił sobie, że leży na plecach w łóżku, które się kołysze. A więc znajdował się na wodzie. Wydarzenia wczorajszego dnia powoli odżywały w jego umyśle. Dziecko, rzeka, kobiecy głos...

Wyciągnął nogi, otworzył oczy i w tej samej sekundzie poczuł przenikliwy ból w prawym kolanie. Jednocześnie uświadomił sobie, że nastał dzień, statek wznowił podróż, a w łóżku śpi ciepła, miękka istota.

Dziwne, że fakt ten nie dotarł do niego w pierwszej kolejności. Wtulona w niego młoda kobieta opierała mu głowę na ramieniu, a rękę na torsie. W trakcie snu Ross najwyraźniej objął ją i przytulił tak mocno, że wyczuwał każde jej zagłębienie i każdą miękką wypukłość.

Momentalnie poczuł podniecenie. W jego życiu nie brakowało kobiet, które zaspokajały go fizycznie, lecz nie miał zwyczaju spędzać z nimi nocy. Rozliczał się zaraz po fakcie, żeby uniknąć przykrych rozczarowań o poranku.

Jednak Meg Halgate nie zależało na jego pieniądzach. Pragnęła rozmawiać, oczekiwała zwierzeń, jakby ich przypadkowe spotkanie mogło się przerodzić w coś trwalszego. Na dodatek uratowała mu życie, a w zamian za kąpiel w kajucie otoczyła go opieką w drodze powrotnej do Anglii.

Czy należy jej podziękować? Mocno w to wątpił. Wczoraj czuł się fatalnie i nie miał ochoty zastanawiać się, czy jest wdzięczny Meg za wydobycie go z topieli.

Natomiast dzisiaj... Dzisiaj musiał wziąć się w garść i pogodzić z losem. Był poważnie ranny, nie miał szansy ponownie stanąć w szeregach strzelców, za to najprawdopodobniej czekało go kalectwo. Jako siedemnastolatek uciekł od normalnego życia, które teraz gwałtownie upomniało się o niego, na powrót wciągało w swoje tryby.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ross ostrożnie uniósł rękę, żeby nie obudzić Meg, i odblokował zasuwkę. W drzwiach pojawiła się rozczochrana głowa Johnny'ego.

- Gorącej wody, panie majorze? - spytał chłopak.

- Tak. Przynieś też kawy i zabierz pomyje, byle cicho - szepnął Ross.

Meg jednak już nie spała. Usłyszał jej gniewne sapnięcie, a w następnej chwili odsunęła się gwałtownie i przywarła plecami do ściany.

- Co, u licha... - wykrztusiła, szeroko otwierając oczy.

Była wstrząśnięta i wystraszona.

Ross zrozumiał, że poprzedniego dnia tylko udawała, że się nie boi. Teraz, po gwałtownym przebudzeniu, ujawniła mimowolnie, co naprawdę sądzi na jego temat. Czuł, że zaraz wrzaśnie na niego.

- Chłopiec pokładowy jest tutaj, kochanie. - Ross przyłożył dłoń do jej ust, ponadto zasłonił Meg sobą, żeby Johnny nie zauważył nic niepokojącego. - Poprosiłem go o go-



raćą wodę i kawę. - Skinał mu głową. - To wszystko, chłopcze, na razie nie mamy więcej życzeń. - Przytrzymał ją mocno, póki drzwi się nie zamknęły.

Ale gdy już puścił Meg, rzuciła się na niego z pięściami i pazurami.

- Ty brutalu! - syknęła. - Ty zakłamany, sprośny...

- Ejże! - Ross odwrócił się do niej i nie zważając na obolałą nogę, przycisnął Meg do poduszki. - Ani mi się waź wrzeszczeć! Co w ciebie wstąpiło, kobieto? Mówiłem przecież, że nie mam w zwyczaju zmuszać niewiast...

- Powiedziałeś, że będę bezpieczna! - przerwała mu gwałtownie. - Dałeś słowo oficera, a kiedy się obudziłam, obmacywałeś mnie bezwstydnie, ty drabie...

Ponownie zatkał jej usta dłonią i jednocześnie oparł ciężar ciała na łokciach. Bolała go noga, chciał napić się kawy, a ta piekielnica wyzywała go od kłamców. Na dodatek namacalnie czuł, jaka jest delikatna i miękka...

- Wysłuchaj mnie, na litość boską - wycodził przez zęby. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że mógłby policzyć rzęsy okalające szeroko otwarte oczy Meg. Gdy przyciskał ją do materaca, usiłowała pokąsać jego rękę. - Nie kłamie i nie łamię danego słowa. Obudziłem się, a ty leżałaś przytulona do mnie, z ręką na mojej piersi. Rzeczywiście cię obejmowałem, choć nie wiem, jak do tego doszło. - Gdy Meg zamarła, dodał: - To wszystko. Naprawdę uwierz, że w nocy nic się nie zdarzyło. Jeśli się dobrze zastanowisz, sama się przekonasz, że nie zniewoliłem ciebie. - Gdy zrobiła wielkie oczy i popatrzyła na niego tak, jakby ją uderzył, spytał cicho, cofając rękę: - Czy ktoś... zrobił ci krzywdę?

- Usiłowali. - Zacisnęła powieki, żeby uniknąć jego spojrzenia. - We trzech. Wpadłam w pułapkę. Było jasne, czego chcą i co robią. James nie żył wtedy od dwóch tygodni.

- Usiłowali... Co się więc zdarzyło?

- Peter... Doktor Ferguson usłyszał moje krzyki i zabrał mnie do swojego namiotu. Następnego dnia dotarły wieści, że nie żyje osoba, którą kochał. Kompletnie się załamał, więc zostałam przy nim.

- Dwa tygodnie po śmierci męża? - Rossowi nie udało się ukryć niesmaku w głosie.

- Ukochany Petera był mężczyzną - wyjaśniła Meg, spoglądając na niego przenikliwie. - Młodym porucznikiem.

- Ależ to...

- W najgorszym wypadku szubienica, w najlepszym degradacja, hańba i karne usunięcie z armii - dokończyła za niego. - Peter był w tak fatalnym stanie, że nawet nie próbował dochować tajemnicy. Zostałam z nim, dzięki czemu udało nam się zatuszować ten... problem. Powiedziałam wszystkim, że zapadł na zakaźną gorączkę. Po kilku dniach doszedł do siebie, a jego bladość i przygnębienie złożono na karb choroby.

- Czyli, jak rozumiem, nigdy nie zostałeś jego kochanką?

- Nigdy. Liczyło się tylko to, że byliśmy bezpieczni. Chroniliśmy się wzajemnie. Panie majorze, czy mógłby pan ze mnie zejść? - zapytała sztywno.

Dopiero teraz Ross uświadomił sobie, że leży na Meg i przygniata torsem jej piersi.

- Psiamać! - Przetoczył się na skraj koi i usiadł.

- Tak lepiej... - Meg również usiadła, niezdarnie okrywając się zmiętym prześcieradłem.

- Przepraszam. Chciałem powstrzymać cię od krzyków.

Odgarnęła kosmyki, które wymknęły się z warkocza, po czym powiedziała cicho:

- Obudziłam się i nie miałam pojęcia, gdzie jestem. W pierwszej chwili cię nie poznałam.

Przynajmniej nie miał już złudzeń, co o nim myśli jako o mężczyźnie. Ross odwrócił głowę, żeby bez skrepowania mogła zejść z łóżka.

- W takim razie zasługuję na twoje uznanie, gdyż udało mi się powstrzymać dzikie, zwierzęce żądze. - Najłatwiej było obrócić wszystko w gorzki żart.

Meg wstrzymała oddech, ale kiedy na nią spojrział, uśmiechnęła się w miarę spokojnie.

- Skoro ogarniają cię żądze, w dodatku dzikie i zwierzęce, choć jesteś wyczerpany ratowaniem dziecka, podtopiony, po zabiegu oczyszczenia poważnej rany, to jestem pełna podziwu dla twojej wytrzymałości - powiedziała.

Powiódł wzrokiem po jej krągłościach wyraźnie zarysowanych pod cienką halką i omal się nie uśmiechnął. Ile czasu minęło, kiedy miał powód do uśmiechu? I kiedy ogar-

nęła go namiętność, która nie sprowadzała się wyłącznie do zaspokojenia podstawowej potrzeby? A teraz tak właśnie się działo. Meg powinna doprowadzać go do szalu przez swą krnąbrność i niezależność, lecz miała w sobie coś takiego... Na razie umiał wymyślić tyle, że wprawdzie była krnąbrna, ale w uroczy i zabawny sposób. Pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z rozmarzenia. Nie powinien snuć takich rozmyślań o kobiecie, która tak naprawdę była dla niego zupełnie obcą osobą.

- Jakie masz plany na dzisiaj, Meg? - zapytał.

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy odnosić się do siebie w tak nieformalny sposób - oświadczyła oschle.

- Pozwoliłem ci mówić do mnie po imieniu, no i jako małżeństwo powinniśmy traktować się familiarnie, czyż nie?

- Może i tak - zgodziła się ostrożnie. Była zaróżowiona i rozczochrana, co tym mocniej podniecało Rossa. - Umyję się i ubiorę, a potem spojrzę na twoją nogę. Być może trzeba będzie zmienić opatrunku. Proszę więc, pozostań w łóżku. Natomiast ja znajdę sobie jakieś zajęcie, kiedy akurat nie będę zaspokajała twoich potrzeb.

Ross miał na końcu języka pytanie, czy Meg zamierza zaspokajać wszystkie jego potrzeby, ale w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać od niefortunnego żartu. Wolał nie kusić losu.

Meg zarzuciła szal na ramiona, zastanawiając się, dlaczego Ross patrzy na nią wilkiem. Jeśli nie odpowiadała mu perspektywa leżenia w łóżku przez cały dzień, to miał pecha, gdyż w tej materii nie zamierzała ustąpić. W razie konieczności była gotowa ukryć spodnie Rossa, byle tylko zatrzymać go w kajucie. Tak naprawdę powinien odpoczywać co najmniej przez tydzień, mogłaby to jednak osiągnąć tylko wtedy, gdyby przywiązała go do koi. Tylko czy znalazłaby na statku odpowiednio mocne sznury, by skutecznie unieruchomić tego niedźwiedzia?

Jej serce nadal waliło po tym, jak się obudziła i ujrzała nad sobą potężnego mężczyznę, który ją obezwładnił.

Przez jedną upiorną chwilę nie miała pojęcia, kim jest ten ponury wielkolud.

Poczuła dreszcz, ze wstydem uświadamiając sobie, że Ross jest zaskakująco zmysłowy. Do licha, cóż takiego działo się z jej ciałem? Może chodziło o to, że znalazła się

w nieznanym dotąd świecie, korzystała z wolności i nie musiała przejmować się nieżyczliwymi spojrzeniami.

Ktoś zapukał do kajuty. Gdy Johnny wnosił gorącą wodę, Meg ukryła się za kotarą.

- Postaw wiadro przy zasłonie, żeby pani Brandon mogła dosięgnąć - polecił Ross.

- I nalej mi kawy. Za pół godziny przynieś więcej gorącej wody.

Mycie się w gorącej wodzie było przyjemne, zwłaszcza że podgrzał ją i przyniósł ktoś inny. W trakcie ablucji Meg musiała robić wygibasy, których nie powstydzilby się człowiek guma z Astley's Amphitheatre, ale na koniec jej humor ogromnie się poprawił. Na dodatek tak wczoraj sponiewierana suknia wreszcie wyschła i wcale nie wyglądała tak strasznie, jak można było się spodziewać.

Gdy wychyliła się zza kotary, Ross siedział na łóżku, ściskając w dłoni kubek z aromatyczną kawą.

- Będę jadać śniadania z innymi pasażerami - oznajmiła Meg. - Przy okazji powiem Johnny'emu, żeby przyniósł ci coś na ząb, kiedy będzie tu zmierzał z gorącą wodą. Po moim powrocie przyjrzymy się twojej nodze.

- Oboje?

- Owszem, oboje. Też musisz dokładnie ją obejrzeć, gdyż dzięki temu zrozumiesz, dlaczego tak się o nią troszczę i w konsekwencji sam lepiej o siebie zadbasz, bo teraz jak najbardziej zasługujesz na to, by ci tę nogę odjęto. - Poirytowana wepchnęła włosy pod siatkę, przewiązała szal na ramionach i wyszła. Za progiem wydało się jej, że słyszy przyciszony głos Rossa, który wymamrotał, że to i tak bez znaczenia, ale postanowiła zignorować tę uwagę.

Minęło sporo czasu od wczorajszej kolacji i Meg cieszyła się na przyjemną rozmowę z towarzyszami podróży. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała okazję zachowywać się jak dama. Przed śmiercią Jamesa, jako żona oficera, cieszyła się niejakim poważaniem, potem jednak stała się godną pogardy jawnogrzesznicą. Wprawdzie kilka oficerskich żon wierzyło, że Meg nie miała pojęcia o bigamii małżonka, lecz inne z wielkim zapalem oskarżały ją o dwulicowość. Wszystkie kobiety w pułku unikały jej jak ognia, a gdy zamieszkała z Peterem Fergusonem i zniżyła się do opieki nad rannymi szeregowcami, stała się wręcz *persona non grata*.

Meg nie mogła zrozumieć, dlaczego zajmowanie się męznymi żołnierzami, którzy przelali krew za ojczyznę, było dla ludzi równie szokujące, co jej rzekome życie w grzechu. Na szczęście szybko przestała się liczyć z opinią innych. Bolesna i szokująca była dla niej wyłącznie zdrada Jamesa. Nie godząc się z tym i jakby nie przyjmując do wiadomości wstrząsającego postępu męża, Meg konsekwentnie używała jego nazwiska.

Otoczona trójką starszych dzieci signora Rivera wskazała jej miejsce naprzeciwko siebie, więc Meg otrząsnęła się z przykrych wspomnień i zasiadła do stołu.

- Jak się miewa mały José, signora? - spytała z uśmiechem.

- Znacznie lepiej, dziękuję, signora Brandon. Prawdę powiedziawszy, z trudem utrzymuję go w łóżku. Na szczęście służąca ma na niego oko, kiedy zajmuję się małą Rosą. A jak samopoczucie pani bohaterskiego męża?

- Całkiem dobre, signora, choć musi dużo odpoczywać. Jest ranny w nogę.

- Od dawna są państwo małżeństwem?

Meg poczuła się nieswojo, jednak wytłumaczyła sobie, że po prostu nie przywykła do towarzystwa kobiet. Było najzupełniej naturalne, że signora Pavera chciała poplotkować podczas podróży.

- Czuję się tak, jakbyśmy brali ślub zaledwie wczoraj - oznajmiła z udawanym zabawieniem.

Signora Rivera oczywiście uznała to za miły żart, po czym skierowała rozmowę na swój temat.

Po posiłku Meg wybrała się na spacer po pokładzie. Była zaskoczona, że musi kurczowo trzymać szal pod szyją, by nie zmarznąć na wietrze. Statek znajdował się na otwartych wodach zatoki i wyglądało na to, że pasażerowie ujrzą ląd dopiero po minięciu Bretanii.

Gdy doszła do wniosku, że Ross na pewno zakończył toaletę i zjadł śniadanie, zeszała na dół. Drzwi kajuty nie były zamknięte na zasuwkę, a gdy weszła do środka, jej rzekomy małżonek stał przy iluminatorze w luźnych, białych spodniach marynarskich oraz w jednej ze swoich lepszych koszul, zresztą rozchełstanej pod szyją.

Ross odwrócił się do Meg i spojrzał na nią typowym dla siebie, chłodnym wzrokiem.

- Co ty wyprawiasz, u licha? - Ze złością zatrzasnęła drzwi. - Czy nie kazałam ci zostać w łóżku i wypoczywać, psiakrew?

Uniósł brwi, a jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej przekorne niż zwykle.

- Pani Brandon, wyraża się pani tak dosadnie, że uszy więdną!

- Bo po prostu brak mi słów! - piekliła się. - Jesteś niemożliwy. Zdejmuj spodnie i marsz do łóżka! Natychmiast!

Z prowokacyjnym uśmieszkiem Ross sięgnął do tasiemki przy spodniach, rozplątał kokardę, a następnie zabrał się do rozpinania guzików przy rozporku.

- Na litość boską, poczekaj, aż wyjdę! - Przerażona Meg uciekła.

Była pewna, że Ross wybuchnie śmiechem, ale się myliła. Dopiero na korytarzu przypomniała sobie, że nie zwykł się choćby uśmiechać, o prawdziwym śmiechu nawet nie wspomniawszy, tylko zachowywał ponury wyraz twarzy nawet wtedy, kiedy sobie z kogoś dworował.

Z ciężkim westchnieniem oparła się o drzwi, gdy nagle uświadomiła sobie, że widok opadających spodni Rossa sprawił jej dziwną przyjemność. Wczoraj widziała go zupełnie nagiego, i choć podziwiała wspaniałą sylwetkę, nie czuła się prawie wcale zakłopotana. Teraz jednak najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Po chwili zapukała w twarde, chropowate drewno i spytała niepewnie:

- Czy leżysz już w łóżku?

- Owszem - dobiegła ją uprzejma odpowiedź.

Meg weszła do kabiny

- Skąd wzięłeś te spodnie? - Minęła go ze wzrokiem wbitym w podłogę i podeszła do torby lekarskiej. - Zapewne od Johnny'ego, prawda?

- Jak najbardziej. Są bardzo praktyczne - oświadczył Ross głucho. - Ale to bez znaczenia.

Meg zamarła. Słyszała podobny ton w głosach mężczyzn wymęczonych walką i bólem, którzy mieli tak bardzo wszystkiego dość, że byli na skraju samobójstwa. Nie obchodziło ich nawet to, że komuś na nich zależy, i że skracając sobie życie, mogą unieszczęśliwić innych. Ross zachowywał się tak, jakby na zobojętniał wszystko. Przeszło jej przez myśl, że pewnie dlatego zaniedbał nogę, i z tego powodu miał tak mroczny wzrok.

Czuła, że w wypadku Rossa nie chodziło ani o wojenny stres, ani o uciążliwy ból w nodze. Dokuczały mu znacznie głębsze rany, lecz Meg nie wiedziała, kto mu je zadał.

Rozpostarła ręcznik na kufrze i rozłożyła potrzebne przybory, potem nalała wody do miski i postawiła ją przy łóżku. Dręczyła ją myśl, że nie tylko nogę Rossa powinna leczyć. Uratowała go od niechybnej śmierci w rzece, lecz żeby ten czyn miał sens, musiała uświadomić Rossowi, dlaczego warto żyć.

- Nie widzę krwawienia. - Odsunęła prześcieradło i położyła dłoń tuż przy bandażu. Nie uszło jej uwagi, że Ross drgnął. - Nie ma oznak stanu zapalnego ani przegrzania. - Nie reagował, kiedy rozplątywała węzły i odwijała bandaż. W końcu uniosła opatrunek. - Wygląda lepiej niż wczoraj. - Pochyliła się, aby dyskretnie powąchać rozdartą skórę. Miała nadzieję, że Ross tego nie dostrzeże. - No proszę, opuchlizna nieco zmaląła. Trzeba często czyścić ranę i zacząć spokojne ćwiczenia. Wydaje się, że krew normalnie płynie w przyległych mięśniach, co przyspiesza gojenie.

- Zatem nie ma śladów zgorzeli? - spytał spokojnie, zupełnie jakby chciał wiedzieć, co będzie na kolację, a przecież w grę wchodziło nawet jeśli nie jego życie, to zdrowie lub kalectwo.

- Nie. - Obmyła ranę, przyłożyła świeży opatrunek i zabrała się do ponownego bandażowania. - Pozostawię to na parę dni tak, jak jest, a jutro będziesz mógł zacząć ponownie chodzić. - Gdy nie skomentował jej słów, dodała: - Zakładam, że na morzu spędzimy trzy lub cztery dni. Nim wpłyniemy do portu, powinieneś czuć się znacznie lepiej, choć nawet wtedy nie wolno ci będzie jeździć konno.

- I tak zamierzałem wynająć powóz pocztowy - oznajmił Ross.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nie interesowało go, co przyniesie przyszłość. Czyżby niczego nie oczekiwał od losu? Przeszył ją dreszcz. Sama zdołała w końcu podjąć pewne decyzje. Zamierzała znaleźć w Falmouth niedrogi, lecz przyzwoity nocleg na noc lub dwie, by wypocząć po trudach podróży i oswoić się z Anglią. Potem postanowiła udać się prosto do Martinsdene, do Arabelli i Celiny. Dalej jej wyobraźnia nie sięgała. Meg wierzyła, że siostry cieszą się dobrym zdrowiem, a nie dostawała od nich listów tylko z powodu ojca, który przechwytywał i niszczył wszelką korespondencję.

Ross Brandon chyba w ogóle nie zastanawiał się, co zrobi po zejściu na ląd. Statek był doskonałym środkiem transportu dla kogoś, kto nie chciał podejmować decyzji. Wystarczyło się zaokrętować i tyle. Nie było okazji do zmiany zdania, wyboru innej trasy. Pasażerowie odzyskiwali wolną wolę dopiero w porcie.

- Jak daleko jest z Falmouth do twojego domu? - Związała ostatnie węzły i zasłoniła opatrunek prześcieradłem.

- Jak daleko do mojego domu? - Ross zawiesił na niej ciężki wzrok, zupełnie jakby zadała głęboko filozoficzne pytanie, które należy rozważyć z niebywałą starannością. - Trzydzieści lat - odparł w końcu.

TLR



## Rozdział czwarty

- Trzyście lat... - Zdumiona Meg wpatrywała się w niego. - Ale jaki dystans trzeba pokonać?

Ross wzruszył ramionami, gdy dotarło do niego, co powiedział. Jak miał to wytłumaczyć? Odparł więc po prostu;

- Niezbyt daleko, choć drogi są wąskie.

Nie mile dzieliły go od miejsca urodzenia, lecz poczucie winy i straty.

- A gdzie mieszkasz? - Meg niby skupiła się na pakowaniu przyborów do lekarskiej torby, lecz z uwagą czekała na odpowiedź.

- Jadę do pewnej wsi nieopodal Falmouth, na półwyspie Roseland. - Łatwiej było powiedzieć prawdę, niż robić uniki.

Prowadzenie rozmowy towarzyskiej sprawiało mu trudność, zupełnie jakby mówił w obcym języku, którego gramatyki jeszcze nie zdołał opanować. A przecież nie był z natury człowiekiem nietowarskim, lecz nagle wszystko się zmieniło, kiedy dotarło do niego, z jaką przyszłością będzie się zmagał. Kula w nodze definitywnie zakończyła jego karierę wojskową, musiał opuścić ukochany oddział strzelców. Co więcej, musiał wrócić tam, gdzie był nieszczęśliwy, przejąć schedę po ojcu i żyć w otoczeniu duchów, które go prześladowały.

- Jak to uroczo brzmi - z westchnieniem powiedziała Meg, rozglądając się po kajucie. Złożyła spodnie Rossa, zwinęła ręcznik i poprawiła zgięty róg kotary. - Cieszę się, że zawitam do Falmouth. Zawsze pragnęłam poznać zachodnią część kraju oraz wybrzeże, zwłaszcza odkąd wpadła mi w ręce pewna dość głupia, przyznaję, powieść o piratach i przemytnikach. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Czytywałam ją potajemnie nocami, psując wzrok i zapełniając umysł historiami o przygodach, tajemniczych wyspach i zatokach.

- Opuściłem dom jako siedemnastolatek - wyznał Ross. - W tak młodym wieku trudno docenić uroki wsi, ale lubiłem penetrować jaskinie, wdrapywałem się na strome urwiska i pływałem w morzu. I potajemnie planowałem ucieczkę do wojska, to było dla mnie najważniejsze. Choć tak młody, a byłem najlepszym strzelcem w okolicy. Za dnia

wędrowałem z głównym łowczym ojca, Tregarne'em, a nocami wymykałem się z domu, żeby włóczyć się po lasach z kłusownikiem Billym Gillanem. - Zamknął oczy, żeby przypomnieć sobie emocje, które wtedy odczuwał. Niecała jego młodość była nieszczęśliwa. - Umiałem ustrzelić bażanta albo gołębia, nauczyłem się tropić zwierzynę i unikać ludzi Tregarne'a, a wszystko to dzięki Billy'emu. Przebiegły stary łotrzyk znał się na rzeczy.

- Zatem dobrze będzie, że wrócisz na spokojną wieś, z dala od wojny, hałasu i śmierci.

- Nie. - Przerażała go wizja powrotu do cichego życia, pozbawionego tego, co znał i rozumiał. - Brygada strzelców była moim marzeniem, szansą na wykorzystanie i doskonalenie umiejętności. Na wsi uczyłem się rzemiosła, nic ponadto. - Wzdrygnął się na myśl o oczekującej go ciszy. Dziwne, tego się akurat nie spodziewał, przecież był przekonany, że z ulgą powita spokój. Gdy trafił na wojnę, z początku sądził, że oswoi się z hałasem i bliskością śmierci. Inni młodzi mężczyźni stopniowo przyzwyczajali się do zabijania wrogów z ukrycia, obojętnieli na strzelanie do ludzi. W jego przypadku wprawdzie powoli, lecz nieuchronnie zgroza narastała, aż wreszcie czuł się tak, jakby śmierć nieustannie czuwała przy jego boku i spoglądała w celownik za każdym razem, kiedy mierzył do wroga. Nic dziwnego, skoro w Anglii pozostawił po sobie schedę śmierci.

- Tak, niewątpliwie młodych mężczyzn interesują inne sprawy. Życie na wsi wydaje im się nudne - zgodziła się Meg. - Czy będzie cię oczekiwała liczna rodzina?

- Nikt nie będzie na mnie czekał. - Powiedział to rzeczowo, bez emocji, dlatego nie sądził, że ujrzy smutek na twarzy Meg.

- Ogromnie mi przykro - szepnęła.

- Niepotrzebnie. Moja matka zmarła półtora roku po tym, jak się zaciągnąłem, młodszy brat odszedł sześć lat później. Ojciec umarł cztery miesiące temu - wyliczał Ross oschłym tonem, jakby nie odczuwał żadnych emocji.

- Ja mam dwie siostry, starszą i młodszą. - Meg usiadła i zabrała się do inspekcji jego koszul, szukała dziur i poluzowanych guzików. Ross miał ochotę powiedzieć, żeby nie zastępowała mu lokaja, lecz gdy była zajęta, nie patrzyła na niego, dzięki czemu mógł ją dyskretnie obserwować. Sprawiało mu to dziwną przyjemność. - Celina, naj-

młodsza z nas, jest słodka, potulna i poczciwa. Arabella, najstarsza, jest praktyczna, dobra i wrażliwa.

- Czyli taka jak ty. - Ze zdumieniem ujrzał rumieńce na jej policzkach.

- Musiałam się nauczyć, jak postępować praktycznie. - Szarpnęła guzik i uznała, że trzyma się dostatecznie mocno. - Niegdyś byłam marzycielką, niepoprawną romantyczką. Bezustannie wpadałam w tarapaty, papa miał ze mną nieustające kłopoty. - Odłożyła koszulę i rozpostarła prawą dłoń, po czym spojrzała na nią tak, jakby dostrzegła coś, czego już tam nie było. Przeszył ją dreszcz i znów zabrała się do szycia.

- Ale koniec końców wyszłaś za ukochanego mężczyznę, tak? Bez wątplenia był twoją miłością z dzieciństwa. - Jakie to urocze, pomyślał Ross. Bardzo romantyczne.

- Owszem. - Skinęła głową, nie odrywając wzroku od nici. Najwyraźniej nie wyчуła ironii w głosie Rossa. - Uciekłam. Pomogła mi Bella, co było niesłychanie odważne z jej strony. - W skupieniu nawlekała igłę. - Papa z pewnością nigdy się nie domyślił, że tak postąpiła, nie sądzę zatem, by poniosła jakieś konsekwencje. W każdym razie taką mam nadzieję.

- Konsekwencje? - zdziwił się. - Czy to znaczy, że wasz ojciec był bardzo srogi?

- Ogromnie, zwykle jednak to ja dostawałam baty. Bella była zbyt rozważna, żeby go wyprowadzać z równowagi, a Lina za bardzo nieśmiała. Opuściłam dom rodzinny między innymi w przekonaniu, że w ten sposób zapewnię siostronom znacznie bezpieczniejsze życie. Papa zbyt często wpadał w szały z mojego powodu.

Chciała powiedzieć, że zależało jej na bezpieczeństwie sióstr, pomyślał Ross. Jaki tyran śmiał chłostać młodą dziewczynę? Rzecz jasna, miał do tego prawo, ojciec był panem w swoim domu. Ross dobrze pamiętał różgę, którą obrywał za każdym razem, kiedy wychodziły na jaw jego sprawki. Chłopcy zawsze byli surowo karani i nie miał tego za złe ojcu. Jak jednak można podnosić rękę na delikatną, kruchą istotę? Jak mężczyzna może bić kobietę?

- Dobrze się teraz miewają? - zapytał. - Wyszły za mąż, wyprowadziły się?

- Nie wiem. Często do nich pisywałam, ale nigdy nie dotarła do mnie żadna odpowiedź. Najprawdopodobniej papa przejmował listy.

- Zatem po zejściu na ląd zamierzasz wrócić do rodzinnego domu?

- Au! - Meg upuściła igłę i wepchnęła kciuk do ust. - Tak, ale nie zjawię się na progu, żeby błagać o przyjęcie mnie z powrotem - zapowiedziała twardo.

Ross popatrzył jej w oczy, lecz dostrzegł w nich tylko skupienie.

- Czemu nie wynajmiesz umyślnego, który pojedzie na miejsce i zasięgnie języka? W ten sposób zyskałabyś spokój, a na dodatek nie musiałabyś podróżować tam sama.

- Nie... - Powoli złożyła koszulę. - Muszę tam, sama pojechać... i to jak najszybciej.

- A co z twoimi teściami? Na pewno ci pomogą osiedlić się w Anglii, prawda? - Był zbulwersowany faktem, że Meg może liczyć tylko na siebie. Z drugiej strony jednak dobrze wiedział, że nie powinien wtrącać się w jej sprawy. Była dorosłą, niezależną kobietą, a nie małą, zagubioną dziewczynką.

- Uciekłam z Jamesem i potajemnie wzięliśmy ślub - wyznała z pozornym spokojem, ale w jej oczach pojawiły się dziwny błysk. - Teściowie do dziś obarczają mnie winą za to, że sprowadziłam ich syna na złą drogę.

Ross czuł coraz większe zdumienie. Minęło dużo czasu, odkąd opuścił Anglię, lecz pamiętał, że skandale związane z uciezkami dziewcząt były szybko uciszane po zamążpójściu.

- Nader jasno określili swoje stanowisko, gdy napisałam do nich list z informacją o tym, co się stało. - Meg wzruszyła ramionami. - Nawet nie mogłam przywieźć im wnuka. Teraz, rzecz jasna, wszyscy odwrócili się ode mnie. Nie jestem pewna, czy z powodu dzielenia namiotu z doktorem Fergusonem, czy też dlatego, że opiekowałam się rannymi. W każdym razie jestem zdana wyłącznie na siebie i sama muszę ułożyć sobie nowe życie.

Meg często opuszczała kabinę, żeby załatwiać rozmaite sprawy. Późnym popołudniem wyszła na pół godziny, a po powrocie poinformowała Rossa, że morze jest coraz bardziej wzburzone, co i tak odczuwał. Statek kołysał się mocno, a głośne skrzypienie drewna zdawało się dobiegać ze wszystkich stron.

- Ale świeci słońce i chyba dotrzemy na miejsce przed czasem - dodała, kończąc pracę przy ostatniej z jego podniszczonych koszul. - I już. Teraz masz pięć koszul, które

prezentują się w miarę przyzwoicie. Schowam je i sprawdzę, co się da zrobić z twoim mundurem. Na szczęście już wysechł.

Kiedy pochyliła się nad otwartym kufrem, Ross z zainteresowaniem popatrzył na jej krągłe biodra. Pożądanie, które dręczyło go od samego ranka, ani odrobinę nie osłabło, na co nic nie mógł poradzić. Wiedział, że czeka go ciężka noc, lecz zwalczy pożądanie, bo za nic nie chciał nadużyć zaufania Meg.

- Och, książki! - wykrzyknęła Meg. - Mnóstwo książek!

- Wybierz sobie którąś, jeśli masz ochotę poczytać.

Ross pomyślał, że ktoś powinien czerpać z nich radość.

- Mogę? - Zanim zdążył odpowiedzieć, sięgnęła po jeden z tomów. - „Podróże Guliwera”. Zawsze chciałam to przeczytać. Podać ci coś?

- Nie. - Lektura opracowań poświęconych strategii wojskowej byłaby dla niego równie przyjemna, jak wcieranie soli w ranę.

Na myśl o tekstach klasycznych bolała go głowa, a poezja i fikcja nie nęciły go w najmniejszym stopniu. Woził ze sobą tę bibliotekę po całym Półwyspie Iberyjskim i pochłaniał książki w każdej wolnej chwili, teraz jednak w ogóle nie miał ochoty ich widzieć. W młodości pragnął przeczytać wszystko, co się da, lecz w pewnym momencie życia zupełnie zubożył na literaturę.

- Dziękuję - dodał, żeby nie wyjść na prostaka.

- Wobec tego ja ci poczytam. - Ostrożnie rozłożyła książkę na kolanach.

- Spać mi się chce.

- W żadnym razie nie powinieneś teraz zasypiać. Jeśli to zrobisz, nie będziesz dobrze spał w nocy.

Ross pomyślał, że Meg zachowuje się zupełnie jak jego stara niania, ale tylko przewrócił oczami i pogodzony z losem ułożył się wygodnie.

- Podróże do wielu odległych narodów świata, opisane w czterech częściach przez Lemuela Guliwera, w pierw lekarza, potem kapitana na różnych statkach. Część pierwsza, podróż do Lilliputu - zaczęła czytać Meg. - Ojciec mój miał szczupły majątek położony w hrabstwie Nottingham. Z pięciu jego synów ja byłem trzeci. W czternastym roku...\* - Obniżyła głos, uświadomiwszy sobie, że czyta słowa wygłaszane przez mężczyznę.

Zasłuchany Ross zamknął oczy. Doszedł do wniosku, że mimo wszystko nie zasnie.

\* Wszystkie cytaty pochodzą z: Jonathan Swift „Podróże Guliwera”, przekład anonimowy z 1784 roku, Wydawnictwo Lettrex, Warszawa, 1991 (przyp. tłum).

- ...ale nawet wpełznąć do kościoła i wyciągnąć nogi. - Meg zamknęła książkę i westchnęła, oczarowana powieścią. - Och! Czyżbym jednak cię uspiła?

- Skąd. - Ross otworzył oczy. - Bynajmniej. Pochłonęła mnie historia, którą czytałaś. Masz talent lektorski.

- Dziękuję. - Odłożyła książkę, myśląc o uśmiechu na twarzy Rossa. Wolą nie patrzeć mu w oczy, by go nie zdeprimować. - Bardzo mnie ciekawi, co będzie dalej, ale akurat skończyliśmy rozdział i jest już pora na kolację. Przyślę Johnny'ego z posiłkiem dla ciebie.

Na otwartych wodach zatoki statek kołysał się tak mocno, że trudno było poruszać się po pokładzie. Meg chwyciła się ścian, by nie upaść. Nawet ją to bawiło, gdyż zataczała się tak, jakby alkohol uderzył jej do głowy. Po dotarciu do schodów chwyciła się poręczy, ale i tak pośliznęła się na wytartym drewnie, jednak pomocna dłoń chwyciła ją za łokieć.

- Ostrożnie, proszę pani.

Gdy się odwróciła, ujrzała dwóch dżentelmenów. Nie znała ich osobiście, ale pamiętała, że razem jedli śniadanie.

- Dziękuję panu. - Skłoniła się przed tym dżentelmenem, który uratował ją przed bolesnym upadkiem. - Jeszcze nie przywykłam do wysokich fal.

Nieznajomy podtrzymał ją przez całą drogę na górę. On i jego towarzysz wyglądali na kupców, nosili się elegancko, liczyli po trzydzieści kilka lat. Jak mogła się zorientować, podróżowali bez żon i dzieci.

- Dziękuję - powtórzyła, gdy dotarli do pokładu, na którym serwowano posiłki.

Mężczyzna cofnął rękę dopiero wtedy, gdy popatrzyła na nią wymownie.

- Nazywam się Gerald Whittier, proszę pani. A to jest Henry Bates.

- Moje nazwisko Brandon. - Meg niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę, gdyż dżentelmeni stali stanowczo zbyt blisko, i rozejrzała się w poszukiwaniu signory Rivery albo jakiejś innej damy. - Za pozwoleniem, panowie, muszę zamówić wieczerzę dla męża.

- Ach, to ten kaleka, zgadza się? - zauważył Whittier. - Widzieliśmy, jak wnoszono go na pokład. Z pewnością niełatwo jest żyć z kimś tak okaleczonym, prawda, droga pani? Może zechciałaby pani zjeść w naszym towarzystwie? - Uśmiechnął się, a w jego oczach dostrzegła wielce niewskazane zainteresowanie. - Z rozkoszą panią zabawimy.

Jeszcze czego, pomyślała z irytacją.

- Mój mąż, major Brandon, nie jest kaleką - oświadczyła lodowatym tonem. - Odniósł ranę w bitwie. To bohaterski oficer.

Whittier zaczerwienił się, słysząc pogardę w jej głosie, i cofnął się o krok, kiedy go mijała. Meg doszła do wniosku, że nawet żona pułkownika nie zachowałaby się godniej, i z zadowoleniem usiadła między zajętym lekturą urzędnikiem a grubą damą z mężem.

Podczas kolacji miała Whittiera i Batesa na oku, ale nie próbowali do niej dołączyć. Usiedli na drugim końcu sali, a Meg stopniowo odzyskiwała równowagę. Może była przewrażliwiona i niepotrzebnie dopatrywała się drugiego dna w zaproszeniu pana Whittiera, niemniej złościło ją, że wyrażał się lekceważąco o Rossie.

- Madame sobie życzy? - spytał Johnny, stając u jej boku.

- Tak, bądź uprzejmy zanieść majorowi coś do jedzenia - odparła Meg. - Jeszcze nie przywykłam do kołysania.

- A pan major co by sobie życzył, madame?

- Wszystko i dużo, bo dopisuje mu apetyt - odparła z uśmiechem. - A do tego piwo.

- Madame, tak za pozwoleniem, to z pana majora kawał chłopca - oznajmił Johnny i pośpiesznie podszedł do bufetu.

Meg przez pewien czas siedziała przy stole, a potem wyszła na górny pokład, żeby dać Rossowi jeszcze trochę swobody. Doszła do wniosku, że pewnie zmęczyło go jej towarzystwo, ale pocieszyła się myślą, że od jutra będzie mógł wstawać, więc szybko znajdzie sobie jakieś towarzystwo do pogawędek podczas podróży. Kto wie, może się okaże, że nie jest pogrążony w depresji, tylko po prostu wyczerpany, obolały i znudzony.

Na dziobie oparła się o barierkę. Wokół panowały cisza i spokój. Większość pasażerów wolała siedzieć pod pokładem, w duchocie i przy marnym oświetleniu. Odetchnęła głęboko, delektując się słonym powietrzem.

- Pani ciągle sama? - odezwał się Whittier, który nagle pojawił tuż obok niej.

Za nim stał Bates i dziwnie się uśmiechał. - Taka młoda dama nie powinna być samotna. Potrzeba pani wesołej kompanii. Nic dziwnego, że nie śpieszy się pani z powrotem do rannego bohatera.

- Jestem sama, panie Whittier, gdyż taki mam kaprys - odparła Meg wyniośle. - Dziękuję za zainteresowanie, lecz nie życzę sobie panów towarzystwa.

- Ejże, nie ma co się boczyć - mruknął Whittier.

Stali denerwująco blisko niej. Meg oparła się plecami o barierkę, świadoma, że wpadła w pułapkę. Z narastającą paniką rozejrzała się po opuszczonym pokładzie.

- Jesteśmy sympatyczniejsi niż pani kaleka. - Bates położył dłoń na jej ręce, a jego palce zdawały się parzyć skórę Meg przez bawełniany rękaw.

Zastanawiała się, czy mogą ją obezwładnić i niepostrzeżenie zawlec do swojej kajuty. Zaczęła dyskretnie rozglądać się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń, lecz nie zauważyła nic odpowiedniego. Musiała radzić sobie sama, tym razem nie mogła liczyć na ratunek.

- Panie Bates, jeśli natychmiast nie zabierze pan ręki, będę wrzeszczeć, i to bardzo głośno - wycedziła zimno w nadziei, że ktoś ją usłyszy.

Groźba nie zrobiła jednak na nich wrażenia, więc Meg nabrała powietrza w płuca, otworzyła usta...



- Ale nie tak głośno, jak pan, panie Bates, kiedy obetnę panu przyrodzenie i cisnę rekinom na pożarcie.

Natychmiast rozpoznała ten zimny głos. Zupełnie jakby przemówiła sama śmierć. Meg zanosła się histerycznym śmiechem na widok min Whittiera i Batesa, którzy obrócili się ku ponurej, ukrytej w cieniu postaci.

Ross miał na sobie poplamiony, brudny mundur z przypasaną szpadą i pistolet za tknięty za pas. Wyglądał tak, jakby dopiero co wyłonił się z gęstego dymu po krwawej bitwie albo wrócił prosto z piekła. Meg przeszło przez myśl, że jest wielki, potężny, niebezpieczny i absolutnie cudowny...

- A pan to kto, do diaska? - warknął Whittier nieprzyjemnie. - Ta kobieta jest z nami.

- Ta dama jest moją żoną - wycedził Ross, a Meg po raz pierwszy ujrzała uśmiech na jego twarzy. Nie był to jednak przyjemny widok. - Jak słyszałem, życzyła sobie, żeby ją zostawić w spokoju. Może ma pan problemy z słuchem, co? - Gdy wyciągnął szpadę z pochwy, obaj mężczyźni cofnęli się ze strachem. - Jest pan tak samo przywiązany do uszu, jak pański kompan do swoich klejnotów?

Whittier i Bates stali tuż przy barierce, bez możliwości manewru. Meg uznała, że najwyższa pora na interwencję.

- Ross?

- Tak, kochanie? - spytał ciepło.

- Kapitanowi nie przypadłby do gustu widok krwi na pokładzie.

- Istotnie. - Zamyślił się, nie opuszczając szpady. - A marynarze ciężko pracowali przy szorowaniu drewna. Czy te ludzkie pijawki cię tknęły?

- Nie, byli tylko namolni.

Ross celował w nich końcem szpady, a oni wpatrywali się w broń niczym króliki w gronostaja.

- Dobrze zatem - powiedział po chwili. - Wy dwaj, rozbierać się.

- Co takiego? - wybełkotał Bates zarówno ze strachem, jak i z niedowierzaniem.

- Słyszałeś. Do naga. Odwróć się, najmilsza, to nie będzie ładny widok.

Meg pośpiesznie odwróciła głowę. Z niezadowolonych pomruków i prychnięć Batesa i Whittiera wywnioskowała, że obaj potulnie wykonują rozkaz Rossa. Wcale się nie dziwiła, że tak szybko dali za wygraną. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego ponurą twarz, aby zyskać pewność, że nie żartował.

- Odrzucić te łańcuchy na bok, o tak - mówił właśnie. - A teraz jazda na dół.

- Przecież tam są ludzie! - wrzasnął Whittier. - A my jesteśmy goli jak święci tu-reccy!

- W istocie - przytaknął Ross. - Obawiam się, że inspiracją dla artystów to wy nie będziecie. Dalej! Ja idę tuż za wami.

Gdy mijali Meg, Ross spojrzał na nią wymownie.

- Czyż nie zaleciłem ci, byś odwróciła wzrok, moja żono? - mruknął.

Meg oderwała spojrzenie od dwóch bladych zadków obsypanych gęsią skórką, i zachichotała.

- Mój mężu, twoja ocena jest jak zwykle trafna - przyznała radośnie. - Jeszcze nigdy nie patrzyłam na coś równie odpychającego.

## Rozdział piąty

Meg pozostała na miejscu, wsłuchana we wrzaski i piski zbulwersowanych ludzi pod pokładem. Zaczynała się uspokajać, ale jej kolana ciągle drżały. Ten przykry incydent wstrząsnął nią bardziej, niż początkowo zakładała. Po chwili podniosła wzrok, gdy dobiegł ją odgłos kroków na pokładzie.

- Co się stało? - spytała.

- Chwycili półmiski ze stołu, by osłonić przyrodzenia, dzięki czemu większość obecnych nie musiała ich oglądać. Pewne jest, że do końca podróży żaden z nich nie ośmielił się pokazać publicznie. - Ross patrzył jej prosto w oczy. - Johnny zauważył, że idą za tobą, więc natychmiast pobiegł po mnie. Nic ci nie jest, Meg?

- Wszystko dobrze... - Głos jej się załamał. - Właściwie niezupełnie. To głupie, ale czuję się dość...

Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. Miała wrażenie, że obejmuje ją niedźwiedź pachnący rzeką, źle osuszonym ubraniem, a także prochem strzelniczym i dymem. Mimo to czuła się cudownie, swobodnie i zupełnie niestosownie. Objęła Rossa w pasie i przyłożyła policzek do ciemnozielonego sukna uniformu, zastanawiając się, kiedy ostatnio ktoś tulił ją równie serdecznie.

Ross był silny i wręcz niezwykle męski. Pomyślała, że powinna się odsunąć, gdyż przychodziły jej do głowy coraz bardziej nieprzyzwoite myśli.

- Czuję się już całkiem dobrze, dziękuję - powiedziała cicho.

- Mhm?

Rozchylił ramiona, a ona odsunęła się odrobinę i podniosła wzrok. Niewiele jednak widziała w słabym świetle rozkołysanej latarni, więc zmarszczyła brwi, niepewna miny Rossa. Nie miała pojęcia, że jej uważne, przeciągłe spojrzenie może zostać uznane za zachętę. Uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy Ross pocałował ją w usta.

Nie był to subtelny pocałunek, za to niezwykle satysfakcjonujący. Spontanicznie zarzuciła ręce na szyję Rossa, entuzjastycznie odwzajemniając pieśczęotę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie ze zgrozą, że posuwają się za daleko.

- Nie! - Cofnęła głowę. - Ross, nie powinniśmy tego robić.

Nie puścił jej raptownie ani nie odepchnął, choć mógł to zrobić. Miał prawo poczuć się odrzucony, jednak nadal trzymał ją delikatnie w objęciach.

- Nie? Na pewno nie, Meg?

Kiedy milczała, zastanawiając się nad sytuacją, silna fala zakołysała statkiem i mocno go przechyliła. Meg ponownie przywarła do Rossa. Tym razem uniosła dłonie i pogłaskała go po gęstych włosach.

- Chodźmy na dół - powiedział z cichym westchnieniem i poprowadził ją po schodkach, ani na chwilę nie puszczając jej dłoni.

Posłusznie ruszyła za nim, podniecona i jednocześnie pełna lęku, a przede wszystkim całkowicie niezdolna do przeciwstawienia się jego woli.

Gdy weszli do wspólnej sali, powitał ich szmer rozmów. Wyglądało na to, że pasażerowie wciąż emocjonują się skandalem, którego sprawcą był Ross.

- Pani Brandon! - zawołała jakaś kobieta.

Meg odwróciła się do tęgiej damy, która podczas kolacji siedziała u jej boku. Z pewnym zakłopotaniem uświadomiła sobie, że odruchowo reaguje na nazwisko rzekomego męża.

- Czy widziała pani to bulwersujące widowisko? - ekscytowała się dama. - Dwóch mężczyzn, gołych jak... chciałam powiedzieć, w stroju Adama i Ewy! To znaczy, Adama i Adama!

- Wielkie nieba! - Meg pokręciła głową z udawanym oburzeniem. - To wstrząsające! Z pewnością byli pijani, nie sądzi pani?

- Albo postradali zmysły - oznajmiła ponuro. - Och, pan major Brandon, nasz dzielny ratownik! Signora wszystko nam opowiedziała. I jak się pan miewa, panie majorze?

- Już odzyskałem siły, proszę pani - odparł Ross takim głosem, jakby stał przed sądem wojennym. - Zechce pani nam wybaczyć... - Poprowadził Meg między stolami i dalej, do kajuty, nadal nie puszczając jej ręki.

Kiedy weszli do środka, zamknął drzwi na zasuwkę i popatrzył Meg głęboko w oczy. Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, jak nieroztropne było ich postępowanie.

- Do łóżka - rzucił zwięźle Ross.

- Nie sądzę, żeby... - zaczęła Meg, lecz szybko urwała, zrozumiała bowiem, że dotychczas nie zdawała sobie sprawy z potężnej i nie tylko fizycznej mocy emanującej z Rossa.

Sprowokowała go, rozpałała jego namiętność, a teraz nie miała pojęcia, jak go powstrzymać, by nie sięgnął po to, co mu pochopnie zaoferowała. I czy w ogóle pragnęła go powstrzymać? W gruncie rzeczy ani trochę, lecz co nastąpiłoby potem, już po burzy zmysłów?

- Wygląda na to, że oboje przestaliśmy myśleć racjonalnie. Połóż się do łóżka. - Ross sięgnął po koce, które ułożyła na kufrze. - Ja spędzę noc na podłodze.

Meg usiadła na brzegu koi. A więc Ross nie zamierzał kończyć tego, co rozpoczęli na pokładzie, nie chciał użyć ani siły, ani perswazji. Zakręciło się jej w głowie. Pewnie dlatego, że mi ulżyło, pomyślała. Cóż, nie musiała już podejmować decyzji.

- Nie będziesz spał na podłodze. - Poczucie winy wygrało z chwilową ulgą. - Zmieścimy się na materacu, jak wczoraj zauważyłeś. Jeśli położysz się na podłodze, stan twojej nogi się pogorszy, a ja nie będę mogła zasnąć z niepokoju. Jeśli zaś ja położę się na podłodze, ty będziesz się gryzł, że jest mi niewygodnie.

- Oczekujesz, że będę spokojnie spał u boku kobiety, którą przed chwilą pocałowałem? - Spojrzał na nią zdumiony. - Którą trzymałem w objęciach? Podobno byłaś zamężna, Meg, więc powinnaś wiedzieć, co się dzieje w takich sytuacjach. - Znalazł poduszkę i cisnął ją obok koców.

Cokolwiek o nim sądzić, szczerości mu nie brak, pomyślała Meg i zarumieniła się z zakłopotania. Owszem, doskonale wiedziała, jakie wrażenie na mężczyźnie robi pocałunek kobiety. Gdyby oboje położyli się do łóżka i nie posunęli dalej, Ross czułby się jak na torturach.

- A jeśli razem położymy się na koi, będziemy leżeli jak kłody - dodał Ross. Stał z rękami na biodrach, krytycznym wzrokiem spoglądając na łóżko.

- Jeżeli trafisz na podłogę, obojgu nam będzie równie niewygodnie - zauważyła i zrozumiała, że musi oczyścić atmosferę. - Wybacz mi. Objęłam cię i pocałowałam z czystej ulgi. Ci dwaj przypomnieli mi o sytuacji, z której wyratował mnie Peter.

- To ja pocałowałam cię pierwszy - zauważył Ross.

- Cóż, może nie chodziło tylko o ulgę - przyznała Meg. - Niech to będzie dla nas obojga lekcja, że nie należy dawać upustu, hm, zwierzęcym żądom. Jesteśmy dorosłymi ludźmi i dostaliśmy od Boga siłę woli. Trudno uznać nas za niezdyscyplinowaną młodzież, nieprawdaż?

Jej słowa zabrzmiały niesłychanie przekonująco, niemniej Meg czuła się tak, jakby znowu miała siedemnaście lat, a jej romantyczne marzenia nie rozplynęły się jeszcze w prozie życia.

Spójrz na niego, przykazała sobie stanowczo. Nie jest ani trochę przystojny, wygląda srogo, jest ponury i tajemniczy, a w dodatku ma wybuchowe usposobienie, więc co się z tobą dzieje?

Wszystko na nic. Fakt pozostał faktem - Ross Brandon był ucieleśnieniem męskości, nieznośnie działał na jej zmysły i pragnęła go nieprzytomnie. Ona, Margaret Shelley, która poprzysięgła sobie już nigdy nie ulegać emocjom, żeby nie wpaść w tarapaty.

- Zwierzęce żądze - powtórzył z jeszcze bardziej marsową miną. - Siła woli. Tak, tak. Rozbierz się za tą zasłoną, a ja wejść do łóżka. Jeśli zgasisz światło, będziesz mogła udawać, że jestem tą tęgą damą, którą spotkaliśmy parę minut temu. Ja zaś będę sobie wyobrażał, że ty nią jesteś.

- To ma sens. - Meg ukryła się za kotarą, by stoczyć codzienną bitwę z haczykami, oczkami i sznurkami. Nie mogła zdecydować, czy jednak Ross ma poczucie humoru, czy też jest śmiertelnie poważnym ponurakiem. Po chwili wciągnęła na siebie nocną koszulę. - Oboje musimy poradzić sobie z zakłopotaniem - oświadczyła głośno, ale nie doczekała się odpowiedzi. - Rankiem, kiedy się wyśpimy, sprawa stanie się zupełnie nieważna.

Ross leżał w mroku i celowo naprężył mięśnie uda, żeby ból odwrócił jego uwagę od nieznośnego napięcia wywołanego bliskością Meg. Po chwili z rezygnacją obrócił się na bok, by Meg nie mogła zobaczyć, jak bardzo działa na jego zmysły. Co się z nim działo? Pocałował kobietę, która potrzebowała pociechy, a ona zareagowała przychylnie. Nic ponadto. Był przekonany, że ten epizod przeminie bez żadnych skutków, a Meg nie zamierzała pogłębiać ich znajomości.

Jak sama powiedziała, nie był niezdyscyplinowanym młokosem. Owszem, nie był, szczęśliwie jednak nie zauważyła, że reagował na nią, jakby nim był. Nie mógł nawet

usprawiedliwić się długotrwałą abstynencją, gdyż ochoczo korzystał z rozrywek zapewnianych żołnierzom przez niewieści tabun nieodmiennie podążający za armią. Używał życia nawet w przeddzień bitwy, żeby trzymać frustrację na wodzy. Owszem, był jurnym mężczyzną, który potrzebował odpowiedniej dawki seksu, by normalnie funkcjonować. Lecz nagle dotarło do niego, że teraz znalazł się w zupełnie innej sytuacji. Od kiedy tylko ujrzał Meg, był nieustannie pobudzony. I nie chodziło o zwykłe zaspokojenie chuci. Chodziło o Meg.

Zasłona zaszeleściła, światło zgasło. Nawet cichy oddech Meg był dla niego źródłem ekscytacji. Jej usta, miękkie i różowe, smakowały tak wspaniale i świeżo...

Dość tego, postanowił stanowczo i spróbował wyobrazić sobie grubą damę o dość głupawym wyrazie twarzy, cienkich wargach i pozbawionych wyrazu oczach. Ku jego zadowoleniu metoda okazała się skuteczna, niestety gdy tylko Meg wsunęła się pod prześcieradło, Ross już nie wyobrażał sobie tamtej nieszczęsnej matrony. Westchnął cicho, delektując się cudownym zapachem Meg oraz świeżą wonią mydła.

Zmusił się do uspokojenia oddechu i przygotował psychicznie na długą noc. Skoro udało mu się wytrwać bez ruchu i bez krzyków zabiegi chirurga, który wyłuskiwał kulę z jego nogi, powinien przeżyć także i tę torturę.

Musiał przyznać, że tym razem męczarnie były nad wyraz stymulujące. Najchętniej wstałby z łóżka i udał się na spacer po pokładzie. Meg Halgate była uparta, pewna siebie i zadufana, lecz dzięki niej nie myślał wyłącznie o swoich zgryzotach. Był to błogosławiony dar, bo odkąd zniesiono go z pola bitwy i przetransportowano do namiotu medycznego, całą uwagę poświęcał tylko sobie. Dlaczego miałby się przejmować wojną i podkomendnymi, skoro utracił wszelki wpływ na ich losy?

Ross obudził się rano w tej samej pozycji, co przed snem. To cud, pomyślał. Nie dość, że spał jak kamień, to jeszcze się nie ruszał, a Meg nie przytuliła się do niego. Ogarnął go spokój. Nareszcie poczuł, że nad sobą panuje.

Gdy się odwrócił, znalazł się nos w nos z Meg. Jej oczy były otwarte, źrenice rozszerzone, wyraźnie była podenerwowana. Pomyślał, że nie ma się co dziwić, w końcu leżała w jednym łóżku z tak naprawdę obcym mężczyzną. Jego spokój momentalnie znikł. Ross pragnął tylko jednego: kochać się z Meg do utraty tchu.

- Dzień dobry - powiedziała ostrożnie. - Dobrze spałeś?

- Spałem. - Czuł się jak rozgorączkowany niedźwiedź z obolałą głową. - Dzisiaj wstaję z łóżka.

Gdyby wyraziła sprzeciw, przynajmniej mogliby się pokłócić dla rozładowania napiętej atmosfery, jednak Meg powiedziała spokojnie:

- Naturalnie. - Zsunęła się z koi i znikła za zasłoną. - Trochę lekkich ćwiczeń dobrze ci zrobi na nogę.

- Nie zaczekasz na gorącą wodę? - Nagle dostrzegł swoje odbicie w lustrze, które Meg postawiła na kufrze, żeby zapleść warkocz. Wreszcie znalazł naprawdę skuteczne lekarstwo na pożądanie. Nic dziwnego, że traktowała go nieufnie, skoro stanowili taką samą parę jak Piękna i Bestia. Nie powinien robić sobie próżnych nadziei. Ostatniej nocy Meg była wystraszona i potrzebowała odrobiny uczucia, nic ponadto. Kobieta jej pokroju bez wątplenia nie była zainteresowana okaleczonym, brzydkim zabójcą.

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Usłyszał odgłosy pluskania, a kotara zafalowała. Ross zacisnął powieki i jakoś wytrzymał, choć pokusa stawała się coraz silniejsza. Jego ciało wyraźnie ogłaszało bunt, nie dawało tak łatwo za wygraną jak umysł. - Ubiorę się i wyjdę na pokład, tam poczekam, aż będziesz gotowy. Jeśli chcesz, zjemy razem śniadanie.

- Nie zamierzasz zmieniać mi opatrunku?

- Ross, skoro ból się nie nasila, nie ma takiej potrzeby, jednak skoro ci zależy, mogę rzucić okiem na ranę.

- Szkoda zachodu, ale dziękuję za troskę.

Prowadzili rozmowę tak, jakby nigdy się nie całowali.

Ross pomyślał, że tak pewnie będzie lepiej. Nie przywykł do życia z kobietą, tak dzień po dniu, była to dla niego tajemna karta z mnóstwem niewiadomych. Ot, choćby zupełnie nie rozumiał zmiennych nastrojów Meg.

Natomiast ona miała za sobą co najmniej dwa poważne związki, kompletnie różniące się między sobą. Przez kilka lat była mężatką, a po owdowieniu mieszkała i pracowała z bliskim przyjacielem, miała więc okazję, by dokładnie poznać mężczyzn. Zapewne więc znacznie lepiej mnie rozumie, niż ja rozumiem ją, pomyślał. Lub też tylko tak jej



się zdaje. Gdyby mogła zajrzeć do mojej głowy, uciekłyby z krzykiem na górny pokład i koczowały tam do końca rejsu.

Akurat w tej sprawie Ross nie miał najmniejszych wątpliwości.

Meg nie była pewna, czy Ross rzeczywiście czuje się lepiej, czy też ukrywa przed nią prawdę. Spacerowała po pokładzie, udając żywe zainteresowanie dziećmi signory Rivery, ich zaletami, wadami i zwyczajami. José, któremu należała się kara za doprowadzenie do wypadku, stał przy matce, gdyż otrzymał surowy zakaz odstępowania jej choćby na krok. Signora na wszelki wypadek trzymała go za rękę, nie zważając na jękliwe protesty chłopca, które od pół godziny wywoływały u Meg dojmujący ból głowy.

Ross usadowił się na pokrywie luku i systematycznie drenował kieszenie pasażerów, którzy odważyli się zagrać z nim w pikietę. Szczęśliwie dla nich ustalił wyjątkowo niskie stawki. Jeden z graczy marudził, że o takie pieniądze to mogłyby grać dzieci, lecz po drugiej przegranej rundzie już nie wracał do tematu. Ross okazał się wytrawnym, bezlitosnym i skutecznym graczem. Meg przypuszczała, że narzucił niskie stawki, by uniknąć oskarżeń o oszustwo. Swego czasu James próbował nauczyć ją gry w pikietę, lecz jej brak zrozumienia dla reguł złożonej strategii wyprowadził go z równowagi, więc szybko dał sobie spokój.

- Pani mąż jest wybornym graczem - zauważyła hiszpańska matrona, kiedy przechodziły obok nieodmiennie triumfującego Rossa.

- W istocie. Gra w pikietę odpowiada mu szczególnie, bowiem wiąże się z myśleniem strategicznym. - Meg popatrzyła na Rossa, który w skupieniu marszczył brwi. Wiedziała, że każde rozdanie traktował z powagą godną bitwy.

Po chwili Ross znów zgarnął całą pulę. Przegrany kupiec wstał i powlókł się do kabiny, nieudolnie sugerując, że porażka nic dla niego nie znaczy.

- Za pozwoleniem. - Meg przypomniała sobie, że ma doskonały pretekst, aby uwolnić się od towarzystwa signory Rivery oraz jej marudzącego dziecka. - Muszę dopilnować, by mój mąż nieco poćwiczył.

Ross podniósł wzrok, gdy do niego podeszła.

- Tak, moja droga?

- Pora na spacer, kochanie. - Z uwagi na innych pasażerów mówiła do Rossa głosem pełnym słodyczy.

- Nie jestem pieskiem salonowym, którego trzeba wyprowadzać na spacer - oświadczył cicho i zebrał karty oraz wygraną.

- Co racja, to racja, bo bardziej kojarzysz się z mastiffem, który musi przebiec się po parku albo poszukać byka, by stoczyć z nim zwycięską walkę. - Meg nie przestawała się uśmiechać. - Częste i łagodne ćwiczenia są najodpowiedniejsze dla twojej nogi. Poza tym jeśli cię tu zostawię, ograsz wszystkich do ostatniej koszuli, co odniesie taki skutek, że wyrzucą nas za burtę i już nigdy nie ujrzymy lądu.

- Masz mnie za szulera, przyznaj - mruknął Ross, ale wsunął talię do kieszeni i wstał.

- Nie oskarżam cię o oszustwo - zaprzeczyła żywo. - Wiem, że dobra passę za wdzięczasz bystremu rozumowi i karcianym umiejętnościom, choć przegrani mogą mieć w tej sprawie inne zdanie.

Ruszyli przed siebie. Meg zwalniała kroku, żeby Ross nie nadweręzał rannej nogi. Niespiesznie dotarli na dziób i zawrócili. Wtedy Meg spojrzała Rossowi prosto w oczy i zadała dręczące ją pytanie:

- Czym będziesz się zajmował po powrocie do domu?

Przez moment sądziła, że nie doczeka się odpowiedzi, jednak Ross powiedział w końcu:

- Nauczę się nowej roli, przekonam się, co to znaczy być właścicielem ziemskim.

Nie wydawał się entuzjastycznie nastawiony do tej perspektywy, choć nie wychwyciła w jego głosie tego okropnego zubożenia. W jego miejsce pojawił się niesmak, co uznała za postęp w dopuszczaniu do siebie emocji.

- Czy to duża posiadłość? - Tak naprawdę była przekonana, że majątek jest niewielki, jako że Ross odziedziczył go już cztery miesiące temu, a nawet nie kupił sobie nowej koszuli.

- Spora - wzruszył ramionami - jak na potrzeby kogoś, kto nie odróżnia krowy od stodoły.

Pomyślała, że wiejskie życie musi być dla frontowego oficera wyjątkowo nudne. Sama wychowała się na prowincji, więc ją z kolei odstręczała wizja wielkomiejskiej egzystencji. Tak czy owak, nawet nieduża posiadłość powinna zapewnić Rossowi odpowiednie rozrywki. Mógł polować i łowić ryby, a także znaleźć sobie żonę gotową zaakceptować kogoś, kto się nie uśmiecha i nie okazuje czułości. Razem dochowają się gromadki ponurych, spode łba patrzących na świat dzieci.

- Co? - spytał, widząc rozbawienie na jej twarzy. - Jak rozumiem, ty wiesz, czym się różnią?

- Jak najbardziej. - Meg uznała spacer za zakończony i ruszyła do pokrywy luku. - Stodoła ma cztery rogi, a krowa tylko dwa. - Zdumiała się, gdy wybuchnął śmiechem.

- Co znowu? - Teraz z kolei Ross zdziwił się jej oszołomieniem.

- Roześmiałaś się.

- Zażartowałaś. - Jego twarz znów przypominała kamienną maskę.

Może skoro jeszcze pamiętał, jak się śmiać, nie musiała się martwić o jego dalsze losy po powrocie do Anglii?

## Rozdział szósty

Ross oparł się o poręcz na bakburcie Falmouth Rose i wbił wzrok w twierdzę Pen-dennis, którą spowijała poranna mgła. Umocnienia jeszcze z czasów Henryka VIII obsadzone były gotową do boju załogą, a wybrzeża strzegła bateria artylerii, nad którą powiewała brytyjska flaga. Upłynie jeszcze trochę czasu, nim dowódca jednostki ostatecznie zadecyduje, że pokój jest trwały i wycofa wojsko.

Widok znajomego wybrzeża nie pomógł Rossowi w uporaniu się z emocjami, które nim targały w związku z powrotem do ojczyzny. Wpłynęli do Carrick Roads o świcie, piątego dnia po opuszczeniu Bordeaux. W tym czasie Ross przebywał na pokładzie. Nie wyszedł tu gnany tęsknotą za ojczyzną. Powodowało nim coś zupełnie innego, a mianowicie znajomy niepokój związany z perspektywą nocy u boku pogrążonej we śnie Meg. Wyglądało na to, że fałszywa żona nie ma żadnych problemów ze spaniem na tej samej koi co on i najwyraźniej doszła do siebie po namiętym pocałunku. Natomiast Ross miał mieszane uczucia. Z jednej strony pożałował Meg, z drugiej pragnął, by jak najprędzej znikła z jego życia. Pomyślał z ironią, że wtedy znów będzie mógł bez ograniczeń taplać się we własnym nieszczęściu.

- Kawy, panie majorze? - spytał radosny jak skowronek Johnny, w szerokim uśmiechu demonstrując liczne szczyrby w uzębieniu.

- Tak. Potem zanieś kawę i gorącą wodę do kajuty dla pani Brandon. Masz tutaj, zapłacę ci już teraz. - Zgodnie z umową odliczył po trzy pensy za każdy dzień podróży, a pod wpływem impulsu dorzucił jeszcze szylinga.

- A to dopiero! Cały szyling! Dziękuję, panie majorze! - Johnny podał mu gorący kubek i odbiegł co sił w nogach, żeby Ross nie zdążył zmienić zdania i nie zażądał zwrotu hojnego napiwku.

- Wracamy do domu! - oznajmiła jakiś czas później Meg, przystanąwszy u jego boku. W dłoniach ścisnęła kubek z kawą. Wiała chłodna bryza, której jeszcze nie zdążyły rozgrzać promienie słońca. - Cieszysz się, że dotarliśmy do Falmouth?

- Jeszcze nigdy nie widziałem tego miasta od strony morza. - Ross wolał unikać odpowiedzi wprost. - Opuszczając Anglię, wyruszyłem z Portsmouth. - Choć nie miał

zamiaru się zwierzać, słowa same płynęły mu z ust. - Byłem przerażony, ale nie okazałbym tego za żadne skarby. Szkoda, że mnie wtedy nie widziałaś. - Na moment zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie tamtego chłopca. - Ujrzałabyś chudego jak patyk siedemnastolatka z włosami wpadającymi do oczu, niebywale dumnego z faktu, że udało mu się pokrzyżować ojcowskie plany. - Nie wspomniał, że już wtedy dręczyło go poczucie winy.

- Nie czułeś smutku po rozstaniu z matką? I skąd miałeś pieniądze na wykup stopnia oficerskiego?

- Wtedy nie byłem jeszcze oficerem, ale służyłem w brygadzie strzelców i tylko to się liczyło, choć byłem kompletnym nowicjuszem. A mama... Cóż, dopiero na pełnym morzu dotarło do mnie, jak bardzo musi się martwić o mnie. - Zachował się strasznie bezmyślnie. Tłumaczył go tylko cielecy wiek, choć to marne usprawiedliwienie. By uspokoić sumienie, napisał list do ojca chrzestnego, w którym wyjaśniał swoją decyzję. Dopiero po jakimś czasie dotarło do Rossa, że obciążył sir George'a Pierce'a trudnym do pozazdroszczenia zadaniem przekazania wieści rodzicom. - Listownie powiadomiłem ojca chrzestnego, który skontaktował się z mamą i ojcem. - Szczęśliwie dla siebie, Ross nie wiedział, jak potwornych cierpień przysporzył matce. Dopiero gdy zmarła i dotarł do niego jej ostatni list, zrozumiał, że odebrał jej spokój i zniszczył zdrowie. Wtedy po raz pierwszy przekonał się, że bez użycia broni umie zabijać na odległość wielu setek mil. - Kiedy miałem osiemnaście lat i jakimś cudem wciąż żyłem w ogniu wojny, ojciec chrzestny wykupił mi patent oficerski. - Ross wiedział, że musi trzymać się faktów. Nie mógł powracać myślami do sprawy, która mu ciążyła na sumieniu. Nie chciał myśleć o Gilesie. - Odtąd zacząłem inwestować w wojskową karierę.

- A ja myślę, że o kolejnych awansach decydowały nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim twoje zdolności i zasługi. - Tyle lat była przy wojsku, więc wiedziała, o czym mówi. - Poprosiłam Johnny'ego, żeby tutaj przyniósł jedzenie. Pomyślałam, że w takiej chwili wolisz pozostać na pokładzie.

- Tak, dziękuję. - Zrozumiał, że jej zdaniem wyszedł na świeże powietrze ze względu na nostalgię.

Po chwili Johnny położył tacę na włączniku. Ross uraczył się porcją chleba z pieczenią i ponownie podszedł do barierki. Choć nie był w nastroju do rozmowy, jednak proste, bezpośrednie pytania Meg skłoniły go do szczerych wyznań. Nigdy dotąd nie zwierzał się tak nikomu, jednak potrzeba wspomnienia przeszłości już go opuściła.

Marynarze zaczęli wynosić bagaże na pokład i rozstawiać sieci, na których zostaną przetransportowane na wybrzeże walizy i torby. Ross odciągnął Meg na bok, by nie przeszkadzała przy cumowaniu i rozładunku.

- Mam nadzieję, że signora mocno trzyma małego José - z niepokojem powiedziała Meg, a Ross powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Wpatrywała się w wąski pasek wody między statkiem a nabrzeżem. - Zachowałeś się bardzo mężnie. Niewiele brakowało, a sam byś się utopił.

- Mam już dość obcowania ze śmiercią - powiedział ponuro. - Nie mogłem beczynnie patrzeć, jak umiera dziecko. - Tyle że on był żołnierzem i w jakimś sensie wykonywał swoją powinność, natomiast Meg nie miała takich moralnych zobowiązań, a jednak wykazała się nie lada odwagą, schodząc po drabinie i przytrzymując w wodzie nieprzytomnego, obcego mężczyznę aż do pojawienia się pomocy. Dopadły go wyrzuty sumienia. Uznał, że nie powinien był zachowywać się tak nieczule i nieuprzejmie wobec niej. Wyczerpanie, przygnębienie i ból nie były żadnym wytłumaczeniem. Gdyby chodziło o któregoś z jego podkomendnych, porozmawiałby z nim, okazał zrozumienie i szacunek.

Szkoda, że nie można cofnąć czasu.

- Co będziesz robiła po zejściu na ląd? - spytał nieoczekiwanie. - Gdzie się zatrzymasz?

- Znajdę przyzwoitą gospodę i dowiem się, jak kursują dyliżanse. Muszę zaplanować podróż.

- Masz szmat drogi do pokonania. Wystarczy ci gotówki?

- Tak, oczywiście. - Uniosła torebkę. - Doktor Ferguson nalegał, żebym przyjęła zapłatę. Nie jest tego dużo, ale na początek wystarczy... - Rozpięła torebkę i wsunęła dłoń do środka. - Spójrz sam... - Nagle krew odpłynęła jej z policzków. - Pieniądze znikły! Cały zwitek banknotów!

- Na pewno? Nie zauważyłaś tego wcześniej?

- Tak, na pewno. - Meg wysypała zawartość torebki na beczkę. - Zostało tylko kilka drobnych monet, lecz wszystkie banknoty przepadły. Papier jest lekki, więc nie wy czułam różnicy, a nie miałam powodu, by zaglądać do środka. Odkąd weszliśmy na pokład, nie potrzebowałam pieniędzy. - Przyłożyła dłoń do ust, by opanować emocje.

- Kiedy José wpadł do wody, rzuciłam torebkę razem z innymi rzeczami. Pewnie wówczas ktoś mnie okradł.

- Pozwól... - Ross sięgnął po portfel.

- Nie. Dziękuję, ale nie mogę. Nie mam pojęcia, kiedy mogłabym zwrócić dług.

- Na litość boską, Meg, to tylko drobny podarunek!

- Bardzo go zabolęła jej odmowa. - Przecież uratowałaś mi życie. - Widział jej zażenowanie wywołane jego propozycją. Meg Halgate była dumną kobietą, dumną aż do przesady, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Znajdę jakąś pracę na tydzień lub dwa - postanowiła. - Poszukam urzędu zatrudnienia, zarejestruję się. Ktoś z pewnością będzie potrzebował pomocy.

- Pomocy w czym? - Ross uważnie popatrzył na Meg. Ubrana była w suknię, której dotąd nie widział, więc niewątpliwie trzymała ją na specjalną okazję. Włosy starannie zaplotła i ukryła pod skromnym, słomkowym kapeluszem. Markotna i zafrasowana, ani trochę nie przypominała energicznej, sprawnej i żywiołowej kobiety, która spędzała mu sen z powiek. - W nauce? Zostaniesz guwernantką?

- Dobry Boże, skąd! - Popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Moje wykształcenie jest bardzo skromne, nad czym szczerze ubolewam. Znam się tylko na szyciu, rachunkach, opiece medycznej i Biblii. Władam hiszpańskim i portugalskim, choć moje słownictwo raczej nie nadaje się do wykorzystania w kulturalnym towarzystwie. Mówię też trochę po francusku, tak piąte przez dziesiąte. Mogłabym pomagać ochmistrzyni albo świadczyć usługi pielęgniarskie przy inwalidzie lub osobie w podeszłym wieku.

Pani Fogarty, ochmistrzyni we dworze, o którym nigdy nie myślał jak o domu rodzinnym, była nieżyczliwą, zgorzkniałą kobietą. Zawsze faworyzowała jego młodszego brata Milesa z powodów, których Ross nie mógł zrozumieć. Być może nie tolerowała żywiołowych chłopców, poza tym Giles był bez wątpienia atrakcyjniejszy od brata. Ross

nie zdołałby zliczyć, ile razy ochmistrzyni donosiła ojcu o jego najróżniejszych przewinieniach, za które dostawał potem lanie. Natomiast po wypadku Gilesa jej antypatia do Rossa zmieniła się w otwartą wrogość, co akurat mógł zrozumieć.

Jej nazwisko nadal znajdowało się na liście personelu, którą przesłali mu prawnicy. Musiała już być po sześćdziesiątce i niewątpliwie cieszyła się na spotkanie z nim tak samo jak on na spotkanie z nią. Agnes Fogarty u steru domu kojarzyła mu się z paskudnym demonem, który czai się w kącie, żeby zniecka zaatakować.

- Nie wyglądasz jak żadna znana mi ochmistrzyni - oświadczył, kiedy marynarze przrzucili cumy na brzeg i przyciągnęli statek.

- Nie? - Uśmiechnęła się z przymusem.

Ross poczuł, jak na sercu rośnie mu ciężar.

- Nie. Wyglądasz za młodo - mruknął głucho, choć pomyślał, że z pewnością sprawdziłaby się na takiej posadzie. Była rzeczowa, pracowita i roztropna. Tyle że Meg nie chciała jego pomocy. - Już położyli trap. Chodź, zajmiemy się bagażem. - Pokuśtykał w pośpiechu, nie czekając na jej reakcję. Powtarzał sobie w duchu, że przynajmniej nikt nie będzie już robił wokół niego tyle hałasu i zamieszania. Skinął na bagażowego z wózkiem. - Trzeba zabrać tę torbę - oznajmił. - Należy do tej pani, której pomożesz znaleźć przyzwoitą gospodę. Rozumiesz? - Wręczył mu monetę. - Upewnij się, że znajdziesz coś odpowiedniego.

- Jak pan każe, sir. - Bagażowy uklonił się nisko, a Ross powrócił myślami do dzieciennych lat, kiedy często zdarzało mu się słyszeć ten charakterystyczny, kornwalijski akcent.

- Dziękuję, panie majorze. Jest pan bardzo troskliwy. - Meg mówiła oficjalnym tonem, jakby nie spędzili ostatnich nocy w jednym łóżku, nie tuliła się do niego w poszukiwaniu pociechy, nie unosiła ust do pocałunku. - Ufam, że bezpiecznie dotrze pan do domu, a pańska noga zagoi się jak należy. - Odetchnęła głęboko. - Proszę o nią dbać. Panie majorze, niech pan da sobie trochę czasu na oswojenie się z nową sytuacją. Wszystko będzie dobrze, zobaczy pan.



Odeszła, zanim zdążył odpowiedzieć. Powiódł za nią wzrokiem, gdy znikwała w od-  
dali, cicho rozmawiając z bagażowym, który kiwał głową i pchał wózek ku jednej ze  
stromych ulic miasteczka.

- Sir, potrzebuje pan bagażowego?

- Tak - odparł Ross. - Zawieź moje rzeczy do hotelu Pod Czerwonym Lwem. -  
Kiedy opuszczał kraj, była to najwykwintniejsza gospoda w okolicy. - Pójdę za tobą. -  
Obejrzał się, ale nie dostrzegł już szczupłych pleców Meg. - Nie, zaczekaj.

Bagażowy zatrzymał się, przyzwyczajony do kaprysów dżentelmenów.

- W tym biurze moja siostra dostała pracę jako kucharka - oznajmił bagażowy, to-  
cząc wózek ulicą, podczas gdy Meg szła chodnikiem. - Twierdziła, że to godne miejsce.  
Trochę się denerwowała, jak tu przyszła, bo obsługują tylko szlachetnie urodzonych. Nie  
przyjmą żadnych subiektów czy dziewczyn do wszystkiego.

- Dziękuję za te informacje. Wobec tego najpierw zajrzę tutaj. - Meg zatrzymała się  
przed kamienicą i popatrzyła na lśniące, ciemnozielone drzwi z mosiężną kołatką. Na ta-  
bliczce widniał napis: „Biuro zatrudnienia”. Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić,  
choć nadal czuła złość i rozpacz po stracie pieniędzy. Powtarzała sobie, że potrzebuje  
zajęcia tylko na parę tygodni, aby zarobić na podróż. - Ten lokal wydaje się bardzo...

- Szacowny. Tak powiedziała nasza Kate - oznajmił bagażowy. - Trafił się jej szy-  
kowny radca prawny, któremu gotuje. Podobno jest godny szacunku, honorowy. Tacy nie  
rodzą się w kapuście.

- Istotnie - zgodziła się ponuro Meg i nacisnęła klamkę.

Po chwili powiodła wzrokiem po kwadratowym pomieszczeniu. Pod jedną ze ścian  
stał rząd krzeseł, w kącie znajdowało się biurko. Na krzesłach zasiadało kilka milczących  
osób. Gdy jegomość za biurkiem oderwał wzrok od księgi rejestrowej, nasunął binokle  
na nos i przyjrzał się uważnie Meg. Jak, u licha, mam sprawiać wrażenie szlachetnie uro-  
dzonej? - pomyślała z przygnębieniem. Przede wszystkim nie mogła wyglądać na zde-  
sperowaną, rzecz oczywista.

Szczupły, sprężysty mężczyzna w wypucowanych butach podniósł na nią wzrok  
znad książki, a potem dyskretnie odwrócił spojrzenie, za to pulchna jejmość w wielkim

czepku nie kryła zainteresowania nowo przybyłą. Siedząca obok niej schludnie ubrana kobieta w czarnej sukni zerkała na nią kątem oka.

Pokojowiec, kucharka, guwernantka, domyśliła się Meg.

- Tak? - odezwał się dżentelmen rezydujący za biurkiem.

- Dzień dobry. Szukam posady pomocy ochmistrzyni albo pielęgniarce i damy do towarzystwa. - Meg przystanęła przed biurkiem i przeczytała napis na wizytówce: „Eustace Empson, właściciel”.

- Rozumiem. - Pan Empson otworzył księgę, sięgnął po pióro i zanurzył je w kałamarzu. - Pani godność? Doświadczenie?

Meg przedstawiła mu swoją barwną historię, pomijając przy tym wszystkie niewygodne fragmenty.

- ...i powiedziano mi, że świetnie się sprawdzam przy czytaniu książek inwalidom - zakończyła. - Aha, płynnie mówię po portugalsku oraz hiszpańsku.

Za jej plecami zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Hm. W Falmouth nie ma wielkiego zapotrzebowania na ochmistrzynię z biegłą znajomością portugalskiego - mruknął pan Empson cierpko i napisał coś na formularzu, który następnie wręczył Meg, po czym wskazał jej krzesło. - Proszę poczekać na swoją kolej. Pani Empson może mieć kilka propozycji dla pielęgniarek i dam do towarzystwa. Jak miemam, ma pani referencje?

- Oczywiście. - Meg zakłęła w myślach. Dotąd nawet nie pomyślała o referencjach. Skąd niby miała je teraz wziąć? - Znajdują się w moim... miejscu zamieszkania.

- Czyżby ktoś wspomniał o ochmistrzyni władającej portugalskim? - rozległ się tubalny głos.

Meg z wrażenia upuściła formularz oraz torebkę, po czym ukucnęła pośpiesznie, żeby je podnieść. Czyżby to był...? Powiodła spojrzeniem po wytartych butach, brudnych od soli i dymu spodniach munduru, szerokim torsie i znajomej, groźnej twarzy.

- Owszem... sir. - Pan Empson najwyraźniej miał wątpliwości, jak traktować przybysza. Ross Brandon wysławał się jak oficer i dżentelmen, lecz jego ubiór nie prezentował się szczególnie elegancko. - Pani... - zerknął do księgi - ...Halgate, która wła-

śnie się zarejestrowała, dysponuje tymi kwalifikacjami. Czy poszukuje pan ochmistrzyni o takich umiejętnościach?

- W samej rzeczy. - Ross stał pośrodku nienagannie schludnego biura. Wyglądał niczym zawodowy bokser w zakrystii.

- Hm... Rozumiem. - Pan Empson nie doczekał się dodatkowych wyjaśnień. - Jak mniemam, nie jest pan u nas zarejestrowany jako osoba poszukująca personelu, panie...?

- Nazywam się Brandon. Lord Brandon - przedstawił się Ross, a Meg wstała tak gwałtownie, że uderzyła łokciem o krawędź biurka. Lord? - Doskonale. Skoro tak, to chętnie się zarejestruję. Lord Brandon, Trevarras Court. Czy potrzebuje pan dodatkowych informacji?

- Nie, Wasza Lordowska Mość. Wiem już wszystko, czego mi potrzeba. - Pan Empson zerwał się z miejsca i zatarł ręce, zachwycony pozyskaniem znamienitego klienta. - Czy mogę złożyć Waszej Lordowskiej Mości kondolencje? Pański zmarły ojciec był w naszych okolicach wielce szanowaną osobą.

- Dziękuję - burknął Ross tak lodowatym tonem, że pan Empson zamarł. - A gdzie jest rzeczona ochmistrzyni?

Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, ignorując Meg, która nadal rozcierała obolały łokieć.

- Tutaj, Wasza Lordowska Mość. - Pan Empson wskazał ją ruchem brody. - Pani Halgate, że pozwolę sobie przedstawić.

Ross obrzucił uważnym spojrzeniem skromną suknię i czepek Meg. Zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej się nie widzieli.

- Rozumiem - wycedził. - Może być.

- Jeszcze nie widzieliśmy referencji pani Halgate, Wasza Lordowska Mość. - Rozwaga najwyraźniej wzięła górę u pana Empson nad pragnieniem natychmiastowego usatysfakcjonowania nowego klienta. - Nie możemy zagwarantować... Reputacja biura wymaga, byśmy...

- Jeśli pani Halgate okaże się nieodpowiednia lub nieuczciwa, a jej portugalska gramatyka będzie nieprawidłowa, z miejsca odeślę ją do pana. - Ross wydawał się cał-

kowicie obojętny na biurokratyczne problemy szefa biura. - Pani Halgate, o warunkach porozmawiamy później - oznajmił, nie pytając jej o zgodę.

- Wasza Lordowska Mość zapewne potrzebuje również lokaja.

Ross, Empson i Meg jednocześnie wbili wzrok w sprężystego młodzieńca, który zerwał się z miejsca.

- Doprawdy?

Młody człowiek zamrugł onieśmielony surowym spojrzeniem Rossa, ale dzielnie brnął dalej:

- Jeśli Waszej Lordowskiej Mości służy jakiś lokaj, to śmiem twierdzić, że nie wykonuje należycie swoich powinności - oznajmił zuchwale.

- A ty byś poradził sobie lepiej?

- Zdecydowanie, milordzie.

- Nazywasz się...?

- Perrott, Wasza Lordowska Mość.

- Perrott usługiwał świętej pamięci panu Worthingtonowi - pośpieszył z wyjaśnieniem Empson. - To był miejscowy dżentelmen o dandysowatym autoramencie, że się tak wyrażę. Modniś, jednym słowem.

- I uważasz, Perrott, że możesz zrobić ze mnie fircyka, co? - Ross w najmniejszym stopniu nie wydawał się rozbawiony tą perspektywą.

- Śmiem twierdzić, że do Waszej Lordowskiej Mości doskonale pasowałby nieco surowy styl, lansowany przez pana Brammella - odparł młodzian. - Ewentualnie mundur, rzecz jasna.

- Biorę oboje - oświadczył Ross takim tonem, jakby decydował się na kupno dwóch par nowych rękawiczek. - Pójdą ze mną do hotelu Pod Czerwonym Lwem, gdzie trzymam bagaże, a jeszcze tego popołudnia wyruszymy do mojej posiadłości. Miłego dnia, Empson.

Meg zerknęła na młodego lokaja, który odwzajemnił jej spojrzenie, po czym zrobił... perskie oko. Co, u licha, wymyślił Ross? - zachodziła w głowę. Wiedział, że potrzebowała pracy, owszem, jako dżentelmen i ziemianin musiał mieć lokaja do osobistej posługi, ale przecież w jego posiadłości na pewno był odpowiednio wyszkolony perso-

nel. Więc co on kombinował? I dlaczego zachował w tajemnicy swój arystokratyczny tytuł?

A przede wszystkim nie zamierzała korzystać z jego miłosierdzia.

- Pani przodem - zwrócił się do niej lokaj. - Nie możemy kazać czekać Jego Lordowskiej Mości.

Istotnie, lord Brandon już na nich czekał, i choć wydawał się spokojny, dało się wyczuć jego zniecierpliwienie. Strzelił palcami na bagażowego i ruszył na czele małego orszaku.

Meg od razu zorientowała się, że jak na chora nogę narzucił zbyt szybkie tempo. Wkrótce zaczął lekko kuleć, widać było, jak walczy z bólem.

- Milordzie! - zawołała w końcu

- Tak, pani Halgate? - Ross zatrzymał się i odwrócił.

- Czy Wasza Lordowska Mość mógłby trochę zwolnić? Nadwerężyłam kostkę na kocich łbach. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem, symulując ból.

Ross zmrużył oczy, po czym odwrócił się bez słowa i ruszył w nieco bardziej umiarkowanym tempie.

- Ubranie milorda będzie nie lada wyzwaniem - mruknął Perrott półgłosem. - Wątpię, czy uda mi się namówić go do paradowania w mundurze, do którego jest stworzony. - Lustrował chlebobdawcę z zawodowym zainteresowaniem. - Przynajmniej nie będę musiał niczego wypychać poduszkami...

Meg pomyślała, że to akurat prawda. Ross nie miał rachitycznych łydek, wąskich ramion ani zapadniętej klatki piersiowej.

- Musi pan namówić go na porządne zakupy - odparła. - Nie ma ani jednej przyzwoitej koszuli. - Uświadomiła sobie swój błąd, zanim jeszcze ujrzała zdumioną minę lokaja.

- Zna go pani?

- Przyplłynęliśmy tym samym statkiem z Bordeaux. Mam doświadczenie pielęgniarskie, więc opatrzyłam mu nogę, gdy tylko znalazł się na pokładzie. Jest poważnie ranny, to był paskudny postrzał.

- Rozumiem...

Meg miała szczerą nadzieję, że Pierrot będzie trzymał język za zębami i nikomu nie zwierzy się ze swoich domysłów. Bo że jen snuł, widać było po minie.

- Nie miałam pojęcia, że jest arystokratą - oświadczyła na wszelki wypadek.

- Jego ojciec był trzecim baronem Brandonem - powiedział Perrott, kiedy omijali stertę śledzi, które wysypały się komuś z kosza. - Kawał chłopca, za to charakter paskudny. Był zapalczywy jak mało kto.

- Za to jego syn jest zimny jak lód - odparła Meg. - Przynajmniej tak wywnioskowałam - dodała ostrożnie. - Na pokładzie doszło do wypadku, a on poradził sobie z problemem, w ogóle nie tracąc zimnej krwi. Zdecydowany i stanowczy, ale przy tym opamiętany aż do przesady, proszę moi wierzyć.

- Jak rozumiem, zupełnie nie dba o obecny personel Trevarras Court. Poprzedni lord musiał mieć lokaja, w rezydencji na pewno jest ochmistrzyni. Co zamierza z nimi zrobić?

- Och, zupełnie o tym nie pomyślałam... - Zaklęła siarczyście w duchu. Ogarnęło ją poczucie winy. Rzeczywiście wyglądało na to, że Ross miał za nic dotychczasową służbę Trevarras Court. Czyżby zaraz po pojawieniu się w posiadłości zamierzał odprawić, kogo popadnie?

Ross zatrzymał się przed długim, niskim budynkiem z rzeźbą czerwonego lwa, która już z daleka rzucała się w oczy.

- Perrott, gdzie są twoje rzeczy? - zapytał.

- W mojej kwaterze, milordzie. To dziesięć minut stąd.

- Więc idź po nie. Wyjeżdżamy o pierwszej.

Meg weszła do holu za Rossem, który zamówił lunch w prywatnym saloniku. Właściciel doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, gdyż każde zdanie okraszał uniżonymi zwrotami typu: „Sługa uniżony Waszej Lordowskiej Mości”.

- Pochlebca - prychnął Ross, zanim drzwi do saloniku zamknęły się za nimi. - I cóż, droga Meg? Dlaczego patrzysz na mnie tak, jakby wyrosła mi druga głowa?

- Jestem zdezorientowana, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć! Zachowujesz się w sposób oburzający i bezczelny. - Odłożyła torebkę i stanęła oko w oko z Rossem. - Żegnaj się z majorem Brandonem, a po chwili lord Brandon przejmuje kontrolę nad

moim życiem. Czy nie przyszło ci do głowy, że w domu możesz już mieć lokaja i ochmi-strzynię, która nie będzie zachwycona moją obecnością? Nie masz pojęcia, czy jestem dostatecznie kompetentna, aby zarządzać posiadłością, do której mnie wleciesz. Powie-działam ci, że nie przyjmę żadnych pieniędzy...

- Nie wlokę cię - sprostował.

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że mogłabym stanąć pośrodku biura zatrudnienia i oznajmić: „Wszystko dzieje się tak nagle, milordzie. W jednej chwili sypiamy w tym samym łóżku, w następnej Wasza Lordowska Mość daje mi pracę”. Przecież jutro i tak wrócę do urzędu, by znaleźć jakąś przyzwoitą ofertę pracy, więc musiałam zachować się z godnością. Czemu każesz mi znosić tę farsę, skoro wiesz, że muszę w krótkim czasie zarobić choć trochę pieniędzy? I dlaczego nie zająknąłeś się ani słowem, że jesteś baro-nem? - spytała na koniec, zanim zabrakło jej tchu.

- Bo wcale nie chcę być żadnym cholernym baronem - warknął. - I dlatego, że cię pragnę.

Nie miała szansy ucieczki, gdyż położył dłonie na jej ramionach, a potem objął. I pocałował Meg prosto w usta. W tym momencie gotów był pchnąć ją na podłogę i bez-ceremonialnie posiąść, żeby tylko zaspokoić przemożne pragnienie, które z najwyższym trudem hamował.

## Rozdział siódmy

Meg odniosła wrażenie, że Ross w ogóle nie musi oddychać. Nawet nie próbowała wyrywać się z jego objęć, gdyż była jednocześnie przestraszona i zaskakująco podniekształcona. Jego smak i zapach atakowały jej zmysły, pod zamkniętymi powiekami widziała feerię barw, szumiało jej w uszach. Potrzebowała powietrza, żeby nie zemdleć.

Resztką sił odsunęła głowę i odetchnęła głęboko, a wraz z zastrzykiem tlenu odzyskała poczucie rzeczywistości. Takie zachowanie mogło doprowadzić tylko do jednego! Owszem, jakaś siła nakazywała jej poddać się woli Rossa Brandona, wiedziała jednak, że musi przeciwstawić się tym żądom.

- Nie - szepnęła tak cicho, że ledwie słyszała własny głos.

Jak mogła raz jeszcze zaufać intuicji? Przecież boleśnie odczuła na własnej skórze, jak niedobre decyzje podejmuje się pod wpływem silnych emocji. Związek z Jamesem okazał się katastrofą, gdyż nie przemyślała tego, co powinna zrobić. Czy naprawdę gotowa była ryzykować ponownie i znów się zaangażować emocjonalnie, choć jej przyszłość stała pod znakiem zapytania?

Wyglądało na to, że Ross nie usłyszał sprzeciwu.

Dotknął ustami jej szyi, wielkie dłonie położył na piersiach Meg. Miała wrażenie, że stoi przed nim zupełnie naga.

- Nie - powtórzyła głośniejszym głosem... i pod wpływem impulsu trzasnęła go w ucho.

Każdy inny mężczyzną zachwiałyby się pod wpływem tak zdecydowanego ciosu, ale Ross tylko uniósł głowę i popatrzył w oczy Meg.

- Nie? - Z pewnością dostrzegł w jej spojrzeniu niezachwiane przekonanie, bo opuścił ręce i cofnął się o krok. - Meg, chcę być z tobą całkowicie szczerzy. Czy zostaniesz moją kochanką?

- Nie! Oczywiście, że nie! Co też ci przyszło do głowy? I co mi przyszło do głowy?

- Była wściekła, zresztą głównie na siebie. - Nie jestem twoją kochanką i nie chcę nią być. - Przy każdym słowie biła go w pierś zaciśniętą pięścią, jakby pragnęła przekonać samą siebie o niezłomności tego postanowienia. Ross w milczeniu przyjmował ciosy, nawet nie próbował ich odierać. - Śledziłeś mnie, odkąd się rozstaliśmy na nabrzeżu, i



zaskoczyłeś, gdy nie mogłam ci odmówić. Musiałam z tobą iść. Wiesz, że potrzebuję pieniędzy...

- Nie! - oznajmił gromko, marszcząc brwi. Meg przestała go bić, znieruchomiła z dłonią na jego torsie. - To nie tak. Nagle uświadomiłem sobie, że mogę zaproponować ci pracę i zapewnić bezpieczeństwo...

- Ha! - Raptownie cofnęła rękę. - Bezpieczeństwo? - Nie czuła się bezpieczna w obliczu własnych pragnień, więc jak mogła poczuć się pewnie przy Rossie?

- Dopiero teraz dotarła do mnie prawda. Meg, nie chcę tego tytułu. Nie pragnę takiego życia i wolałbym nie wracać do domu. W tej chwili pragnę tylko ciebie, jesteś moim jedynym punktem odniesienia.

- Więc co tutaj robisz? - spytała zdumiona. - Dlaczego wracasz, skoro czujesz się z tym tak fatalnie?

Zapadło długie milczenie, zupełnie jakby Ross musiał spytać siebie o to samo i znaleźć odpowiedź.

- Z poczucia obowiązku - odparł w końcu. - Członkowie mojej rodziny mieszkają w Trevarras Court od trzystu lat. Teraz ja odpowiadam za dwór, za ziemie należące do majątku i za zatrudnionych tam ludzi. Moim obowiązkiem jest nawet noszenie tego cholernego tytułu. Mój brat nie żyje, więc nie mogę już mówić sobie, że posiadłość znajduje się w lepszych rękach.

- Czy dlatego sięgasz po mnie tak, jak inny mężczyzna mógłby sięgnąć po butelkę brandy albo laudanum?

- Nie, nie szukam zapomnienia. - Popatrzył jej w oczy. - Pragnę ciebie, a nie narkotyku. Czy cię skrzywdziłem? - Wyciągnął rękę i ze zdumiewającą łagodnością pogłaskał nabrzmiałe wargi Meg.

- Nie - skłamała. - Odwzajemniłam pocałunek. - Usiadła przy stole pod oknem. Nie mogła ponownie trafić pod męską kuratelę, nie po tym, co przeszła z Jamesem. Potrzebowała wolności i niezależności, pragnęła odnaleźć siostry i zacząć życie na nowo. Musi pokonać romantyczne porywy serca, gdyż w przeciwnym wypadku skazana będzie na łaskę i niełaskę pewnego barona. - Muszę wrócić do biura zatrudnienia. Jak myślisz, czy

twój prawnik mógłby napisać mi referencje? Kiedy znalazłam się w urzędzie, dotarło do mnie, że przychodzę z pustymi rękami.

- Nie, ponieważ nie poproszę go o to. - Usiadł naprzeciwko niej. - Nie będziesz moją kochanką, Meg? Przed chwilą odwzajemniłaś mój pocałunek, sama to przyznałaś. Nie okazujesz mi wstrętu, choć wiem, że mój wygląd pozostawia dużo do życzenia.

- Wstrętu? - powtórzyła, zaskoczona. - Cóż za absurd! Chcę wierzyć, że mam dość rozumu, aby nie kierować się powierzchownością. Zareagowałam na twoje pieszczoty, choć nie powinnam. - Uśmiechnęła się smętnie. - Tak czy owak, nie będę twoją kochanką.

- Zatem zostań moją ochmistrzynią. Może jeszcze zmienisz zdanie. - Chciała zaprotestować, ale ją uprzedził: - Nie dotknę cię, solennie to przyrzekam... chyba że sama mnie o to poprosisz.

Poczuła, że jej twarz płonie. Ross wiedział, że jest nim zainteresowana. Sama to przyznała, jednak przejrzałby ją na wylot, nawet gdyby milczała jak grób. Nie miał jednak pojęcia, jak bardzo na nią działały jego pieszczoty, a to mogło się zakończyć tylko w jeden sposób, a mianowicie złamanym sercem. Meg doskonale zdawała sobie z tego sprawę, jak i z tego, że przy Rossie łatwo mogła zapomnieć o celu, który sobie postawiła. Pragnęła być samowystarczalna i niezależna. Musiała taka być, bo nie czuła się dostatecznie silna, by ponownie wszystko zaryzykować w imię miłości.

- Z pewnością masz już ochmistrzynię, która opiekuje się twoim domem - powiedziała po długiej chwili zadumy.

- Dwór nie jest moim domem, tylko miejscem, w którym muszę mieszkać - odparł ponuro. - A ochmistrzyni odejdzie jeszcze dzisiaj, oczywiście z godziwą emeryturą. Nie ma znaczenia, czy przyjmiesz moją ofertę, czy nie, i tak nie chcę mieć pod nosem tej ję-dzy z kwaśną miną. Zastraszała moją matkę, jednak ojciec nie zważał na to, gdyż Agnes Fogarty sprawnie kierowała domem. Ja jednak nie chcę oglądać jej ponurej twarzy. Ta kobieta kojarzy mi się z czarnym pajakiem, który czyha pod schodami.

- A co z lokajem twojego ojca? - pytała dalej, byle zagadać prawdziwy dylemat, który brzmiał następująco: czy choćby przez kilka tygodni zdoła żyć pod jednym dachem z Rossem, skoro przekonała się już, jak cudownie czuje się w jego ramionach? Jeśli jed-

nak dzięki temu miała osiągnąć cel i zapewnić sobie fundusze na poszukiwanie sióstr, może warto stłamsić uczucie i robić swoje?

- To starszy człowiek. Jemu również proponuję emeryturę. Oczywiście może zamieszkać na terenie posiadłości, jeśli wyrazi taką ochotę.

- Rozumiesz chyba, że nie zostanę u ciebie na długo. Muszę odnaleźć Bellę i Linę.  
- Sięgnęła po torebkę. - Powinnam wrócić do biura i wyjaśnić, że nie nadaję się na to stanowisko, co zgodnie uznaliśmy.

- Jestem gotów zaproponować ci stałą pracę oraz wynagrodzenie, które umożliwi ci zatrudnienie śledczego do wytropienia sióstr. - Ross oparł nogę na osłonie kominka i odwrócił wzrok. - Mógłby od razu wziąć się do roboty. Z pewnością będzie podróżował szybciej niż samotna kobieta i odnajdzie twoje siostry, nawet jeśli się przeprowadziły. Straciłaś kontakt z Anglią, więc potrzebujesz pomocy przy poszukiwaniach.

Ponownie odłożyła torebkę i spojrzała na posępny profil Rossa. Bella, Lina... Gdyby dostała zaliczkę akonto wynagrodzenia, mogłaby z miejsca wysłać tropiciela. Odnalazłby jej siostry, a wtedy odpracowałaby dług i pojechała do nich albo one przybyłyby do niej.

To jednak oznaczałoby konieczność pozostania z Rossem i miesiąc lub dwa walki z pokusą.

- Trzydzieści funtów i pełne utrzymanie - zaproponował, nadal na nią nie patrząc.

Niewiele ochmistrzyń mogło się pochwalić tak wysokim wynagrodzeniem, o czym oboje doskonale wiedzieli. Taka pensja pozwoliłaby Meg na opłacenie śledczego, który wszcząłby skrupulatne poszukiwania przy zachowaniu pełnej dyskrecji. Ross zaoferował naprawdę atrakcyjne warunki, znacznie przewyższające to, na co mogłaby liczyć typowa ochmistrzyni. Jednak Meg wiedziała, że gdyby wyraziła zgodę, uczciwie by zapracowała na te pieniądze, więc nie ma mowy o podarunku.

- Przyjmuję propozycję. Będę pracowała tylko jako twoja ochmistrzyni, nikt ponadto, i tylko do czasu znalezienia moich sióstr. - Nagle coś sobie uświadomiła. - Czy na pewno stać cię na takie wydatki?

Ross omiół ją wzrokiem, a było to spojrzenie godne arystokraty, po czym oznajmił lakonicznie:

- Tak.

- Emerytury dla dwojga starych pracowników. Przeplacona ochmistrzyni, nowy lokaj - wyuczała. - Do tego musisz wymienić garderobę...

- Oczekuję, że zaprowadzisz oszczędności. Kupisz świece łojowe, będziemy regularnie jedli grochówkę, pościel zostanie pocerowana, a ogrodnikowi każesz przerobić rabatki kwiatowe na grządki warzywne.

- Doskonale.

Meg nie była pewna, czy mówił poważnie, czy też żartował, знаła się jednak na prowadzeniu domu, a już perfekcyjnie posiadała wiedzę o tym, jak czynić oszczędności, jako że według wielebnego Shelleya marnotrawstwo i nieumiarkowanie były śmiertelnymi grzechami, przed którymi ze wszystkich sił starał się ustrzec córki.

Natomiast kiedy została mężatką, okazało się, że James nie zamierza zmieniać obyczajów i przeznaczать pieniędzy na żonę. Dalej wiódł kawalerskie życie, uprawiał hazard, pił i utrzymywał stado koni. Upierał się, że cięcia wydatków nie wchodzi w grę i był pewien, że sprytna Meg coś wymyśli.

- Jak duży jest dwór? - spytała, nie chcąc zastanawiać się nad przeszłością.

- Stary dom to bardzo mały budynek...

Ross urwał, kiedy do saloniku wszedł kelner z lunchem. Po chwili w drzwiach pojawił się Perrott. Meg z ulgą odsunęła się od stołu, żeby nie przeszkadzać kelnerowi w nakrywaniu, a Ross wziął lokaja na stronę, zapewne by uzgodnić warunki zatrudnienia.

- Wyruszamy natychmiast po posiłku - oznajmił Ross po powrocie do stołu. - Wynajęłam powóz.

- Wasza Lordowska Mość... - Perrott zajął miejsce dopiero wtedy, gdy Meg i Ross już usiedli. - Czy w drodze przez miasto moglibyśmy zatrzymać się w sklepie z tkaninami? Wydaje mi się...

- Nie - warknął Ross, a młody lokaj raptownie zamknął usta. - Jedz. Nie będziesz mnie włączył po sklepach, Perrott. Wraz z panią Halgate możesz sporządzać listy zakupów, ale nie życzę sobie, żeby ktoś wciągał mnie do aktywnego uczestnictwa w tym procederze.

Perrott w milczeniu pochylił się nad talerzem, a Meg zadała sobie pytanie, dlaczego przyjęła tymczasową pracę, skoro powinna uciec od tego gwałtownego, potężnego mężczyzny? Była wręcz boleśnie świadoma, że zależało mu jedynie na zaciągnięciu jej do łóżka.

Wmawiała sobie, że pragnie zdobyć pieniądze i tym samym stworzyć szansę na odnalezienie rodziny. Niestety pragnęła Rossa bardziej, niż nakazywał zdrowy rozsądek. Chciała go, choć nawet nie napomknął o miłości. Postanowiła przestać o tym myśleć i skupić się na pieniądzach. Nie była już tą romantyczką sprzed lat.

- Myślę, że pora na nas - oznajmił w końcu Ross.

- Jak Wasza Lordowska Mość sobie życzy. - Meg odłożyła sztucę i uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Chodźmy zatem dopilnować załadunku bagaży, Perrott... Panie Perrott - poprawiła się natychmiast.

Musiała pamiętać, że oboje są wyższej rangi służącymi, którzy zasługują na odpowiedni szacunek. Perrott był osobistym służącym milorda i tylko od niego odbierał polecenia, natomiast ochmistrzyni zarządzała gospodarstwem domowym. Ciekawiło ją, ile służby zastanie w Trevarras Court. Na pewno są tam kucharka, pokojówka, pomywaczka, jeden lub dwóch pokojowców, a także kamerdyner, który nadzoruje prace porządkowe i kieruje obsługą podczas posiłków. Najważniejsze, by kucharka i kamerdyner okazali się sympatyczni i skorzy do współpracy. Te dwie osoby miały dorównywać jej rangą w nowym, nieznanym świecie, do którego zmierzała.

Podróż przebiegła w przyjemnej atmosferze, a soczysta zieleń wydała się Meg wręcz zachwycająca w porównaniu z tym, co otaczało ją w Hiszpanii i Pirenejach.

- Piękne okolice - zauważyła, zerkając na siedzącego u jej boku Rossa.

Powoli odwrócił ku niej głowę, jakby zdziwiony jej obecnością, po czym odparł:

- Owszem, piękne. Zdążyłem zapomnieć, jak pełna życia jest Kornwalia.

Gdy powóz skręcił między dwie stróżówki, Meg zauważyła mężczyznę, który kłaniał się przy otwartej bramie, a gdy ją minęli, ruszyli przez park.

Park? Meg ponownie popatrzyła na Rossa, który miał posepną, a nawet groźną minę. Wkrótce powóz skręcił ponownie, zwolnił i znieruchomiał przed długą fasadą budynku z szarego kamienia. Dom liczył sobie trzy piętra, sutereneń okalała balustrada. Zatrzy-

mali się tuż przy schodach prowadzących do wielkich drzwi wejściowych między dwoma drzewami laurowymi w donicach. Tak imponujący gmach nie mógłby zostać nazwany małym nawet przez najbogatszego arystokratę.

- Wspomniałeś, że twój dwór jest mały - wykrztusiła Meg, a na widok miny Perrotta natychmiast się poprawiła: - Milord wspomniał.

- Powiedziałem, że stary dom jest mały. Obecnie tworzy skrzydło na tyłach budynku - wyjaśnił Ross, kiedy lokaj otwierał drzwi i rozkładał schodki. - Przerwano nam, nim dokończyłem myśl.

- Sir... - zaczął lokaj i umilkł. Meg widziała, jak zmienia się jego mina, kiedy spojrzął na Rossa. Pomyślała, że jej pracodawca bardzo przypomina jej ojca. - Wasza Lordowska Mość! - wykrzyknął Perrott, przywołując gestem drugiego lokaja. - Jego Lordowska Mość powrócił!

Wezwany lokaj odwrócił się na pięcie i pognął do domu.

- Nie mieliśmy pojęcia, kiedy milord przybędzie, ale wszystkie pokoje są gotowe.

Ross wyszedł z powozu, tuż za nim podążyli Meg i Perrott. Musisz zachować spokój, powiedział sobie. Potrafił to nawet przed bitwą, kiedy przewracał mu się żołądek i ugiwały nogi. Jeśli się nie boisz, jesteś głupcem. Cała sztuka polega na tym, żeby nie okazywać strachu w obliczu obowiązku. Doskonale wyczuwał złość Meg, która słusznie czuła się oszukana. Dzięki Bogu, nie piekliła się, tylko milczała jak zaklęta.

Gdy ruszył w kierunku schodów, podwójne drzwi się otworzyły i ze środka wymaszerowała gromada służących. Kobiety skierowały się na lewo, mężczyźni na prawo, a każda osoba zajęła jeden stopień. Powstał szpaler na cześć pana tego domu i okolicznych ziem. Na szczycie stała pani Fogarty, naprzeciwko niej stał kamerdyner Heneage.

Ross zatrzymał się u podnóża schodów.

- Heneage, wprowadź personel do środka. Porozmawiam ze służbą później. - Popatrzył na ochmistrzynię. - Pani Fogarty, chcę niezwłocznie zamienić z panią słowo w gabinecie.

- Jak Wasza Lordowska Mość sobie życzy.

Kamerdyner uklonił się, dał znak zdeorientowanym podwładnym i cała procesja czarnych sukni oraz granatowych liberii wmaszerowała za nim do środka. Heneage jest

tak samo niewzruszony jak dawniej, pomyślał Ross, idąc przez główny hol do gabinetu niegdyś zajmowanego przez ojca.

Ochmistrzyni już na niego czekała. Ręce założyła na piersi, mocno zacisnęła usta. U jej pasa wisiał ciężki pęk kluczy. Kiedy Ross wszedł do środka, wymownie popatrzyła na portret jego ojca zawieszony nad kominkiem.

- Pani Fogarty, nie będę owijał w bawełnę - zaczął Ross z obojętną miną. - Jak rozumie, ma pani krewnych w Truro.

- Siostrę, paniczu Ross.

A więc odmawiała mu prawa do tytułu. Postanowił machnąć na to ręką.

- Nie będzie dla pani niespodzianką, że postanowiłem zatrudnić inną ochmistrzynię. Napiszę do moich przedstawicieli bankowych w Truro polecenie natychmiastowego wypłacenia pani pierwszej raty emerytury, którą zostanie wyliczona proporcjonalnie do czasu pracy pani w mojej rodzinie i będzie uwzględniała brak okresu wypowiedzenia. - Wręczył jej kopertę, którą przygotował w hotelu Pod Czerwonym Lwem. - Tutaj znajduje się adres mojego banku, list polecający oraz dwadzieścia funtów w gotówce, które pokryją pani wydatki do czasu wypłaty emerytury. - Umilkł, spodziewając się gwałtownej reakcji, lecz pani Fogarty zachowała pogardliwe milczenie. - Pojedzie pani do Truro tym samym powozem, którym przybyłem. Oczekuję, że zwróci pani klucze i wyprowadzi się w ciągu godziny.

- Nie chce panicz, żebym przekazała klucze jego utrzymanie? - wycodziła pani Fogarty.

- Skoro nie potrafi pani zachowywać się kulturalnie, zaczeka pani w powozie, a ja zlecę spakowanie pani rzeczy i załadowanie bagaży - odparł z kamienną miną.

- Spodziewałam się tego. - Ruszyła do drzwi, szeleszcząc czarnym jedwabiem sukni, a gdy przekroczyła próg, zobaczyła czekających na korytarzu Heneage'a, Meg i Perrotta. - Spakowałam się zawczasu - oświadczyła z goryczą pani Fogarty. - Wcale nie uśmiechało mi się pozostawanie pod jednym dachem z człowiekiem, który zamordował własnego brata. Szkoda, że Francuzi nie załatwili sprawy. Niewłaściwy człowiek stracił życie i tyle. - Z dumnie uniesioną głową minęła zgromadzonych przed drzwiami.

Ross wyszedł za nią, zastanawiając się, czy jest tak blady, jak mu się wydaje.

- Heneage, czy byłbyś łaskaw sprowadzić Usborne'a? - zapytał.

Kamerdyner miał tak nieprzeniknioną minę, że Ross nie wiedział, czy był zbulwersowany zwolnieniem ochmistrzyni, czy też popierał tę decyzję.

- Milordzie, trzy tygodnie temu pan Usborne doznał zawału serca - powiedział Heneage. - Obecnie mieszka z bratową w Falmouth. Pan Tonge, radca prawny, uważa, że zgodzi się pan pokryć rachunek za leczenie pana Usborne'a.

- Oczywiście - przytaknął Ross bez wahania. - Przykro mi, że podupadł na zdrowiu. Porozmawiam z prawnikiem o emeryturze dla Usborne'a. Oto Perrott, mój lokaj. Oprowadź go, proszę, po moich pokojach i każ wnieść bagaże. I jeszcze jedno. Niech służba za godzinę zbierze się w holu. Przedstawię wszystkim pani Halgate, nowej ochmistrzyni. - Ross zaczekał, aż obaj służący się oddalą. - Pani Halgate, proszę do gabinetu.

Tak jak się spodziewał, Meg natychmiast przeszła do sedna:

- Ta kobieta oskarżyła cię o zamordowanie brata. - Była wyraźnie wstrząśnięta.

Ross opuścił wzrok na obity skórą blat biurka, a potem na rzeźbiony fotel, lampę do czytania i stojak na pióra. Ile razy stawał w tym miejscu, żeby wysłuchiwać wrogich uwag poirytowanego ojca?

Powoli obszedł biurko, usiadł i położył dłonie na gładkiej skórze. Nagle zapragnął porozmawiać z ojcem jak mężczyzna z mężczyzną. Chciał wyjaśnić mu przyczyny swojego postępowania, żeby zmarły lord wiedział, jakim człowiekiem stał się jego zbuntowany syn.

- Może usiądziesz, Meg? - Musiał porozmawiać z nią o Gilesie, żeby wyjaśnić, jak ogromne poczucie winy dręczy go od lat.

- Nie, dziękuję. - Nerwowo spacerowała po gabinecie. Widać było, że usiłuje powstrzymać się od przedwczesnych osądów i pragnie wysłuchać jego wersji zdarzeń. Większości ludzi wystarczyłby rzut oka na Rossa, żeby uwierzyć w najgorsze. - Co miała na myśli?

- To, że ponoszę odpowiedzialność za śmierć brata. Zastrzeliłem go. - Spodziewał się odrazy na twarzy Meg.

Jednak tylko wpatrywała się w niego z uwagą, aż wreszcie powiedziała:



- Przecież, jak kiedyś powiedziałeś, zmarł sześć lat po tym, jak się zaciągnąłeś do wojska. Przebywałeś wtedy na Półwyspie Iberyjskim, prawda?

- Postrzeliłem go, kiedy liczyłem sobie ledwie kilkanaście lat. Kula przeszła klatkę piersiową Gilesa i nie dało się jej usunąć. Giles robił się coraz słabszy, zapadał na wszystkie możliwe choroby, aż w końcu umarł.

- Och, nie. Nie... - Meg usiadła. Musiała zacisnąć ręce, żeby powstrzymać drżenie dłoni. - Czy celowo do niego strzeliłeś?

TLR

## Rozdział ósmy

- Czy miałem zamiar zastrzelić brata? Nie, Meg. Wszystko przez moją przeklętą nieostrożność i brak odpowiedzialności. Doszło do wypadku, który został starannie zatuszowany. Publicznie ogłoszono, że dwóch braci wybrało się na polowanie i zdarzył się dramat.

- Jak było naprawdę?

- Pragnąłem zaciągnąć się do wojska, bo uwielbiałem strzelać. Jedyne w tym byłem dobry, natomiast ojciec uważał, że umiejętność posługiwania się bronią to tylko jeden z atrybutów dżentelmena, a nie sposób zarabiania na życie. Już wiesz, że miałem dwóch świetnych nauczycieli: głównego łowczego oraz przebiegłego kłusownika. Jako czternastolatek trafiałem do każdego celu, nieruchomego czy ruchomego. Giles z kolei był wzorowym synem, posłusznym, inteligentnym, pracowitym i łagodnym. Niestety, to ja byłem starszy, więc dziedziczyłem majątek. Nikomu nie udało się nauczyć mnie posłuszeństwa, choć ojciec i nauczyciele robili, co w ich mocy. Ojciec odmówił mi prawa do służby wojskowej, kiedy miałem siedemnaście lat. Rzecz jasna najbardziej pragnął tego, by Giles był dziedzicem.

- Ale ty kochałeś brata - zauważyła Meg. - Słyszę to, kiedy wymawiasz jego imię. Nie byłeś o niego zazdrosny i nie darzyłeś niechęcią, prawda?

- Nie. Gilesa nie dało się nie kochać. - Popatrzył na portret wiszący naprzeciwko biurka. - Zobacz sama.

Meg podeszła do obrazu. Ross uświadomił sobie, że patrzy na nią zamiast na portret brata. Nie mógł oderwać oczu od szczupłej szyi i kształtnych ramion, od gęstych włosów, od zgrabnej sylwetki.

- Zdumiewająco urodziwy młodzieniec - powiedziała w końcu. - Ma dobre oczy. Jak wiadomo, ludzie zwykle utożsamiają piękno z dobrocią.

- To prawda - zgodził się Ross bez cienia zawiści i w końcu popatrzył na Gilesa, na jego wystającą brodę, którą odziedziczył po matce, wysokie kości policzkowe, zielone oczy i wrażliwe usta. Po ojcu brat miał wzrost i kruczoczarne włosy. Niejedna dama

twierdziła, że wyglądał jak księżę z bajki. - Był podobny do matki. Jak widzisz, ja odziedziczyłem urodę po ojcu. Przynajmniej w tym wypadku wygląd nie kłamie.

Meg skierowała wzrok na podobiznę starego lorda Brandona.

- Czarne oczy, ukośne brwi, zaciśnięte zęby i usta, które nigdy nie wypowiedziały słów „daję za wygraną” - oznajmiła. - Ty i brat musieliście tworzyć wielce frapującą parę.

- Jak kruk i gołąb. - Ross wielokrotnie słyszał to porównanie.

Jak diabeł i anioł, dodał w myślach.

- Co się zdarzyło?

- Miałem prawie siedemnaście lat, Giles był o dwa lata młodszy. Uciekłem z lekcji, żeby postrzelać, a on poszedł za mną, bo strasznie tego chciał. Czepiał się mojego rękawa, prosił, bym go zabrał, bo bardzo chciał przeżyć przygodę. Dotąd zawsze odmawiałem, ten jedyny raz się zgodziłem. Byłem starszy i powinienem zachowywać się odpowiedzialnie. Opieka nad bratem należała do moich obowiązków. Byłem wyszkolonym tropicielem zwierzyny, w lesie czułem się jak w domu, w przeciwieństwie do Gilesa. Szedłem z uniesioną bronią, z palcem na spuście, a Giles potknął się i wpadł na mnie. Strzelba wypaliła...

- Musiałeś być przerażony. - Meg wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. - Ale niewątpliwie zaniósłeś go do domu i wyjaśniłeś wszystkim, że doszło do wypadku?

- Oczywiście... Wierz mi, nigdy potem nie czułem się tak bezradny, tak nieużyteczny, jak w tamtej chwili. Jakoś udało mi się przetransportować Gilesa, niosłem go na rękach przez milę, choć wiedziałem, że go krzywdzę. Nie umiałem zatamować krwotoku, słyszałem jego urywany oddech. Giles ani razu nie zaprotestował, ani razu nie krzyknął, gdyż mi ufał.

- Więc uciekłeś, żeby wstąpić do wojska.

Nie był pewien, czy w jej głosie słyszy potępienie, czy zrozumienie. Wiedział za to, że Meg usiłuje zapanować nad emocjami.

- Wyjechałem, kiedy tylko nabrałem pewności, że Giles nie umrze. Dopiero później z listów ojca dowiedziałem się, jak bardzo był chory, gdy opuszczałem dwór. A potem umarł. Przeze mnie. To ja go zabiłem!

- Nie! Ross, nie... Przecież to był wypadek. Jak możesz się obwiniać? Czujesz się odpowiedzialny za to, że go zawiodłeś, i świetnie to rozumiem. Gdybym przypadkowo zraniła Linę, również dręczyłoby mnie poczucie winy, choć mój grzech byłby żaden. - Zawahała się. - Wypadek nie zniechęcił cię do strzelania?

- Nie. - Ross nie wierzył własnym uszom. Czy naprawdę uważała, że nie jest winny? Dawno nie słyszał równie krzepiących słów. - Z perspektywy czasu widzę, że chciałem dobrze spożytkować swoją umiejętność. Postrzeliłem brata, mogłem zatem strzelać do wrogów mojej ojczyzny. - Eliminował ich z zimną krwią i porażającą skutecznością. Stał się maszyną do zabijania. - Zawiodłem brata i rodzinę, więc chciałem być jak najlepszym oficerem.

- Ale teraz nadszedł czas, byś już nie niszczył, tylko zaczął budować - podsumowała Meg łagodnie. - Dziękuję, że opowiedziałeś mi to wszystko. - Nagle zmarszczyła brwi. - A teraz bądź łaskaw wyjaśnić mi, dlaczego zasugerowałeś, że to gmaszysko jest całkiem niewielkie?

- Gdybym wyjawiał prawdę, za nic byś tu nie przyjechała.

- A ilu masz służących? I ile pokoi? - Nie czekając na odpowiedź, spytała: - I jak, u licha, mam tym wszystkim zarządzać choćby przez kilka tygodni?

Ross nie musiał jednak odpowiadać, gdyż drzwi otworzyły się i do środka wparowała pani Fogarty. Ze zjadliwym uśmiechem zlustrowała Meg i cisnęła pęk kluczy na biurko. Ross z podziwem zauważył, że jego nowa ochmistrzyni dumnie uniosła brodę. Tak, była damą w każdym calu.

- Jesteś młoda, niewiele wiesz, więc ci radzę, uważaj - ze złym błyskiem w oczach powiedziała do Meg pani Fogarty. - Widzisz przed sobą człowieka, który wdał się w ojca. Ma temperament i dumę diabła. Przy nim żadna kobieta nie jest bezpieczna. Dobrze się stało, że ten tutaj zdążył uciec, nim ktoś podrzucił mu pod drzwiami jakiegoś bękarta. Co nie oznacza jednak, że nie napłodził gromadki bachorów. Zdaje ci się, że jesteś tą jedną jedyną? Wszystkie się łudzą.

Ross zerwał się z miejsca i wycedził:

- Precz. - Był tak wściekły, że słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Jak ta jędza śmiała twierdzić, że traktował kobiety jak jego ojciec?

Agnes Fogarty wyszła, trzaskając drzwiami, a Ross okrążył biurko, stanął przed Meg i popatrzył w jej oczy, by sprawdzić, czy ujrzy w nich odrazę i potępienie.

- Nie przypatruj się podejrzliwie wszystkim okolicznym dwunastolatkom - powiedział. - Na pewno nie są moimi dziećmi, a ojciec odwiedzał burdele i utrzymanki w Truro.

- To musiało być okropne dla twojej matki. - Meg popatrzyła na niego ze współczuciem. - Dla ciebie i twojego brata również. Nawet nie wyobrażam sobie, jak to musi być... Przynajmniej pod tym względem dobrze mieć ojca pastora.

Ross podszedł do okna, za którym rozpościerał się zapuszczony ogród różany.

- Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że nie kalał własnego gniazda - oznajmił niechętnie. - Zdarzyło się to tylko raz, z córką Billy'ego Gillana, kłusownika, który nauczył mnie strzelać. Jak ta nieszczęsna dziewczyna miała odmówić mojemu ojcu, skoro jej rodzina mieszkała w służbówce? Mógł potem udawać, że jej nie zgwałcił, rzecz jasna. Kiedy zaszła w ciążę, Billy stanął na progu dworu, żeby powiedzieć mojemu ojcu, co o nim myśli, a potem on i jego rodzina zostali wyrzuceni z domku. Billy'emu pozostało tylko kłusownictwo. Usiłowałem płacić mu za lekcje strzelania, ale nie chciał brać pieniędzy, więc przekazywałem je Lily. Przynajmniej w ten sposób pomagałem jej wychowywać mojego przyrodniego brata.

- Skąd brałeś gotówkę?

- Podkradałem ojcu, a jakże. Nigdy zbyt dużo za jednym zamachem, żeby się nie połapał. Kiedy wracał do domu, kieszenie miał pełne wygranych w karty i upychał pieniądze do lakierowanego pudełka, nawet ich nie licząc. Odziedziczyłem po nim umiejętność wygrywania przy karcianym stole. Pieniądze były dla niego błahostką, dla Lily i jej rodziny sprawą życia i śmierci. Billy nauczył mnie także sporo o dziewczynach. Powtarzał, że nigdy nie wolno brać żadnej, która się wzbrania, nauczył mnie też, jak, cytuję, nie zostawiać za sobą stada skundlonych szceniąt. Jego przenośnie są może i zbyt ru-

baszne oraz dosadne, lecz charakter ma zacny. Do dzisiaj uważam go za swojego najlepszego nauczyciela. Poczciwy, stary Billy.

- Jak mniemam, ciągle żyje? - zapytała.

- Z pewnością. - Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Billy mógłby umrzeć. - Jest niezniszczalny - dodał z przekonaniem, którego wcale jednak nie czuł. Mocno zaniepokojony, postanowił jeszcze tego wieczoru odwiedzić starego przyjaciela.

Zegar wybił pełną godzinę.

- Pora na przegląd wojsk - oświadczyła poblądła Meg i wstała.

Ross nie wiedział, czy krew odpłynęła jej z twarzy ze zdenerwowania, czy też dlatego, że uświadomiła sobie w pełni, dla kogo pracuje.

- Proszę. - Wręczył jej klucze zostawione przez jej poprzedniczkę. - Twój symbol władzy.

Zamrugła, ale przyjęła je bez słowa.

Kamerdyner zebrał personel w głównym holu i ustawił służbę tak, jak na schodach przed domem, to znaczy kobiety były z jednej strony, a mężczyźni z drugiej, od najmniej do najbardziej ważnych rangą. Ross podszedł do dołu schodów wiodących na piętro, delikatnie dotykając łokcia Meg.

- Witam. - Stał na pierwszym stopniu. - Część z was mnie pamięta, reszta pojawiła się po moim wyjeździe. Przekonacie się, że zaprowadzę inne porządki niż tu pannały za czasów mojego ojca, ale z pewnością wszystkim uda się przystosować. - Myny służących niezbitnie dowodziły, że zrozumieli jego przekaz: „Kto się nie podporządkuje, ten straci pracę”. - Zamierzam od razu dokonać kilku zmian. Jak wiadomo, Usborne miewa się źle i przechodzi na emeryturę. Perrott jest moim nowym lokajem. Na emeryturę przeszła także pani Fogarty. Pani Halgate jest od dzisiaj naszą ochmistrzynią i oczekuję, że wszyscy zapewnią jej lojalne wsparcie w kierowaniu dworem. Pani Halgate przywykła do prowadzenia portugalskich gospodarstw domowych - dodał bez zająknięcia. - Niewątpliwie różnią się one od angielskich, ale to drobny problem. Heneage, zechciej przedstawić personel.

Meg uśmiechnęła się z wysiłkiem i ruszyła krok za Rossem. Portugalskie domy, też coś, pomyślała. Raczej wojskowe namioty. Teraz wiedziała już na pewno, że Ross ma

poczucie humoru. Szła spokojnie, usiłując zapamiętać imiona mijanych służących. Odtąd miała kierować trzema pomywaczkami, dwiema pomocami kuchennymi, dwiema pomocami pralniczymi, jedną praczką, czterema pokojówkami z parteru domu, czterema z piętra, a do tego panią Harris, kucharką. Jeśli zaś chodzi o męską część personelu, poznała pucybuta, chłopca na posyłki, trzech posługaczy i tyłuż lokajów, nie licząc Perrotta i Heneage'a. Wśród zebranych brakowało jeszcze personelu zewnętrznego.

- Gdzie zarządca majątku? - spytał Ross kamerdynera, który odpowiedział coś półgłosem. - Na farmie? Więc niech ktoś go sprowadzi, chcę z nim jak najszybciej porozmawiać. To wszystko. Heneage, pani Halgate, proszę wrócić do obowiązków.

- Będę potrzebowała pokojówki - oświadczyła Meg, aby podkreślić wagę swojego stanowiska.

- Pracowałam jako pokojówka pani Fogarty, proszę pani - odezwała się chuda, niepokojna dziewczyna o spiczastym nosie i bladych, rozbieganych oczach. - Staralam się, jak mogłam.

- Nie wątpię, Annie. - Meg zdołała przypomnieć sobie jej imię. - I na pewno powinnaś odpocząć od dotychczasowych obowiązków. - Gdy Annie uśmiechnęła się z nieskrywaną ulgą, Meg wiedziała już z całą pewnością, że Agnes Fogarty musiała nieźle zaleźć jej za skórę. - Damaris, moim zdaniem świetnie sobie poradzisz. - Milcząca ruda dziewczyna, która usiłowała schować się za pulchną sąsiadką, drgnęła i zrobiła wystraszoną minę. - Czy oprowadzisz mnie po moich pokojach? A resztę proszę o powrót do pracy.

Kiedy pokojówka sprowadziła ją na dół, sfatygowana walizka Meg stała już przed drzwiami.

- Reszta moich rzeczy zaginęła we Francji. - Meg wołała nie wspominać o bitwach, ewakuacjach i taborach. - Muszę jak najszybciej wybrać się na zakupy.

Czuła się dziwnie, wchodząc do pomieszczeń należących jeszcze niedawno do innej kobiety, i to takiej, której nie polubiła. Ochmistrzyni miała do dyspozycji sporej wielkości salon oraz nieco mniejszą sypialnię. Z okien rozciągał się widok na wybrukowane podwórze z ziołowym klombem pośrodku. Pokoje były bardzo wygodne, ale dość ciemne i urządzone w dziwnie bezosobowo, co dobitnie charakteryzowało Agnes Fogar-

ty. Nie cierpiała wszelkiej indywidualności, tępiła to wszystko, co w jakikolwiek sposób się wyróżniało.

- Rozpakujemy się później - postanowiła Meg. - Najpierw mnie oprowadzisz po dworze. Nie chcę w nim zabłądzić.

Wraz z pokojówką zdążyła jednak zwiedzić tylko parter oraz kuchnię, w której gadliwa pani Harris zaparzyła Meg herbatę, nie przerywając nadzorowania prac przy szykowaniu kolacji.

- Wykapany ojciec, niech mu ziemia lekka będzie - oświadczyła kucharka. - Jak to się stało, że panią zatrudnił, skoro dopiero co wrócił do Anglii?

- Znalazł mnie w agencji pana Empsona. Przyszedł w poszukiwaniu ochmistrzyni i usłyszał, jak opowiadam o swojej pracy w Portugalii. Długo służył na Półwyspie Iberyjskim, więc uznał zapewne, że się nadaję. - Wołała nie dodawać, że pracuje tu tylko tymczasowo.

- Portugalia! Proszę, proszę... Czy tam jest zupełnie inaczej niż u nas?

- Nawet nie wyobraża sobie pani, jak bardzo - odparła Meg z przekonaniem.

Potem zjawił się jeden z posługaczy, którego imienia nie pamiętała.

- Pani Halgate, Jego Lordowska Mość przesyła ukłony i powiada, że w agencji była mowa o pani umiejętności bardzo ładnego czytania na głos - oznajmił.

- Hm... tak?

- Więc Jego Lordowska Mość pyta, czy po kolacji może pani dołączyć do niego w bibliotece, żeby mu poczytać.

- Przekaż milordowi, że z przyjemnością. - Meg zaczekała, aż posługacz odejdzie, i dopiero wtedy zwróciła się do kucharki: - Wielkie nieba! Powiedziałam panu Empsonowi, że mogę czytać na głos, gdyby znalazł dla mnie miejsce przy jakimś inwalidzie. Nigdy jednak nie sądziłam, że Jego Lordowska Mość zechce posłuchać, jak czytam. Wołałabym nie odmawiać, choć prośba zdaje się nieco osobliwa.

- Niech pani zostawi otwarte drzwi biblioteki. - Kucharka posłała jej wymowne spojrzenie. - Przy otwartych drzwiach nic pani nie grozi.

- To bardzo rozsądna rada, pani Harris. Tak właśnie zrobię - przytaknęła Meg z wdzięcznością.



W ten sposób mogła zapewnić sobie ochronę nie tylko przed Rossem, ale też przed samą sobą.

Po kolacji Meg poszła prosto do biblioteki. Ciężkie, dębowe drzwi były zamknięte, więc rozejrzała się i uniosła rękę, by zapukać.

- Proszę! - rozległo się w tej samej chwili.

- Dobry wieczór, milordzie. - Dygnęła i weszła do środka, pozostawiając drzwi otwarte na oścież.

Pomieszczenie okazało się ciemne i przytłaczające, a półki sięgające od podłogi po sufit wypełnione były tomiskami w skórzanych oprawach. Wielki globus zdobił ścienną wnękę, a tu i tam ustawiono obite skórą krzesła oraz stoliki.

Pomimo odpowiedniej temperatury powietrza i grubego dywanu, w bibliotece zdawał się panować chłód, zresztą podobnie jak w reszcie domu. Wszystkie pokoje, które dotąd oglądała Meg, były zimne, czyste, uporządkowane i sterylne.

- Dobry wieczór. - Ross odłożył książkę i zmarszczył brwi. - Zamknij drzwi, chodź tu i usiądź, Meg. Pani Halgate - poprawił się natychmiast, kiedy pokręciła głową, usłyszawszy na korytarzu stukot kroków jednego z lokajów.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli zostawię drzwi otwarte, Wasza Lordowska Mość. - Usiadła naprzeciwko Rossa. - Jak rozumiem, mam coś przeczytać na głos.

- Tak. - Skrzywił się lekko, najwyraźniej niezbyt zadowolony z jej decyzji, ale wskazał ręką znajomą lekturę. - „Podróże Guliwera”. Pierwszy rozdział już znam. - Popatrzył wymownie na drzwi.

Meg w taki sposób przyjęła książkę, by przypadkiem nie dotknąć jego dłoni.

- Oczywiście. Zanim jednak zacznę, pragnę o coś spytać - oznajmiła ostrożnie. - Chciałabym wiedzieć, czy mam pozostawić wszystko w domu tak, jak jest, czy też mogę przenosić rzeczy i wprowadzać zmiany. Nie wiem też, czy Wasza Lordowska Mość oczekuje jakichś modyfikacji, a może nawet remontu. W przeciągu kilku tygodni nie osiągnę wiele, ale chętnie spróbuję.

- Kilku tygodni? - Wpatrywał się w nią przez chwilę. - Nie, nie mam żadnych oczekiwań. - Z obojętną miną rozejrzał się po pomieszczeniu. - Proszę robić, na co pani ma ochotę, i nie przejmować się kosztami.

- Przecież miałam oszczędzać. - Zaniepokoiła go apatia w jego głosie. Najwyraźniej Rossa nie obchodziło, co się wokół niego dzieje.

- Powiedziałem to z ironią. Niech pani spyta mnie o zdanie, zanim coś pani zburzy albo przebuduje, ale poza tym zgadzam się na wszystko.

- Doskonale. - Musiała jakoś rozbudzić jego zainteresowanie, gdyż czuła, że jeśli tego nie zrobi, pewnego dnia Ross Brandon zmieni się w zimną, pustą skorupę, obojętną zarówno na ból, jak i na przyjemność. Meg otworzyła książkę i odszukała odpowiednie miejsce. - Rozdział drugi - zaczęła.

TLR

## Rozdział dziewiąty

Meg położyła się spać o jedenastej. Przeczytała Rossowi dwa rozdziały, a potem życzyła mu dobrej nocy i wyszła, świadoma jego powłóczyściego spojrzenia. Było jasne, że żadne z nich nie zapomniało o pocałunku ani też o obietnicy Rossa. Najwyraźniej był gotów czekać, aż Meg zdecyduje się zostać jego kochanką. Wspomnienia zdawały się im towarzyszyć niczym dodatkowa osoba w pokoju. Meg nie mogła się łudzić: Ross mówił poważnie.

Przed snem poszła jeszcze do kuchni, gdzie zastała panią Harris, która właśnie parzyła herbatę dla Perrotta i Heneage'a. Meg przyjęła filiżankę gorącego naparu i z przyjemnością spędziła chwilę w towarzystwie dwojga służących w średnim wieku oraz młodego lokaja. Czuła się tak, jakby uciekła przed emocjonalną burzą do oazy spokoju.

Damaris już wcześniej zmieniła pościel w jej sypialni i przyniosła gorącą wodę, a Meg zamówiła poranną herbatę na szóstą. Miała zapewnione wszelkie wygody, podłoga wreszcie nie kołysała się pod jej stopami, lecz mimo to nie czuła senności. Naturalnie była zmęczona, jednak jej umysł przez cały czas intensywnie pracował.

W końcu położyła klucze na komódce, uchyliła okno i usiadła przy stoliku, kładąc przed sobą notatnik. Miała nadzieję, że przestanie rozmyślać o Rossie, jeśli zajmie się sporządzaniem listy zadań do wykonania.

Zapisała na górze strony:

*Odzież. Pilne!*

*Odwiedzić sklepy w Falmouth.*

Zaraz jednak pomyślała, że powinna raczej wybrać się do Penryn, gdzie było więcej sklepów dla dam, a mniej dla marynarzy. Musiała poprosić Rossa o zaliczkę i kupić sobie coś lepszego niż jej wypłowiata suknia z bawełny. Poza tym pragnęła spytać go o adres radcy prawnego, który z pewnością poinformuje ją, jak skontaktować się z agentem śledczym. Dopisała więc skrupulatnie:

*Radca prawny*

Po powrocie do domu zamierzała go zwiedzić go od piwnic po strych, przy okazji poznając służbę oraz jej codzienne obowiązki. Umieściła więc następny punkt:

## *Dom*

Nagle zauważyła, że ktoś mija podwórze i wkracza do ogrodu. W półmroku dostrzegła sylwetkę wysokiego mężczyzny, który szedł w świetle księżyca, bez latarni czy choćby świecy. Czyżby to Ross wybrał się na przechadzkę?

Po chwili tajemniczy osobnik znikł za drzewami, ale Meg nadal siedziała całkiem nieruchomo. Nie była pewna, dlaczego ogarnął ją niepokój, jako że milord miał pełne prawo nocą spacerować po swojej posiadłości. Bardzo zresztą rozległej, jak się domyślała, choć jeszcze nie poznała jej całej.

Tak to ją rozproszyła, że nie mogła się skupić na sporządzaniu listy, więc narzuciła szal na ramiona, odpięła z pęku klucz do tylnych drzwi i wyszła na ciemny korytarz. Jej pokoje znajdowały się na parterze, mogła więc łatwo wymknąć się na zewnątrz. Pobiegnęła przez podwórze, rąbkiem sukni ocierając się o zioła na klombie. Po chwili dobiegła do tarasu i na trawnik, który opadał w kierunku morza. W oddali migotały światła wioski rybackiej.

Od raz dostrzegła wysoką sylwetkę w mundurowym płaszczu. Mężczyzna szedł prędko, ale kuśtykał, więc niewątpliwie był to Ross. Czy dobrze się czuł? Z pewnością dręczyło go poczucie winy z powodu śmierci brata. Pomyślała, że nie powinien być sam. Zauważyła, że Ross się pochyła, pokonując niskie ogrodzenie, które odgradzało trawnik od łąk, chroniąc go przed bydłem.

Uniosła suknię i pobiegła przed siebie, nie robiąc hałasu na krótko skoszonej trawie. Bez większego trudu przeskoczyła murek i wpadła w pokrzywy. Po chwili, klnąc cicho i dmuchając na poparzony palec, ruszyła dalej. Szła znacznie ostrożniej, gdyż teren był nierówny, musiała też omijać krowie ślady.

Przed nią rozciągał się las, prawdziwa rzadkość na smaganym wiatrami półwyspie. W blasku księżyca drzewa wyglądały posępnie i groźnie, mimo to Ross bez wahania zagłębił się w gęstwinie i zniknął Meg z oczu. Kiedy dotarła do pierwszych zarośli, odkryła wąską ścieżkę prowadzącą do stromego parowu. Meg powiedziała sobie, że angielskie lasy nie są tak groźne jak hiszpańskie, gdyż brak w nich wilków, niedźwiedzi i francuskich snajperów, i śmiało pobiegła dalej.

Ścieżynka doprowadziła ją do strumienia, który pokonała po prowizorycznym mostku z deski. Potem przeskoczyła płot i znalazła się w uroczysku. Dróżka stała się bardzo wąska i stroma, co mogło świadczyć o tym, że wkrótce zakończy się urwiskiem.

Meg była już niemal pewna, że nie znajdzie Rossa i ogarnęły ją wątpliwości, czy w ogóle należało opuszczać dom, kiedy dostrzegła światło między drzewami. Zrozumiała, że zbliża się do jakiegoś budynku, więc zwolniła kroku i ostrożnie podkraśla się na skraj polanki. Stała na niej rozsypująca się chatynka, która skojarzyła się Meg z gniazdem dużego, leśnego stwora. Właściciel chatki stał przy ognisku rozpalonym w połowie drogi między drzewami a skrajem lasu, i wpatrywał się w Rossa, który zamarł w odległości kilku kroków od niego, najwyraźniej niepewny, z jakim spotka się przyjęciem. W świetle płomieni Meg wyraźnie widziała, że nieznajomy jest niski, chudy jak patyk, ma brązową, pooraną zmarszczkami twarz i siwe włosy, które zwisały w strąkach spod zniszczonej, filcowej czapki.

Domyśliła się, że Ross przybył na spotkanie ze swoim starym znajomym, kłusownikiem Billym Gillanem.

- Nie widziałem cię szmat czasu, chłopcze - odezwał się Gillan.

- Tak, Billy. Wybacz.

- Nie mam czego. Wyrosłeś, chłop z ciebie na schwał. - Chwycił Rossa za głowę i ucałował go z dubeltówki.

Powrót marnotrawnego syna, pomyślała Meg, a jej oczy zaszyły łzami. Gdy Ross się wyprostował, ze zdumieniem zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Zatem potrafił być szczęśliwy, na tym świecie żyła przynajmniej jedna osoba, którą kochał.

Z trudem przełknęła ślinę. Kiedy Ross siadał u boku Billy'ego, żeby odbyć z nim rozmowę, postanowiła wrócić do domu. Doszła do wniosku, że dopóki żyje Billy, Ross widzi sens istnienia. Tyle tylko, że potrzeba było czegoś więcej, aby oczyścić duszę Rossa z mroku, który ją pochłoniął.

Ross ukrył twarz w dłoniach i przyczesał włosy palcami, mamrocząc pod nosem wyjątkowo wulgarne hiszpańskie przekleństwo. Po dwóch godzinach studiowania ksiąg rachunkowych, które podrzucił mu Tremayne, jego zarządca, nie był ani trochę mądrzej-

szy, za to kręciło mu się w głowie. Beznamiętne wyjaśnienia administratora na niewiele się zdały.

Ceny żywca, koszt paszy, częstotliwość nawożenia, zaległe naprawy i remonty, wszystko to równie dobrze mogłoby być spisane po chińsku. Ross miał pewność co do jednego, a mianowicie że nigdy nie opanuje tych wszystkich informacji, jeśli ograniczy się wyłącznie do ślęczenia nad księgami.

- Naprawdę nie ma sensu, by Wasza Lordowska Mość kłopotał się tym wszystkim - zasugerował administrator, a słysząc kolejne przekleństwo Rossa, zgarbił się w fotelu niczym spłoszony królik. - Handlowiec kontroluje księgi co kwartał, a świętej pamięci pan baron darzył mnie pełnym zaufaniem - dodał niepewnie.

- Nie wątpię, że jesteś zdolnym i pracowitym człowiekiem, Tremayne. - Ross hałaśliwie zatrzaskał księgę i odsunął się od stołu. Wcześniej kazał przesunąć biurko tak, żeby widzieć za oknem ogród różany, przy którym już pracowali ogrodnicy. - Wierzę też, że ojciec nie bez powodu pokładał w tobie zaufanie, jednak do niedawna byłem oficerem i dlatego uważam, że muszę wiedzieć, co się dzieje w moim pułku, że tak to ujmę. Nie ma możliwości, żebym kierował nim znad ksiąg rachunkowych, więc jutro wybiorę się z tobą na objazd posiadłości. Będziemy jeździli tak dzień w dzień, aż w końcu poznam cały majątek tak dobrze, jak znałem dowodzony przeze mnie pułk, jego strategię i taktykę.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili na progu stanęła obca dama. Ross zmrużył oczy i dopiero wtedy rozpoznał w niej Meg. Miała na sobie granatową suknię o prostym, lecz eleganckim kroju, i biały szal na ramionach. Głowę wieńczył gustowny, choć skromny czepek. Tego ranka poprosiła Rossa o pieniądze i o zgodę na wyjazd do Penryn, a zatem wyglądało na to, że umiała szybko i sprawnie robić zakupy.

- Proszę wybaczyć, milordzie, że przeszkadzam - powiedziała, patrząc na niego - ale taca z herbatą czeka już w chińskim salonie.

Ross rzucił okiem na zegar. Minęła trzecia, zatem spędził w gabinecie równo dwie godziny. Jego samozwańcza pielęgniarzka najwyraźniej uznała, że pora na rehabilitację nogi.

- Pani Halgate, jeszcze nie skończyliśmy omawiać spraw związanych z funkcjonowaniem posiadłości - odparł.

- Przygotowałam dwie filiżanki, Wasza Lordowska Mość - oznajmiła sztywno.

Ross był pewien, że ta niezdolna kobieta usiłuje nim manipulować, ponieważ jednak Tremayne wyraźnie się ożywił na wzmiankę o herbacie, zupełnie jakby liczył na to, że wypije do niej coś mocniejszego, Ross postanowił zadowolić ich oboje. Nie pojmował tylko, czemu Meg wybrała chiński salon, skoro był to najbardziej zagracony i najmniej wygodny pokój w całym domu. Pradziadek Rossa nabył okazjnie przepiękną chińską tapetę i przyozdobił nią jedno z pomieszczeń. Jego żona popsuła jednak cały efekt, gdyż wypełniła salon wszelkiego typu orientalnymi ozdobami, nie zważając ani na ich styl, ani na miejsce pochodzenia.

Ross otworzył drzwi i zamarł, jakby go zamurowało. Jasnozielone zasłony zostały odsunięte, dzięki czemu pokój tonął w świetle. Znikły statuetki z brązu, a wraz z nimi maleńkie stoliczki zastawione kompletnie niepasującą do siebie zbieraniną porcelanowych figurek i naczyń. Wyjątkowej urody tapeta z nadrukami ptaków, kwiatów i owadów sprawiła, że feeria barw zalała pomieszczenie. Jedynym bibelotem, który pozostał, był komplet mlecznozielonych miseczek z jadeitu. Nad kominkiem zawisł portret matki Rossa.

- Wielkie nieba - mruknął, wchodząc do środka. - Co pani zrobiła z tymi wszystkimi rupieciami?

- Kazałam je przenieść do dużej jadalni. Wolałam sprawdzić, czy nowy wystrój zyska aprobatę Waszej Lordowskiej Mości, i dopiero potem spakować zbędne wyposażenie. Portret wydaje się doskonale tu pasować - dodała z pewnym wahaniem. - Oczywiście możemy umieścić go z powrotem przy schodach, jeśli taka pańska wola.

- Niech zostanie tutaj - zdecydował Ross. - Pozostałe przedmioty proszę kazać wynieść na strych. Wystarczyłoby tam miejsca na zakwaterowanie pułku ułanów, a ja noszę się z zamiarem wydania w przyszłym tygodniu przyjęcia na pół setki gości.

Ponownie dostrzegła w jego oczach charakterystyczny błysk, ale nie była w stanie stwierdzić, czy Ross sobie podkpiwa, czy też mówi całkiem poważnie.

- Sugeruję, by Wasza Lordowska Mość przełożył przyjęcie na inny termin, do czasu podleczenia nogi. Prawienie komplementów damom, konwersowanie z właścicielami ziemskimi, w ogóle czynienie uprzejmości tak licznie zgromadzonym gościom jest wy-

czepujące - zauważyła z kamienną twarzą, ale Ross doskonale wiedział, że tylko się z nim przekomarza.

Z nieskrywaną przyjemnością patrzył, jak nalewa herbatę i przesuwając talerz ciasteczek idealnie na środek stołu. Uznał, że jest zdenerwowana, gdyż pragnie, by pracodawca czuł się komfortowo, i zrobiło mu się cieplej na sercu.

- Proszę zadzwonić, jeśli Wasza Lordowska Mość będzie potrzebował więcej gorącej wody. - Po tych słowach wyszła.

Ross zmarszczył brwi. Liczył na to, że Meg zostanie i wypije z nim herbatę, ale była teraz jego ochmistrzynią. Tylko ochmistrzynią.

- Czy przywykła już pani do nowego miejsca? - Perrott podniósł wzrok znad spodni, które szcztokował na stole, i obdarzył Meg szerokim uśmiechem.

- Po trzech dniach? - Zatrzymała się na progu, ściskając w dłoni listę zakupów. - Tak, przywykłam. I jest mi tu bardzo dobrze. - W istocie, nie mogłaby liczyć na lepsze warunki pracy. Jadała śniadania we własnym pokoju, potem obchodziła pomieszczenia, dokonując inspekcji pokojówek i zlecając im prace do wykonania. Następnie omawiała sprawy domowe z panią Harris oraz Heneage'em, i sporządzała listy. Życie ochmistrzyni zdawało się obracać wokół opracowywania rozmaitych list: sprawy do załatwienia, prace do wykonania, zakupy, naprawy, rzeczy do wyrzucenia. - A pan, panie Perrott?

- Byłoby prościej, gdyby milord był bardziej przewidywalny. - Skrzywił się lekko. - Poza tym nie zaszkodziłby mu choćby zdawkowy uśmiech od czasu do czasu, choć i tak sympatyczny z niego człowiek. Nie mogę tylko przekonać go, by poszedł do krawca, a przecież ktoś o takich gabarytach nie znajdzie gotowej odzieży. Musiałem wyciągnąć trochę ubrań po jego świętej pamięci ojcu.

- Wygląda na to, że mam prostsze zadanie przy wprowadzaniu zmian w domu - przyznała Meg.

Chłodne, oficjalnie urządzone wnętrza nie pasowały do Rossa i jego nowego życia. Dał jej *carte blanche* na przemeblowywanie pomieszczeń, a po jego pozytywnej reakcji na chiński salon postanowiła kontynuować prace dekoratorskie. Właśnie zajmowała się głównym holem, a po lunchu zamierzała skierować pokojówki do zajęć w następnym pokoju. Oczywiście musiała uważać na to, żeby nie tworzyć klimatu przesadnie kobiece-



go czy wręcz zniewieściałego. Dom Rossa powinien pasować wystrojem do bardzo męskiego arystokraty, co oczywiście nie oznaczało, że ma tu panować przygnębiająca atmosfera.

Przy pomocy dwóch lokajów Meg zdjęła nadgryzione przez mole zwierzęce łby, które straszyły ze ścian holu, i nakazała wypolerować na błysk kolekcję dawnej broni. Usunęła też część ponurych gobelinów uwieczniających co bardziej ponure sceny ze Starego Testamentu, a w ich miejsce zawiesiła żywiolowe, choć dość krwawe malarskie wizje polowań. Tu i ówdzie porozstawiała doniczki z paprociami oraz wazony pełne czerwonych róż. Nawet jeśli Ross cokolwiek zauważył, nie skomentował tego ani słowem. Jego postawa nie zniechęciła Meg, która była zdecydowana zabrać się do przerabiania gabinetu.

- Nie wie pani, czy milord zamierza wkrótce wydać przyjęcie? - Perrot strzepnęła spodnie i przewiesił je przez ramię.

- Nic mi o tym nie mówił. - Wzmiankę o zaproszeniu pięćdziesięciu gości postanowiła uznać za dowcip, zarazem jednak sądziła, że Ross poczułby się lepiej, gdyby wpadło do niego parę osób z sąsiedzką wizytą, choć z drugiej strony ceniła sobie ciche wieczory. Po kolacji w sali dla służby szła do biblioteki i przez godzinę czytała Rossowi „Podróże Guliwera”, przed snem piła herbatę w kuchni, a w łóżku zagłębiała się w lekturze, aby na moment uwolnić się od zmartwień oraz trosk.

Podczas przeglądania księgozbioru natrafiła na podniszczony egzemplarz „Nowego przewodnika ochmistrzyni w mieście i na wsi”, który ochoczo wertowała, zapoznając się z praktycznymi aspektami swojej pracy. Między innymi nauczyła się innymi usuwać plamy atramentu z drewna mahoniowego. Starła się zapamiętywać tego typu informacje, jako że nigdy nie wiadomo, kiedy okażą się przydatne.

Coraz częściej musiała sobie przypominać, że jest w tym domu tylko z jednego powodu: potrzebne jej były pieniądze na odnalezienie Belli i Liny. Ross obiecał skontaktować ją z prywatnym śledczym, więc starała się zachować cierpliwość. Na wszelki wypadek nie patrzyła już wieczorami przez okno, więc jeśli ukradkiem wymykał się, by kłusować we własnym lesie, to nic o tym nie wiedziała.

Rankiem piątego dnia po przyjeździe Meg dokonała ciekawego odkrycia. W ciemnej niszy długiego korytarza na pierwszym piętrze natrafiła na portret młodego mężczyzny, którego początkowo nie rozpoznała. Młodzieniec uśmiechał się wesoło, z jego ciemnych oczu biły radość i chęć do życia.

Czyżby był to Ross? Jak urzeczona wpatrywała się w obraz.

- Damaris, pomóż mi zdjąć to płótno i przenieść je do światła - poprosiła pokojówkę.

- Dość spojrzeć na ten uśmiech, żeby się humor poprawił, prawda, pani Halgate? - zauważyła służąca. Oparły obraz o ławę przy oknie i popatrzyły na niego w promieniach słońca. - Jak pani myśli, kto to taki? - Damaris oczyściła ramę pierzastą zmiotką do kurzu.

Meg nie miała wątpliwości, że widzi przed sobą Rossa. Musiał mieć wtedy około szesnastu lat. Gdzie się podziały jego radość i niespożyta energia? Czy wypadek brata nieodwracalnie zniszczył w nim to, co było w nim najlepsze?

- To Jego Lordowska Mość - odparła. - Damaris, musimy zabrać ten obraz na parter.

- Piekło i szatani!

Pokojówki już wcześniej zakończyły pracę w gabinecie i zajęły się swoimi zwykłymi obowiązkami, a Meg została sama. Postanowiła zawiesić na ścianie ostatnią z serii uroczych amatorskich akwareli, które wyszperała na strychu. Słyszając gromki okrzyk, drgnęła ze strachem i odwróciła się do Rossa. Czowała się niepewnie, gdyż weszła do jego prywatnych pokojów, choć wcale nie była pewna, czy i tutaj będzie skłonny akceptować wprowadzane przez nią zmiany.

Już na początku pracy otworzyła na oścież wysokie okna, więc Ross po prostu wmaszerował z tarasu i zamarł z rękami opartymi na biodrach i strzelbą na ramieniu.

Z okien znikły zasłony, żeby do pomieszczenia wpadało jak najwięcej światła. Meg pozdejnowała też ciemne kwasoryty, a na ich miejscu umieściła pogodne akwarele. Nad kominkiem stanął duży puchar z kwiatami, a na biurku pojawił się wazonik pełen zaszuszonych róż o barwie ciemnej czerwieni i fakturze zmiętego aksamitu.

Meg zakrećilo się w głowie, gdyż uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od jej przybycia do tego domu znaleźli się sam na sam. Ich wieczorne spotkania przy książce miały oficjalny charakter, przecież wszyscy o nich wiedzieli i odbywały się przy otwartych drzwiach.

- Nie wyglądasz już jak żołnierz - powiedziała bez zastanowienia.

- Nie? - Zmarszczył brwi.

- Kojarzysz mi się z posiadaczem ziemskim.

- To dobrze. Przecież usiłuję udawać kogoś takiego.

- Moim zdaniem wcale nie udajesz - oznajmiła otwarcie. - Odnajdujesz swoje korzenie. Wydarzenia z przeszłości, nawet te najbardziej przykre i bolesne, nie zmieniają faktu, że przeznaczenie związało cię z tym majątkiem.

- Hm... - Wykrzywił usta w niezbyt szczerym uśmiechu. - Zatem los skazał mnie na nieszczęśliwe życie? Dziękuję, Meg.

- Możesz być szczęśliwy, tylko musisz się na to odważyć. - Wzruszyła ramionami.

- Jeśli o mnie chodzi, przez większość czasu byłam szczęśliwa z Jamesem - dodała w zadumie. - W każdym razie zawsze można znaleźć jakiś powód do szczęścia. - Gdy tylko skończyła mówić, dotarło do niej, jak dużo zdradziła.

Zaskoczone spojrzenie Rossa zdawało się to potwierdzać. Bała się, że zacznie dopypywać o szczegóły, o których wolałaby nie wspominać, ale tylko odwrócił głowę i rozejrzał się po gabinecie.

Zauważył, że portret Gilesa nadal wisi na swoim miejscu.

- Szkoda, że nie było mnie tutaj, kiedy umierał - rzekł z westchnieniem. - Mógłbym się z nim pożegnać. Pewnie myślał, że go porzuciłem.

Meg nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała. Wstrzymała oddech, kiedy Ross skierował wzrok na miejsce, w którym wisiała wcześniej podobizna jego ojca.

- Co z nim zrobiłaś? - spytał z wahaniem.

- Jest tam, gdzie przedtem znajdował się twój portret. - Z satysfakcją umieściła wizerunek aroganckiego arystokraty w mrocznym zakątku korytarza. - Rzecz jasna, mogę przynieść ten obraz, jeśli masz... jeśli Wasza Lordowska Mość sobie tego życzy - poprawiła się.

- Przestań wreszcie zwracać się do mnie tak oficjalnie, Meg. - Wpatrywał się w swój portret z dawnych czasów. - Czy naprawdę byłem kiedyś taki młody?

- Może nadal jesteś... gdzieś pod tą skorupą - powiedziała cicho, stając u jego boku.

- Skąd u ciebie tyle optymizmu, Meg? - Głęboko spojrzął jej w oczy.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo działała na nią jego bliskość. Ross ledwie co zeskoczył z siodła, więc pachniał świeżym powietrzem, zielenią, koniem i skórą. Najchętniej wspięłaby się na palce i pocałowała go w skroń, tam, gdzie prześwitywały niebieskie żyły, a miękkie włosy przykrywały opaleniznę.

- Dzięki tobie to gmaszysko staje się prawdziwym domem - powiedział, kiedy napięcie stało się nieznośne także dla niego.

- Mam nadzieję, że wystrój nie staje się zbyt kobiecy, a nawet zniewieściały. - Słowa aprobaty sprawiły, że zrobiło się jej ciepło na sercu. Meg wiedziała, że powinna się odsunąć, ale nadal stała bez ruchu, myśląc o tym, że Ross jest taki spokojny i niewzruszony. James ciągle się wiercił, bezustannie musiał się poruszać, mówić, szukać czegoś nowego. Nigdy nie czuła się bezpieczna przy mężu, a pomimo obaw, które wiązała z Rossem, widziała w nim opokę, na której mogłaby zbudować przyszłość. - Musisz mi mówić, jeśli coś kłóci się z twoim gustem. Rzecz jasna, wkrótce pomieszczenia wypełnią się twoimi przedmiotami, co doda wnętrzem charakteru.

- Meg, tak naprawdę to właściwie nie mam żadnych bibelotów, ulubionej szkatułki, ukochanego pejzażu - powiedział w zadumie. - Sama wiesz, jak to jest z żołnierzami. Wszystko, co mamy, nosimy przy sobie.

- Rozumiem. - Popatrzyła na biurko, na którym leżały stosy ksiąg rachunkowych oraz dokumentów, i pomyślała, że w tym gabinecie brakuje radości. - Na pewno jednak coś znajdziesz. Przyniesiesz muszlę z plaży, postawisz na biurku ulubioną figurkę, na stoliku położysz tomik poezji, który lubisz przeglądać, kiedy jest ci ciężko na sercu.

- A czy ty masz swoje rzeczy? - spytał, przysuwając się bliżej.

- Wszystko straciłam w Tuluzie. - Jej oczy zaszkliły się od łez, więc pośpiesznie zamruwała. Ross westchnął, na co Meg pokręciła głową, jakby nie chciała, żeby się nad

nią litował. - Nic wartościowego... Igielnik Belli, drewniana laleczka Liny, zasuszony liść wierzby, która rośnie po drugiej stronie alejki przy naszym domu. Wiersze mojej mamy.

- Żadnej pamiątki po Jamesie? - spytał zdumiony. - Nie nosisz nawet obrączki.

- Zastawiłam ją. - Zrobiła to bez większego żalu. Niby dlaczego miałyby opłakiwać symbol małżeństwa, którego nie było? Musiała przestać o tym myśleć, ten temat wciąż uważała za zbyt osobisty i bolesny. - Znowu objeżdżałeś gospodarstwo?

- Tak. - Oparł strzelbę o ścianę przy oknie i wrócił do Meg. Najwyraźniej nie zraziła go jej niechęć do wyznań. - W dzieciństwie uważałem, że wieś to tylko strumienie, urwiska, kotlinki i drzewa do wspinaczki. Teraz widzę wszędzie wokół tylko problemy, które wymagają natychmiastowych decyzji. Które pole ma leżeć ugięte, żeby pasać na nim bydło? Czy wyremontować stodołę? Czego brakuje krowom? Co zrobić z pustymi domami dzierżawców, które zaczynają się rozpadać?

- Jak to? Trzeba je naprawić albo postawić nowe.

- Sama widzisz. Niełatwo jest podjąć właściwą decyzję.

Po raz pierwszy jego uśmiech wydał się Meg całkiem szczery.

- A jak tam twoja noga? - spytała. - Nie przesadzasz z jazdą konną? Co powiedział lekarz?

Doktor Greenaway przyjechał poprzedniego dnia, zbadał Rossa w gabinecie i szybko odjechał. Ross nie poinformował Meg o wynikach badania.

- Oceniał, że rana goi się należycie i podkreślił, że trafiłem w ręce dobrego chirurga. Zmienił opatrunek - dodał Ross na widok pytania w oczach Meg. - Powiedziałem, że nie trzeba mi upuszczać krwi. Zbyt wiele jej zostało we Francji i przynajmniej na razie resztę wolę zachować dla siebie.

- A co z jazdą konną? - spytała z niepokojem. - Śmiem podejrzewać, że wcale go o to nie spytałeś.

- Źle podejrzewasz. Zapytałem go, a on orzekł, że mogę jeździć, lecz z umiarem. Sam muszę zdecydować, czy mi to nie szkodzi. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Czyżbyś prychnęła, Meg?

- Damy nie prycają - oświadczyła wyniośle.

- Och, Meg... - Znajdowała się tak blisko niego, wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę. - Co prawda złożyłem obietnicę, ale powinnaś wiedzieć, że...

- Hm... - Heneage odchrząknął znacząco.

Meg w ostatniej chwili zapanowała nad sobą i nie odsunęła się gwałtownie od Rossa, unikając wzbudzającego podejrzenie zachowania. A może jednak i tak wzbudzili podejrzenie? Jak to się stało, że kamerdyner wszedł niepostrzeżenie? Czyżby nie zapukał? Chyba gdzieś czytała, że wyższa służba w dużych domach nie miała zwyczaju pukać. Postanowiła to sprawdzić w swoim podręczniku.

- Lady Pennare, panna Pennare i panna Elizabeth Pennare przyszły z wizytą. Nie wiedząc, czy milord przyjmuje dziś gości, pozwoliłem sobie wprowadzić damy do chińskiego salonu.

- Powiedz im, że wyszedłem - mruknął Ross.

- Śmiem zauważyć, milordzie, że to niewiele pomoże - zainterweniowała Meg. - Z tego, co wiem o angielskich obyczajach, wkrótce wszyscy sąsiedzi Waszej Lordowskiej Mości przyjdą w odwiedziny i będą się zjawiać aż do skutku. Czy nie lepiej załatwić tę sprawę od ręki? - Buńczucznie uniosła brodę, gdy Ross rzucił jej złowrogie spojrzenie. Któreś z nich musiało zachowywać się trzeźwo i roztropnie, ale żałowała, że ta rola znowu przypada jej w udziale. - Zaproponuję gościom przekąskę, a Wasza Lordowska Mość się przebierze.

- Niby czemu miałbym się przebierać, do czorta? - spytał ponuro. - Same się wprosiły, to niech nie mają pretensji.

- Zjawiły się o zwyczajowej porze składania wizyt towarzyskich, a Wasza Lordowska Mość załatuje stajnię - prosto z mostu odparła Meg.

Kamerdyner zrobił wielkie oczy. Najwyraźniej nikt nie śmiał odzywać się w ten sposób do nieżyjącego pana domu.

- Pani Halgate, jak zwykle przemawia przez panią zdrowy rozsądek... i to przemawia bezdyskusyjnie - zgryźliwie oświadczył Ross.

- Staram się myśleć realistycznie, milordzie. Mam nadzieję, że wiem, co jest stosowne, a co nie - zakończyła dyskurs.

## Rozdział dziesiąty

- Dzień dobry, milady. Panno Pennare, panno Elizabeth - oznajmiła Meg. - Nazywam się Halgate i jestem ochmistrzynią. Lord Brandon wkrótce do pań dołączy. Czy mogę zaproponować paniom herbatę? - Przystanęła dyskretnie na progu i spokojnie wytrzymała uważne spojrzenie trzech par intensywnie błękitnych oczu. Panie Pennare były niewątpliwie atrakcyjne, wszystkie miały gęste, jasne loki, bladą cerę i gustowne stroje. Meg czuła się przy nich jak prosta dziewczyna z gminu, opalona na brązowo, z twarzą obsypaną piegami. Na szczęście zaopatrzyła się w przyzwoitej jakości suknię i perfekcyjnie wykrochmalony czepek.

- Chętnie, pani Halgate, dziękujemy. - Lady Pennare wyniosłe skinęła głową. - A gdzie się podziewa pani Fogarty?

- Przeszła na emeryturę, madame. O ile wiem, przeprowadziła się do Truro.

- Rozumiem.

- Zatem przyniosę herbatę.

Gdy szła przez hol, zobaczyła na schodach Rossa, który właśnie zmierzał do salonu na parterze. Wyglądał całkiem elegancko w niebieskim fraku i kremowych obcisłych spodniach oraz butach z wysokimi cholewami. Gdy dotarł do najniższych stopni, zauważyła, że strój nie był szyty na miarę.

- I cóż? - Uniósł ironicznie brwi, świadom jej badawczego spojrzenia.

- Marynarka jest niedopasowana. - Meg pomyślała, że za to spodnie są odpowiednio obcisłe. Może nawet za bardzo...

- Młody Perrott dał z siebie wszystko. Jest szczególnie dumny z własnoręcznie wypolerowanych butów, nalega jednak, bym jak najszybciej odwiedził krawca w Truro.

- Mądry pomysł. Proszę wybaczyć, milordzie, ale muszę iść po herbatę.

- Jakie one są? - Ross spojrzał wymownie na drzwi do chińskiego salonu, jakby się spodziewał, że czai się za nimi oddział francuskiej artylerii, a nie trzy powabne damy.

- Bardzo ładne - odparła sztywno Meg i ruszyła do kuchni.

Kiedy Meg powróciła w towarzystwie lokaja objuczonego tacą z herbatą i ciastkami, Ross czuł się wyczerpany jak po zajadłej bitwie. Lady Pennare, elegancka matrona

tuż po czterdziestce, niewątpliwie oczekiwała od niego podziwu dla obu córek. Musiał przyznać, że dziewczęta przynosiły chlubę matce, gdyż były ładne, pięknie ubrane i dobrze wychowane. Niestety, w żadnej nie dostrzegał ani krztyny osobowości.

Panna Pennare liczyła sobie zaledwie osiemnaście lat, a panna Elizabeth była o rok młodsza. Jak wyjaśniła ich matka, nie wybrały się w tym roku na londyński sezon wyłącznie ze względu na niepewny stan zdrowia babki ze strony ojca.

- Naturalnie w przyszłym roku pojedą zadebiutować w stolicy, chyba że wcześniej wstąpią w związki małżeńskie - dodała.

Ross pomyślał cynicznie, że pani Pennare spodziewa się rychłego zejścia teściowej, a póki co przysłała obejrzeć jego dom. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że matrona wycenia w myślach nie tylko całą posiadłość, ale i każdy przedmiot.

- Czy Wasza Lordowska Mość nosi się z zamiarem wydania przyjęcia? - zainteresowała się starsza z pańien.

- Nie, nic takiego nie planuję - odparł, kiedy Meg zabrała się do rozdawania filiżanek. I przemknęło mu przez głowę, że jego ochmistrzyni jako jedyna z obecnych tu kobiet nie ukrywa swojej prawdziwej natury.

- Och. - Panna Elizabeth wydeła usta. - Słyszałyśmy, że tutaj jest duża sala balowa. Wielka szkoda, by stała nieużywana. Może nawet jest odpowiednia nie tylko na zwykłe przyjęcie, ale i na prawdziwy bal. - Jej rozmarzone, niebieskie oczy wyraźnie się rozszerzyły, kiedy spojrzała na Rossa.

Za moment załopocze rzęsami, pomyślał, i tak się właśnie stało. W pośpiechu umknął wzrokiem.

- Nie tańczę, panno Elizabeth. - Skłamał, gdyż tańczył doskonale, jak zresztą większość oficerów. Uczestniczył w wielu przyjęciach, a także w wielkich balach, gdyż Wellington propagował życie towarzyskie w swojej armii na Półwyspie Iberyjskim.

- No tak, z powodu rany. - Spojrzała na niego z podziwem, jakby szeptała: „Mój ty bohaterze...”.

Ross wreszcie uświadomił sobie, że dotąd w ogóle nie brał pod uwagę istotnego niebezpieczeństwa. Panie Pennare nie przybyły do niego z wizytą towarzyską, lecz na



łowy. Był utytułowanym i zamożnym kawalerem, stanowił więc atrakcyjny obiekt zainteresowania każdej mamy z córkami na wydaniu i wszystkich wolnych panien w okolicy.

- Nigdy nie tańczę - podkreślił lodowatym, odpychającym tonem.

Uśmiech panny Elizabeth zmienił się w grymas. Hałaśliwie odstawiła filiżankę na spodek. Było oczywiste, że w myślach podsumowała barona Brandona. Nie był przystojnym i uroczym młodzieńcem, którego się spodziewała.

- Zatem na nas, damach, ciąży obowiązek wprowadzenia Waszej Lordowskiej Mości do naszych kręgów towarzyskich - oznajmiła lady Pennare. - Dżentelmen do wzięcia musi oczekiwać zaproszeń na wszystkie imprezy, rzecz jasna - dodała żartobliwie.

Pół godziny później damy się pożegnały i wyszły, wypiwszy po jednej filiżance herbaty i zjadłszy po jednym ciasteczku wielkości dropa.

- Piekło i szatani! - wybuchł Ross, kiedy powóz ruszył przez park w kierunku bramy. - To załedwie początek lawiny! Może i naiwny ze mnie żołnierz, ale, na Boga, nie jestem przygotowany na najazd matek z córkami do wyswatania! - Zaraz jednak uderzyła go pewna, zresztą dość oczywista myśl. Jako baron powinien mieć żonę i spłodzić legalnego potomka, dziedzica. Lecz dotąd jakoś nie zastanawiał się nad tym. Musiał jednak sprostać temu obowiązkowi.

- Należało się tego spodziewać, Wasza Lordowska Mość. - Meg wróciła, aby sprawdzić, czy pokojówki posprzątały po gościach. Teraz stała i widać było, że bawi ją irytacja Rossa. - Każdy kawaler do wzięcia potrzebuje żony.

Gdy Ross zatrzaskał drzwi tak gwałtownie, że jadeitowe ozdoby zadrżały na półkach, Meg przestała się uśmiechać.

- Powinnaś wiedzieć, że potrzebuję ciebie. W swoim łóżku - wycodził. - Z pewnością to widzisz.

Sama jej bliskość sprawiała, że był boleśnie pobudzony, a wizyta nieszczerych i zmanierowanych dam tylko go utwierdziła w przekonaniu, że Meg jest wyjątkowo wartościową kobietą.

- Dałeś mi słowo... - wykrztusiła, oddychając ciężko.

- Obiecałem, że cię nie tknę, ale nie mówiłem, że nie będę cię przekonywał. - Podszedł do okna i niechcący uderzył zabandażowaną nogą w kant stolika.

Jęknął z bólu i chwycił się długiej zasłony, żeby nie upaść. Rana goiła się należycie i każdego dnia coraz mniej cierpiał, lecz uderzenie o mahoniowy mebel było wyjątkowo nieprzyjemne. Ross zaklął szpetnie, kiedy dopadła go fala mdłości.

Meg podbiegła i uklękła przed nim, ostrożnie kładąc dłonie na jego udzie.

- Och, nie! Czyżby rana się otworzyła? - spytała niespokojnie, a Ross nagle zapomniał o bólu. - Nie widzę krwi.

- Meg... - Westchnął, wyobraziwszy sobie, jak mogłaby się rozwinąć ta sytuacja. - Jeśli nie chcesz, żebym cię dotykał, to musisz zabrać dłonie z mojej nogi. I to natychmiast.

Usiadła na piętach, popatrzyła na niego, a gdy zrozumiała, co miał na myśli, poczerwieniała jak burak.

- Och! - Szybko wstała i wycofała się za kanapę. - Jeśli tak bardzo potrzebujesz kobiety, powinieneś wybrać się do Truro. Jestem pewna, że nie brak tam przybytków, w których dżentelmeni skutecznie zaspokajają wszelkie potrzeby.

- Meg, niepotrzebna mi ładaczka. Pragnę ciebie - szepnął łagodnie. - Chcę, byś została moją kochanką.

- Nie. - Zacisnęła palec na oparciu mebla tak mocno, że kostki pobieleły jak kreda. - Nie możesz mnie mieć. Kiedyś oddałam cnotę, gdyż byłam zakochana, potem poświęciłam reputację w zamian za ochronę. Nie zamierzam jednak zrezygnować z wolności dla pieniędzy.

- Przynajmniej na razie nie zaproponowałem ci ani pensa - burknął Ross, zaraz jednak pomyślał, że dżentelmen nie powinien w taki sposób negocjować z ewentualną utrzymanką. Należało zawczasu zastanowić się nad ofertą, wyłożyć ją ze szczegółami i ustalić zabezpieczenie po zakończeniu romansu. Bez wątplenia tak właśnie powinno to przebiegać.

Kobiety w jego życiu pojawiały się i znikwały obdarowane monetą, ładnym szalem czy błyskotką, bywało też, że prowiantem. Meg była damą, więc nie mógł jej wcisnąć pieniędzy do ręki jak byle markietance. Co zatem powinien uczynić?

- Powiedz mi, czego byś chciała - spytał jak najspokojniej. - Na pewno zależy ci na domu. Penryn to urocze miasteczko, spodoba ci się. Będziesz miała własną służbę, do tego powóz, pieniądze na stroje. Założę ci konto bankowe...

Jej oczy zdawały się płonąć żywym ogniem. Była zbyt wściekła, by odpowiedzieć.

Dotąd Ross jakoś radził sobie z kobietami, teraz jednak osiadł na mieliźnie i nie miał pojęcia, jak się z tym uporać.

- Meg, trzymałem cię w ramionach, całowałaś mnie - brnął rozpaczliwie. - Nie mów, że nie pragnęłaś mnie. Cóż takiego się zmieniło? Proponuję ci bezpieczeństwo, wygodę... Czy naprawdę jestem aż tak odrażający, że mnie nie chcesz?

- Bezczelny arogancie - syknęła. - Pocałowałam cię, tak, ale to nie oznacza, że chcę być twoją utrzymanką, twoją... igraszką! Myślisz, że można mnie zamknąć w domu jak klejnot w puzderku, a potem wyjmować i chować w zależności od upodobania? Uczciwie zarabiam na życie, otrzymuję pieniądze w zamian za pracę i lojalność, a ty... Ty chcesz zaspokoić chuć. Nie obchodzi cię, czego ja pragnę.

- Więc czego pragniesz? - spytał całkiem zdezorientowany.

Meg ostrożnie wyszła zza kanapy.

- Czy mężczyźni nie wiedzą, że łóżkowe igraszki nie są dla kobiet najważniejsze? - Westchnęła. - Nawet jeśli czerpią z tego ogromną przyjemność. Chodzi także o inne sprawy, takie jak przyjaźń, wzajemne zrozumienie i zaufanie, gotowość do wyrzeczeń...

- O miłość? - dokończył za nią z drwiną w głosie. - Romantyczka z ciebie. - Gdy zarumieniła się, jakby ją obraził, dodał: - Jeśli tego chcesz, Meg, to przykro mi, ale nie mogę spełnić twoich oczekiwań.

- Nigdy nie wspomniałam o miłości - powiedziała ostro. - Myślisz, że będę obsta-  
wała przy swoim, aż wreszcie skłamiesz i złożysz jakieś deklaracje? Nie zamierzam cię  
zmuszać do kłamstw, nakłaniać do miłosnych wyznań. Naprawdę sądzisz, że jestem aż  
tak głupia i pusta? Jeśli zatrudniłeś mnie tylko po to, bym grzała twoje łóżko, to lepiej od  
razu zabierz swoje pieniądze, a ja odejdę. - Meg przemawiała wyniośle jak księżna. -  
Niestety trochę już wydałam na ubrania, ale zostawię ją tobie, rzecz jasna. Kupiłam dwie  
suknie, pelisę, czepek i bieliznę, ale nie zależy mi na tych drobiazgach. - Chwiejnym  
krokiem podeszła do drzwi.

- I cóż niby miałbym zrobić ze stertą damskiej bielizny? - zdumiał się Ross.

Patrzyli na siebie, sypiąc z oczu skry, aż wreszcie kąciki ust Meg lekko drgnęły.

- Wolałabym nie zastanawiać się nad tym - oświadczyła i wymaszerowała z pokoju.

Przeklęta kobieta! Może i jej nie kochał, ale ogromnie pożądał, a to pragnienie coraz bardziej przypominało obsesję.

- Wasza Lordowska Mość? - W drzwiach stanął Heneage, minę miał niepewną.

- Tak?

- Przyszedł Tregarne i chciałby porozmawiać z Waszą Lordowską Mością, o ile nie przeszkadza.

- Niech wejdzie. Przyjmę go w gabinecie.

Czego chciał łowczy? Ross zamierzał odwiedzić go jutro lub pojutrze.

- Milordzie? - rozległo się od progu.

Człowiek, który uczył go, jak ładować i czyścić broń, a potem strzelać bezpiecznie oraz celnie, na pierwszy rzut oka wyglądał jak dawniej, kiedy jednak stanął w pełnym świetle, stało się oczywiste, że ma już po sześćdziesiątce.

- Tregarne! Jak widzisz, dzięki twoim naukom wróciłem do domu. - Ross nie dodał, że przedtem musiał położyć trupem mnóstwo wrogów. Wskazał ręką fotel przy kominku, naprzeciwko siebie. - Jakże się miewasz? Co u pani Tregarne i chłopców?

- Wszystko dobrze, milordzie... - Na ogorzalej twarzy myśliwego pojawił się rzadko widywany uśmiech. - James wstąpił do marynarki, a Davy to teraz młodszy łowczy. Ludzie powiadają, że Waszą Lordowska Mość w nogę postrzelili. Niedobrze.

- Czuję się już znacznie lepiej, a rana szybko się goi. Wybierałem się do ciebie jutro, mając nadzieję, że wspólnie ustrzelimy kilka gołębi i królików na stół.

- Jak za dawnych czasów, milordzie, że tak powiem. - Łowczy uśmiechnął się od ucha do ucha. - Pan baron zmężniał, ale dobrze pamiętam tego patykowatego młodzieniaszka. - Zawahał się. - Właściwie to ze sprawą przychodzę. Milord pamięta tego starego łotra, Billy'ego Gillana? Ciągle jeszcze żyje, wprost nie do zdarcia, że tak powiem, jak buty ćwiekami kute. Cały czas łowi nasze bażanty, a ludzie powiadają, że i szmuglem się zajmuje, diabelskie nasienie, więc pułapkę zastawić na niego chciałem. Bał

się blisko podejść, niecnota, jak świętej pamięci ojciec milorda jeszcze żył, a teraz pewnie sprawdza, na ile może sobie pozwolić przy młodym baronie, to i czujność straci. Na gorącym uczynku przyłapać go możemy i zaciągnąć przed oblicze Waszej Lordowskiej...

- Nie składałem przysięgi sędziowskiej, Tregarne - przerwał mu Ross.

- No tak, pewnie... - Łowczemu zrzęda mina. - Ale niedługo pan baron będzie już sędziował, ma się rozumieć? W każdym razie czekać nie musimy, bo sir John Vernon może łotra za kratki posadzić, rach-ciach i po kłopotcie.

Nie ulegało wątpliwości, że więzienie zabiłoby Billy'ego. I tak zakrawało na cud, że jeszcze nie został pojmany. Ross nie chciał narażać się Tregarne'owi, a zarazem zamierzał uchronić przebiegłego kłusownika przed represjami. Zupełnie nie wiedział, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji.

Oczywiście mógł nakazać Tregarne'owi, by ignorował poczynania Billy'ego, ale w ten sposób otwarcie wyraziłby aprobatę dla przemytu, a na dodatek podkopał autorytet głównego łowczego w oczach jego podwładnych.

- Dajmy mu spokój na kilka dni - zdecydował po namyśle, żeby zyskać na czasie. - Sprawdzę, co się da zrobić w sprawie mojej przysięgi sędziowskiej. Nie chcę przerzucać na sir Johna moich problemów.

- Rozumiem, milordzie. - Tregarne pokiwał głową. - Więc pan baron przyjdzie jutro, tak? Jest takie poletko młodych buraków, co to im przekłete gołębie boćwinę podziobały, a ja chciałbym się utuczyć ptasim pasztetem.

Ross uświadomił sobie, że ta pogawędka go uspokoiła. Co prawda musiał zająć się sprawą Billy'ego, był jednak pewien, że coś wymyśli.

W drodze do biblioteki spotkał Meg, która właśnie wychodziła zza drzwi prowadzących do tylnej klatki schodowej.

- Pani Halgate? - Korciło go, żeby uśmiechnąć się na jej widok, choć nie miał pojęcia dlaczego.

- Wasza Lordowska Mość. - Zabrzmiało to ostrożnie, a nawet nieufnie.

- Doszedłem do wniosku, że nie potrzebuję dwóch sukni, pelisy oraz zapasu damskiej bielizny. Proponuję, by pani zatrzymała to wszystko. - Meg otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła. Nie spuszczała wzroku z Rossa, który

mówił dalej: - Jak rozumiem, przynajmniej na razie nigdzie się pani nie wybiera, prawda? - Uśmiechnął się, odwrócił i pobiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. - Au! - jęknął na zakręcie, kiedy Meg znikła mu z pola widzenia.

Poczuł przeszywający ból w ranie. Kuśtykając, przebył jeszcze kilka stopni i usiadł u podnóża następnego półpiętra, żeby wyciągnąć nogę. Zachował się głupio i nierozważnie, ale nagle ogarnął go taki entuzjazm, jakby znowu miał dwanaście lat. Co za absurd. Przecież niezliczone problemy związane z posiadłością nie znikły. W tej chwili najważniejsza wydawała się sprawa Billy'ego, który notorycznie łamał prawo, a teraz jeszcze zajął się przemytem. Kłopotliwe były także jasnowłose damy, które zagięły na niego parol, oraz sama Meg.

Jak mógł popełnić aż tak poważny błąd, że zaprzagnęła go opuścić? Przecież jej pragnął i musiał ją mieć. Tylko czego ona chciała? Jakie były jej oczekiwania?

Oparł się plecami o schody i zamknął oczy, żeby pomyśleć o tym, co mu się w niej najbardziej podoba.

Miała błękitnoszare oczy o długich, ciemnych rzęsach. W jednym kąciку ust zauważył mały dołeczek, kiedy się uśmiechała, a nad prawym okiem dostrzegł ledwie widoczny pieprzyk. Cenił ją za niezłomność i upór, a także złośliwe poczucie humoru i troskliwość.

- Milordzie?

Ross otworzył oczy i ujrzał Damaris, rudowłosą pokojówkę Meg, która wpatrywała się w niego z uwagą.

- Milord dobrze się czuje? Pomyślałam, że pan baron upadł, ale potem zauważyłam, że się uśmiecha. Mogę przejść do tylnych schodów, ale...

- Nie, wszystko w porządku, Damaris. - Ross wstał i odsunął się, żeby przepuścić służącą. - Pograżyłem się w rozmyślaniach. - I w marzeniach.

## Rozdział jedenasty

- Pani Halgate?

Meg zamrugała. Dotarło do niej, że głupio rozradowana zamarła pośrodku holu. Ross obdarzył ją uśmiechem, a w dodatku zażartował! Teraz jednak stała przed nią mocno zaniepokojona Damaris. Ale co się dziwić, skoro ochmistrzyni sprawiała wrażenie, jakby odjęło jej rozum.

- Tak, Damaris? Co się stało?

- Chodzi o milorda - konspiracyjnie szepnęła pokojówka, zerkając przez ramię. - Znalazłam go na schodach. Siedział przy półpietrze, miał zamknięte oczy i uśmiechał się. Jak spytałam, czy z nim wszystko dobrze, powiedział, że myśli. Dziwne miejsce na myślenie, prawda? Dżentelmeni mają od tego gabinety, prawda?

- Wygląda na to, że przemyślenia mogą dopaść dżentelmenów w najdziwniejszych miejscach. - Meg wzruszyła ramionami. - Nam, kobietom, jest gorzej. Przede wszystkim musimy pracować, a myśleć możemy w wolnych chwilach, o ile w ogóle je mamy. Chodź, Damaris, z pewnością czeka nas mnóstwo roboty. - Tyle tylko, że ani w ząb nie pamiętała, co takiego powinny zrobić.

- Ale zrobiłyśmy już wszystko z dzisiejszej listy. Sama to pani mówiła. - Damaris popatrzyła na nią dziwnie.

Chyba że chciałaby pani zabrać się do porządkowania szafy z pościelą?

W „Przewodniku ochmistrzyni” mocno zaakcentowano, jak wielkie znaczenie ma utrzymywanie pościeli w nienagannym stanie, co wiązało się z regularnym uaktualnianiem rejestru zasobów szafy zarówno jeśli chodzi o ilość, jak i stan. Natomiast lista pościeli sporządzona przez panią Fogarty liczyła już sobie prawie rok.

- Nie, zajmiemy się tym jutro - postanowiła Meg, gdyż wolała najpierw przeczytać odpowiedni fragment „Przewodnika”. Porządkowanie pościeli wydawało się dość proste, chciała się jednak upewnić, że nie umknęła jej jakaś istotna wskazówka. - Idę na spacer, Damaris, a ty możesz sobie zrobić wolne na resztę popołudnia.

Uradowana pokojówka dygnęła, a Meg poszła do siebie po szal i buty, i już po chwili ruszyła ścieżką wiodącą ku morzu. Dlaczego Ross się uśmiechał? Wizyta lady

Pennare z córkami nie ucieszyła go, mówiąc delikatnie, więc powód musiał być inny. Potem pokłócili się o to, czy powinna zostać jego utrzymanką. Cóż, panowie nie lubili odmowy, zwłaszcza w sprawach męsko-damskich. Jamesowi zawsze się irtował i chodził obrażony, kiedy zachowywała wstrzemięźliwość.

Dróżką dotarła do starej bramy, jakby stworzonej do tego, żeby się o nią oprzeć i pograć w rozmyślaniach. Dlaczego odmawiała Rossowi, skoro sama... Och, tak bardzo go pragnęła, w jego ramionach na pewno czułaby się cudownie. Był wielki i srogi, lecz zarazem miał w sobie poruszającą delikatność. Poza tym doskonale wiedziałby, co robić. Na myśl o tym Meg uśmiechnęła się do siebie.

Tyle tylko, że ich związek tak naprawdę byłby transakcją finansową. Zwiesiła głowę ze smutkiem. Transakcja finansowa... A przecież Ross tak wiele dla niej znaczył, przy Jamesie nigdy nie czuła się jak przy nim.

Ruszyła w dalszą drogę, aż dotarła do alejki wijącej się wśród wysokich traw i polnych kwiatów. Zauroczona przystawała co jakiś czas, by powąchać i przyjrzeć się najpiękniejszym okazom roślinności. Z czereśni zerwała ukwieconą gałązkę i wetknęła we włosy.

Ścieżka kończyła się na plaży po obu stronach zamkniętej urwistymi klifami. Morskie fale łagodnie wygładzały piasek, a do zatoczki w kształcie półksiężyca wpływał mały strumyk, z pewnością ten sam, który przebiegał nieopodal domu Billy'ego.

Wokół nie było żywej duszy, więc Meg uległa pokusie. Zrzuciła buty, ściągnęła pończochy i weszła na spienioną płyciznę. Woda była lodowata. Pod bosymi stopami wyczuwała chropowate ziarna piasku. W dzieciństwie uwielbiała pływać w młyńskim stawie, rozkoszując się palącymi promieniami słońca i cudownie orzeźwiająca wodą. Zdumiała się, gdy policzyła, ile lat minęło od tamtych chwil.

Zadarła suknię aż do kolan i pognęła wzdłuż brzegu, jak najmocniej rozchlapując wodę. Bella i Lina uwielbiały tę zabawę! Meg wspominała, jak z siostrami ścigały się po piasku, zanosząc się od śmiechu. Odnajdę was, przysięgła sobie po raz setny czy tysięczny. Już niedługo znów będziemy razem.

Zadyszana wspięła się na skałę i usiadła, żeby osuszyć nogi i otrzepać z piasku. I nagle usłyszała tuż przy uchu:



- Pani to pewnie ta nowa ochmistrzyni na dworze, co?

Od razu rozpoznała starego przyjaciela Rossa. Najwyraźniej potrafił skradać się jak duch, umiejętność bardzo przydatna dla kłusownika. Jak długo ją obserwował? Czy powinna pokazywać się komukolwiek ukwiecona gałązką czereśni, na bosaka, z gołą głową?

- Tak, nazywam się Halgate. Nigdy dotąd nie byłam nad morzem - dodała, by wytłumaczyć swój ekscentryczny postępek. - Jest piękne.

Wpatrywał się w nią bursztynowymi oczami, które wyglądały zaskakująco młodzieńczo na pomarszczonej twarzy. Meg wiedziała, że powinna wstać i odejść, ale ten człowiek dziwnie ją zafascynował.

- A pani to taka ładna, jak mi mówił - stwierdził prosto z mostu.

- Kto? Ross? Chciałam powiedzieć, lord Brandon?

- Aha. - Usiadł naprzeciwko Meg. - Pani dobrze dba o tego chłopaka? - U jego stóp zwiął się czarno-biały długowłosy pies o ogonie jak pióropusz.

- O chłopaka? - Uśmiechnęła się. - On już od dawna nie jest chłopcem. A pan to Billy, zgadza się? Przepraszam, ale nie znam nazwiska. - Wiedziała, że był starym, niepoprawnym obwiesiem, ale Ross traktował go niemal jak dziadka.

- Starczy, że będzie mnie pani mówiła do mnie Billy. Więc on mówi o mnie?

- Lord Brandon bardzo ciepło wspominał o tobie. Mówił, że nauczyłeś go strzelać i jak należy traktować dziewczęta.

Billy zaniósł się śmiechem tak głośnym, że pies podniósł głowę.

- Co by nie mówić, strzelec z niego zawołany. Może i o dziewczynach zapamiętał, co mu radziłem.

Meg coraz lepiej go rozumiała, przywykała do kornwalijskiego akcentu.

- Wolę tego nie sprawdzać - mruknęła.

- Aha.

- Jestem jego ochmistrzynią - wyjaśniła spłoszona. - Lord Brandon...

- A niechże go pani tak nie zowie, bo to przecież jakby mówić o jego ojcu, niech mu ziemia letką będzie. Ross to nie swój ojciec.

- Owszem, ale przejął tytuł po starym baronie i musi zarządzać posiadłością - zaproponowała Meg. - No i powinien zapaść tu korzenie, ożenić się, mieć dzieci... po prostu odnaleźć szczęście.

- To idź za niego, dziewczyno - doradził rubasznie.

Irytujący jegomość, pomyślała Meg ponuro. Stracił prawie wszystkie zęby, a te, które mu pozostały, były brązowe od tytoniu. I pewnie nie mył się co najmniej od roku. Gdyby nie morska bryza, nie wytrzymałaby jego smrodu. Mogłaby go zrugać, jednak Ross go uwielbiał, i to z wzajemnością, więc nie zamierzała zrobić Billy'emu przykrości.

- To niemożliwe - powiedziała więc tylko. - On jest baronem, a ja... - Dziwne, ale była na skraju nadzwyczaj szczerego wyznania. Mianowicie chciała powiedzieć, że nie ma szans na związek z żadnym przyzwoitym mężczyzną, gdyż je przekreśliła swoim postępowaniem. Jednak w porę ugryzła się w język.

- Podobnież wdowa z ciebie, i to oficerska. Mówi, żeś dama. Tak, tak, szacowna dama.

- Niewystarczająco szacowna. - Znów to samo! Meg pomyślała, że powinna się spalić ze wstydu. Pogawędka ze starcem kojarzyła się jej jednak ze zwierzeniami czynionymi dzikiemu zwierzęciu albo wiekowemu drzewu. Nie miała poczucia, że spowiada się innej osobie.

- Dudek z chłopaka - orzekł Billy. - Zrobię z nim porządek i z miejsca ruszy do ciebie w konkury.

- Nie!

Pies usiadł i zaszczekał, a stary Billy niespiesznie zamrugał jak pogrążona w zadumie jaszczurka.

- No więc jak to, dziewczyno, chcesz go czy nie?

- No więc... Na pewno nie.

- Hm! Myślałby kto, że to z Rossa taka safandula. Miłego dnia, dziewczyno.

- Do widzenia... - wykrztusiła Meg.

Billy sięgnął po kij i odszedł plażą w kierunku lasu. Głośno gwizdnął, a pies zerwał się z miejsca, polizał gorącym językiem bosc stopy Meg i odbiegł. Kiedy się odwróciła, kłusownik i jego zwierzę równie tajemniczo, jak się pojawili, znikli w lesie.

Otarła piasek z nóg, wciągnęła pończochy, zasznurowała buty i ruszyła w kierunku ścieżki. Nie wiedziała, czy powinna być rozbawiona, czy zaniepokojona tym dziwnym spotkaniem. Czy Billy zbeszta Rossa i każe mu się z nią żenić? A jeśli Ross dojdzie do wniosku, że to ona napuściła na niego starego obwiesia?

Myśl o ślubie z Rossem nigdy nie przyszła jej do głowy. Już raz stanęła przed ołtarzem, gdyż sądziła, że jest zakochana, ale małżeństwo okazało się wielkim rozczarowaniem. Teraz była starsza i mądrzejsza. Wiedziała, że żaden mężczyzna nie jest stuprocentowym bohaterem i nieskazitelnym świętym, nawet jeśli ma przystojne oblicze i promienny uśmiech. Nagle tknął ją dziwny paradoks. Rossa w żadnym razie nie można by nazwać przystojnym, do tego uśmiechami gospodarował nad wyraz oszczędnie, a ona... Och, mówiąc wprost: czy to możliwe, że go kochała?

- Włóczyłaś się po okolicy?

Meg stanęła jak wryta. Nie zauważyła, że doszła już pod taras i nie dostrzegła Rossa, który stał oparty o jedną z pokrytych porostami urn. Poczowała dziwne ssanie w brzuchu.

- Poszłam na plażę - wyjaśniła.

- I wróciłam bez czepka, z kwiatami we włosach? - Uniósł brwi. - Stawiam gwineę, że masz piasek między palcami stóp.

- I wygrałbyś. - Podeszli do schodków pośrodku tarasu. - Nigdy jeszcze nie brodziłam po morzu, więc pokusa okazała się nie do przewalczenia. - Uniosła dłoń, żeby wyciągnąć z włosów gałązkę czereśni. Nie chciała stracić resztek autorytetu u służby.

Jednak Ross był szybszy i to on wyjął kwiatki z jej włosów.

- Nie spotkałaś przypadkiem przemytników? - Wsunął czereśniową gałązkę do bu-tonierki i zaczekał, aż Meg wejdzie na taras.

- Przemytników? - zdumiała się. - Widziałam tylko łódź rybacką.

- Mój główny łowczy powiada, że w naszej zatoczce szaleje kontrabanda. W nadmorskich skałach można się natknąć na jaskinie, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Nie są duże, ale doskonale się nadają do ukrycia kilku baryłek brandy.

- Ach tak. - Przemysłowcy cieszyli się romantyczną reputacją, lecz Meg doskonale wiedziała, że to pospoliccy zbójcy i złoczyńcy. - Czy twój ojciec patrzył przez palce na ten proceder?

- Najwyraźniej. - Rozejrzał się po morzu. - Brandy, którą się raczę, to dobry francuski produkt, a na baryłkach nie widnieją żadne oznaczenia.

- Mam rozumieć, że i ty godzisz się na przemyt?

- Szmuglerzy zrobili wiele złego podczas wojny, bo sprzedawali Francuzom mnóstwo informacji, nieraz bardzo ważnych, na przykład o dyslokacji wojsk, nowych zaciągach czy pracach w stoczni. Przekazywali też dokumenty od wysoko usytuowanych szpiegów. Teraz niebezpieczeństwo minęło, ale muszę podjąć stanowcze działania, zanim przemysłowcy zdążą zastraszyć okolicznych mieszkańców. Kiedy zostanę zaprzysiężony jako sędzia, skupię się na tej sprawie. Chodzi nie tylko o dobro miejscowych. Moja ziemia musi być wolna od złoczyńców.

Moja ziemia. Wreszcie przyznał, że posiadłość należy do niego. Meg odetchnęła z ulgą i nagle zrobiło się jej lżej na sercu.

- Ross, co to znaczy, że ktoś jest dudek? - zapytała nieoczekiwanie.

- To znaczy, że bęcwał z niego, niezdara i głuptak. Gdzie słyszałaś to słowo?

- Och, wypowiedział je jakiś rolnik, gdy go mijalam - odparła bagatelizująco.

Czy Billy zdradzi Rossowi, że z nią rozmawiał? Nie wiedziała, czy wyznać prawdę o spotkaniu ze starym kłusownikiem. Z tym dylematem ruszył w kierunku domu, lecz Ross ja przytrzymał, ujmując za rękę, i powiedział:

- Otrzymałem wieści od Kimbera, mojego prawnika. Zna pewnego młodego człowieka, którego może zarekomendować jako dyskretnego agenta śledczego. Powinien zjawić się w poniedziałek, żeby z tobą porozmawiać. Nazywa się Patrick Jago, jest młodszym synem szlachcica z sąsiedniej parafii. Kimber zlecił mu kilka spraw i ma o nim wysokie mniemanie.

- Dziękuję, że o mnie pamiętasz. Cieszę się, że ta sprawa wreszcie ruszy z miejsca.

- Jego dłoń była przyjemnie ciepła. Meg wcale nie chciała, żeby ją zabierał. - Jeśli poniosłeś już jakieś koszty związane z uzyskaniem porady pana Kimbera, odpisz mi je od zarobków, rzecz jasna.

- Po co? Żebyśmy nie mogli dogadać się w inny sposób? - Wymownie uniósł brwi.

- Nie. - Meg odsunęła się tak gwałtownie, że jego dłoń opadła. - Po prostu nie życzę sobie, abyś sądził, że nadużywam swojego stanowiska.

- Meg, co za absurd. Wybacz jednak, jeśli cię uraziłem.

- Och, na litość boską! - Wyraźnie zaczęła tracić cierpliwość. - To niedorzeczność! Jestem świadoma, że chwyciłeś mnie za rękę, aby mnie zatrzymać, nic więcej. Potrafię powiedzieć wprost, co mnie denerwuje albo obraża.

- Zatem zwalniasz mnie z obietnicy? Mogę cię już dotykać?

- Tak, możesz. - Nabrała ochoty, żeby pocałować go w usta, choć na razie tylko patrzyła mu prosto w oczy.

Ross położył dłonie na jej ramionach, i zaraz mocno ją przytulił, a ona nie miała ani siły, ani chęci, żeby go odepchnąć.

Przywarł wargami do jej ust. Meg nie broniła się przed tą pieśzczotą. Pogłaskała Rossa po piersi, wyczuwając, jak pośpiesznie bije jego serce. Gdy uniósł głowę, Meg stanęła na palcach i pocałowała go w kącik ust. W jego objęciach było jej tak dobrze, jak nigdzie indziej na świecie. Pasowali do siebie, była tego już absolutnie pewna.

- Czemu ofiarowujesz mi to, czego nie chcesz mi odstąpić za pieniądze? - wyszeptał, muskając wargami jej włosy.

- Ponieważ obdarowując cię, mogę pozostać sobą. - Pomyślała, że tym pocałunkiem dowiedli, iż są sobie bliscy.

- Rozumiem. Dostałem od ciebie pocałunek.

- Tylko jeden. Nie obiecuję nic więcej. - Cofnęła się niechętnie. - Spotkamy się po kolacji. Powinniśmy dzisiaj przeczytać „Podróże Guliwera”.

- Nie, Meg - mruknął. - Nie dzisiaj. Nie znowu. Nie sądzę, żebym mógł spokojnie siedzieć w bibliotece sam na sam z tobą, nawet przy otwartych drzwiach. Nie dam rady skupić uwagi na przygodach Lemuela Guliwera. Muszę pomyśleć w samotności.

- W takim razie przykro mi. - Zwiesiła głowę. - Nie powinnam była przyjmować tej pracy. Nie chcę cię kusić ani flirtować, gdyż w ten sposób tylko przysparzam ci cierpień. Miałam słuszość, mówiąc, że powinnam odejść. Zachowałam się samolubnie, skoro oboje... - Odwróciła się.

Musiała jak najszybciej odejść, zniknąć stąd, jednak ujrzała w oddali czarno-białego psa z ogonem, który wyglądał jak pióropusz. Po chwili zwierzę znikło. Czy przyszło samo, czy razem z właścicielem? Czyżby Billy cały czas obserwował ich z ukrycia i widział, jak się pocałowali? To było takie głupie, takie impulsywnie.

- Nie, Meg, nie odchodź - poprosił Ross. - Oboje musimy się nauczyć panować nad tym, co nas łączy, jakkolwiek byśmy to nazwali. A jeśli musisz mnie opuścić, to wiedz, że pragnę do końca życia obsypywać cię pocałunkami.

- Nie chcę... - Znów spojrzała na niego. - Nie chcę, żebyś z mojego powodu czuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

- Nieszczęśliwy? - Jego twarz pociemniała, zupełnie jakby słońce nagle ukryło się za chmurami. - Czy właśnie takim mnie postrzegasz? - Gdy skinęła głową, wzdrygnął się, jakby go odtrąciła. - Nie, nie wydaje mi się, że bym był nieszczęśliwy. Owszem, na jakiś czas wpadłem w rozpacz i przestało mi zależeć na życiu. Uznałem, że śmierć jest moim przeznaczeniem, którego nie uniknę, kiedy przyjdzie moja kolej. Teraz jestem sfrustrowany, gdyż cię pragnę, ale dzięki tobie inaczej postrzegam i siebie, i w ogóle wszystko. A przede wszystkim moją posiadłość, bo to ona decyduje o moim życiu. Usiłuję sprostać wyzwaniu, więc uczę się wszystkiego, co powinienem wiedzieć, by stawić czoło nowej codzienności. Przeraza mnie lady Pennare, a także jej córki oraz wszystkie okoliczne matki panien na wydaniu. Budzę się o trzeciej nad ranem i rozmyślam o tym, kiedy ten koszmar się skończy. Potem odkrywam, że jestem w miejscu, które powoli zaczynam rozumieć, nad którym panuję. Czy to nieszczęście? Na pewno nie, choć dalekie jest od bajkowej idylli. Z całą pewnością nie targa mną już rozpacz, choć trudno mówić o zadowoleniu. - Zmarszczył brwi, lecz Meg nie dostrzegła na jego twarzy dawnego, nieprzeniknionego mroku. Miała przed sobą mężczyznę w rozterce. - Dzięki nowym wyzwaniom wiem, że żyję - mówił dalej. - Dzięki tobie inaczej patrzę na ten dom, na posiadłość. Uświadomiłaś mi, że majątek jest dla mnie czymś więcej, niż tylko obowiązkiem.

- Cieszę się przynajmniej z tego - rzekła z westchnieniem. - Bałam się o ciebie.

- Właśnie dlatego mnie pocałowałaś?

- Och, nie. - Nie mogła wyjaśnić Rossowi swoich pobudek, gdyż tym samym odsłoniłaby się przed nim.

Coraz mocniej docierało do niej, że jest w nim zakochana, a on odrzucił wszelką miłość, wręcz ją wyszydził. - Czy w Kornwalii grasują psotne duszki, takie jak elfy?

- Mamy tutaj chochliki. Czemu pytasz? Czyżbyś jakiegoś spotkała?

- Wydaje mi się, że właśnie przed chwilą, na plaży. Tak, to musiał być chochlik, który obmyślił chytrą psotę. To wszystko tłumaczy.

## Rozdział dwunasty

Ross wyznał, że budzi się wczesnym rankiem, by snuć rozmyślenia o swoim nowym życiu, a tymczasem Meg nie mogła nawet zasnąć. Prześladowały ją wspomnienia pocałunku i czułości, która ją zalała, kiedy zetknęli się wargami. Ross dochodził do siebie, rany na ciele i duszy goiły się. To dobrze wróżyło, tym bardziej że z natury był człowiekiem odważnym i pełnym hartu, a także uczciwym i bardzo zacnym. Poczucie winy i ciężkie przejścia sprawiły jednak, że znikły gdzieś beztroska werwa i poczucie humoru, a także umiejętność czerpania radości z życia. Zwieńczeniem dramatu stała się bolesna i niweczająca wojskową karierę rana nogi.

W końcu Meg zrezygnowała z dalszych prób zaśnięcia i usiadła na łóżku. Czy kiedykolwiek dotąd czuła się ponuro? W rodzinnym domu nie była szczęśliwa, ale zawsze miała marzenia, które dawały jej nadzieję. Życie stało się dla niej trudne, gdy zrozumiała, że James nie jest mężczyzną z jej fantazji, a w ich związku to musi być mądrzejsza i silniejsza. Pogodziła się jednak z tym. Śmierć Jamesa była dla niej ciosem, ale jeszcze boleśniej odczuła zdradę męża, która wyszła na jaw po otwarciu jego testamentu.

Mimo to nigdy nie wpadła w rozpacz. Nie poddałaby się, nawet gdyby śmierć przyszła po nią. Kopałaby, wrzeszczała i tłukła ją po głowie, byle tylko nie stracić życia.

Ross również nie dał za wygraną, chociaż tak mu się zdawało. Czy naprawdę uważał, że kompletnie zobojeźniał? Przecież walczył o przetrwanie, gdy został ranny, co więcej, miał dość silnej woli, by przeciwstawić się lekarzowi, który zamierzał amputować nogę. Kiedy ratował życie dziecku, niemal utonął w rzece, ale jednak uczeplił się drabiny, żeby nie zginąć.

Ponad wszelką wątpliwość poszukiwał drogi, która wyprowadziłaby go z mroku. Czy mu pomagam w tym, czy też rzucam kłody pod nogi, nie godząc się zostać jego kochanką? - zastanawiała się w duchu. Ale nie, uznała. Niech sobie znajdzie inny lek na łagodzenie frustracji. Nie miała zamiaru ustępować mu w złudnym przekonaniu, że postępuje litościwie. Była gotowa związać się z nim z miłości, i to odwzajemnionej, w innym przypadku to pop prostu wykluczone.

- Idźże wreszcie spać - fuknęła na siebie, uklepując poduszkę. - Idź spać i niech przyśnią ci się Bella oraz Lina.

Nadeszła niedziela, a Meg zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio była w kościele, uczestniczyła w mszy, wysłuchała kazania. O ile pamięć jej nie zawodziła, wybrała się tam w przeddzień ucieczki z domu, a papa wygłosił wyjątkowo ponure i surowe kazanie. W wojsku organizowano niedzielne msze polowe, modlono się przy grobach poległych, chrzczono wodą czerpaną ze strumienia, udzielano ślubów, lecz to wszystko bez udziału duchownego.

Teraz musiała włożyć najlepszą suknię, ciasno zapleść warkocz pod czepkiem i wyruszyć wraz z resztą służby do kościoła w dolince. Słyszała, że świątynia jest piękna i malowniczo położona, ale dotąd unikała jej jak ognia.

Istotnie, okolica prezentowała się wspaniale, wręcz egzotycznie. Kościół wzniesiono na dnie stromego wąwozu, tuż nad wodą. Meg odniosła wrażenie, że zagłębia się w dżungli. Tylko patrzeć, a ujrzy stado papug zamiast kawek, które zataczały koła w powietrzu, głośno handrycząc się z mewami.

Z konarów drzew zwisał mech, gęste paprocie sięgały aż do pasa, a szare kamienie nagrobne pochylały się smutno na każdym płaskim skrawku ziemi przy ścieżce, która wiła się ku granitowej wieży. Tuż przy schodach prowadzących do kościoła płynął strumyk, który z hałaśliwym chlupotem kierował się do morza.

Sceneria była urzekająca, wręcz uwodzicielska, jednak Meg sztywno trzymała dłoń na ręce kamerdynera, kiedy mijali próg kościółka. Pozostali służący z dworu zapełnili tylne ławy świątyni.

Na swoje miejsce udał się też chór złożony głównie z małych chłopców, którzy pod okiem starszych chórzystów zachowywali się wręcz nienagannie. Pulchna kobieta



zasiadła przy organach, a obok miechów stanął inny chłopczyk. Gdy organistka uderzyła w klawisze, wierni skrzywili się wymownie, lecz i tak wyczuwało się atmosferę porozumienia i akceptacji. Z zakrystii wyłonił się pastor i zawadził nogą o skraj sutanny. Zachwiał się, jakby miał upaść, ale w ostatniej chwili odzyskał równowagę i zajął swoje miejsce.

- Drodzy nowożeńcy, zebraliśmy się dzisiaj, aby... Że co? - Jeden z chórzystów wyjaśnił mu coś szeptem. - Ach tuk, to nie ślub. Oczywiście. Drodzy parafianie, Pismo Święte zabiera nas w rozmaite miejsca...

- Poczciwy człowiek z wielebnego Hawkinsa, ale miesza mu się w głowie - szepnął Heneage do Meg. - Miejscowi go kochają, a także jego siostrę, pannę Hawkins, chociaż niemożebnie katuje organy.

Pastor po dłuższych poszukiwaniach wreszcie odnalazł zapiski, po czym wygłosił z ambony kazanie o zagubionych owieczkach i radości z ich odnajdywania. Nawiązywał do bezpiecznego powrotu kutra rybackiego, który od tygodnia uważano za zaginiony. Poprzedniego dnia łódź wpłynęła do przystani ku powszechnej uldze i radości. Meg wyczuła jednak, że pastor ma na myśli także Rossa, bo gdy wodził oczami po parafianach, jego wzrok dłużej zatrzymał się na pierwszej ławie.

W gardle Meg urosła gula. Właśnie taki powinien być pastor, pomyślała, spoglądając na łkające ze szczęścia żony rybaków, na pochyloną głowę Rossa i poważne buzie małych chórzystów.

Gdy opuściła kościół, na zewnątrz czekał już wielebny Hawkins, zajęty wymianianiem uścisków dłoni z wiernymi. Rękę Meg przytrzymał dłużej niż pozostałe.

- Witamy w naszej parafii - oświadczył z miłym uśmiechem. - Potrzebuje pani spokoju, duszko, i na pewno znajdzie go tutaj. Czy Wasza Lordowska Mość pokazał już pani Halgate nasze święte źródółko?

- Nie. - Ross stał z kapeluszem w dłoni i rozmawiał z wyraźnie zachwyconą panną Hawkins. - Pani Halgate, czy ma pani ochotę na dłuższy spacer przed powrotem do domu?

- Chętnie. - Wzięła go pod rękę.

Rozgadani wierni wkrótce znikli w oddali.

- Poczulaś się lepiej? - spytał Ross.

- W kościele? - A więc wiedział, jak trudno jej było się przełamać i jak bardzo obawiała się wspomnień. - Tak, znacznie lepiej. Pan Hawkins jest dobrym człowiekiem. Nie odniosłeś wrażenia, że kazanie poświęcił w jednakowej mierze rybakom i tobie? Na pewno cieszy się z twojego powrotu.

- Sądziłem, że już nie jestem godny modlitwy - odparł z uśmiechem.

- Gdzie spoczywa twój brat? - Poczula, jak ręka Rossa sztywnieje pod jej dłonią. - Chciałaby pomodlić się przy jego grobie.

- Ja... - Zbladł jak kreda.

- To na pewno kojące uczucie, gdy przystanie się nad grobem bliskiej osoby, która spoczęła w tak urokliwym zakątku - nalegała łagodnie.

- Nigdy nie byłem przy jego grobie - wyznał. - Zabójca nie powinien odwiedzać swojej ofiary.

- Doszło do wypadku. Twój brat wiedział, że nie postrzeliłeś go rozmyślnie. Z pewnością masz tego świadomość. W głębi serca musisz wiedzieć, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, więc nie musisz oczekiwać wybaczenia. Giles chciałby, żebyś do niego przyszedł. - Być może robiła błąd, ale nie zamierzała ustąpić. - Czy grób znajduje się w kościele, czy tutaj? - Porośnięte mchem i kwiatami zbocze nie kojarzyło się jej z cmentarzem.

- Tam. - Ross wskazał ruchem głowy mały taras na stromiznie nieco oddalony od ścieżki. - To także miejsce pochówku moich rodziców. Gilesowi bardzo podobał się widok z tamtego miejsca. Idź i sama się przekonaj, jeśli masz ochotę.

- Pewnie, że mam. Ale z tobą.

- Wolę zostać tutaj. Moja obecność nie jest Gilesowi do niczego potrzebna.

- Jemu nie, choć z pewnością bardzo by chciał, żebyś do niego zajrzał. Ale tak naprawdę chodzi o ciebie - wyjaśniła cierpliwie.

Przeszył ją dreszcz, gdy Ross ruszył po omszałych schodach na górę. Po chwili poszła za nim i zastała go przy trzech kamiennych płytach, dwóch pokrytych porostami i jednej całkiem świeżej. Stał z kapeluszem w dłoni, a kiedy Meg przystanęła dyskretnie na skraju polanki, Ross ukląkł, upuścił kapelusz i dotknął kopczyka, jakby chciał pogła-

skać brata, który spoczywał pod kapą z zielonego aksamitu. Wypowiedział półgłosem jakieś słowa, których jednak nie zrozumiała.

Kiedy umilkł, zeszła na ścieżkę, którą wcześniej wędrowali wzdłuż strumyka. Wiedziała, że Ross ją znajdzie, jeśli tylko zechce.

Usłyszała chlupot, nim jeszcze jej oczom ukazało się źródółko. Woda biła prosto z ziemi w otoczeniu trawy i polnych kwiatów, płynęła wokół kamyków, ponownie znikła, a kilka jardów dalej tworzyła strugę. Na dnice strumienia połyskiwał metal, na gałęzi pobliskiego drzewa ktoś zawiesił dziecięcy czepek. Z pewnością w pogańskich czasach odprawiano tu magiczne rytuały, później chrześcijanie przejęli to miejsce i nadali mu nowy sakralny charakter.

Meg zanurzyła dłonie w krystalicznie czystej wodzie i ochlapała twarz, a potem pełna niepokoju czekała na Rossa. Po kilku minutach usłyszała jego kroki. Przystanął obok niej, lecz nie podniosła wzroku, by nie zakłócać mu intymnych rozmyślań.

- Dziękuję ci - powiedział po długiej chwili milczenia. - Sądziłem, że przy jego grobie poczuję ból i żal, a tymczasem odnalazłem spokój.

- Giles z pewnością pragnąłby ofiarować ci ukojenie.

- To prawda, Meg. Nie znałaś mojego brata, a jednak lepiej go rozumiałaś niż ja. - Ściągnął rękawiczkę i nabrał wody w dłoń, którą podsunął Meg. Wypiła łyk, delektując się połączeniem ciepła jego skóry oraz zimna życiodajnego płynu. Gdy skończyła, popatrzył jej w oczy i wlał do ust resztę wody, strząsnął krople, które zamigotały w świetle słońca, a na koniec powiedział: - Cóż, nastała pora na wspinaczkę.

Wdrapując się coraz wyżej, cieszyli się spokojem i rozmawiali już tylko na bezpieczne, praktyczne tematy.

Patrick Jago, który zasiadł po drugiej stronie stołu w saloniku Meg, w pełni odpowiadał opisowi pana Kimbera. Wprost promieniał inteligencją oraz rozsądkiem, a jakby tego było mało, był całkiem atrakcyjnym młodym mężczyzną. Miał spokojne, orzechowe oczy, zdecydowaną, choć pogodną twarz, oraz gęste, jasne włosy. Meg z przyjemnością wpatrywała się w jego urodziwe oblicze.

- Pan Kimber poinformował mnie, że życzy sobie pani ustalić miejsce pobytu swoich sióstr, z którymi straciła pani kontakt - oznajmił.

Meg wręczyła mu filiżankę z herbatą, po czym odparła:

- Nie widziałam ich od lipca 1808 roku, kiedy to opuściłam rodzinny dom. Mieszkałyśmy w parafii Martinsdene na północy hrabstwa Suffolk, naszym ojcem jest wielbny John Shelley. Moja starsza siostra Arabella ma teraz dwadzieścia pięć lat, a młodsza, Celina, skończyła dwadzieścia trzy lata. Sporządziłam ich rysopisy. - Podsunęła kartkę śledczemu, który zerknął na zapiski Meg, po czym wsunął je do notatnika. - Niewykluczone, że nadal mieszkają w naszym domu, więc dam panu list, który przekaże pan jednej z nich. Zależy mi tylko na tym, żeby ojciec o niczym się nie dowiedział. Potem zaczeka pan na odpowiedź. Jeśli moich sióstr nie będzie w domu rodzinnym, poproszę pana o ich odnalezienie.

- Czy mogę powoływać się na panią podczas zasięgnięcia informacji?

- W żadnym razie. Mój ojciec jest surowym człowiekiem o wybuchowym charakterze. Szczerze powiedziawszy, uważam go za domowego tyrana. Nie chcę, by parafianie znaleźli się w kłopotliwej sytuacji i musieli coś przed nim ukrywać. Nie łączą nas dobre relacje. - Z bólem wyznała prawdę, ale musiała mówić szczerze i otwarcie, bo w przeciwnym razie śledczy nie zrozumiałby wszystkich niuansów. - Uciekłam, żeby potajemnie wziąć ślub, i odtąd nie otrzymałam odpowiedzi na ani jeden z wysłanych listów.

- Tak, rozumiem... - Jago zapisał coś w notatniku. - Z pewnością chciałaby pani poznać moje warunki. Obciążę panią kosztami podróży w obie strony oraz zakwaterowania w przyzwoitej gospodzie. Lokal musi być na odpowiednim poziomie, by uwiarygodnić moją osobę wśród miejscowych. Do tego dochodzą nieprzewidziane wydatki, takie jak opłaty pocztowe lub łapówki.

- A pańskie wynagrodzenie? - W innych okolicznościach rozbawiłoby ją, że tak elegancki, młody mężczyzna wspomina o łapówkach, musiała się jednak pogodzić się z tym złem koniecznym.

- Dwie gwinee tygodniowo.

Mogła sobie pozwolić na taki wydatek tylko pod warunkiem, że nie zrezygnuje z pracy jeszcze przez kilka miesięcy. Miała szczerą nadzieję, że Patrick Jago już za kilka dni będzie wiedział, czy Bella i Lina nadal mieszkają w Martinsdene. Jeśli się wyprowadziły... Wolą nie myśleć o tej ewentualności.

- Doskonale. Tylko proszę mnie zawiadomić, jeśli w przeciągu trzech tygodni nie uda się panu ustalić ich miejsca pobytu.

- Oczywiście. Co kilka dni otrzyma pani ode mnie bieżące sprawozdanie. Jeżeli jednak pani siostry wyjechały ze wsi, będziemy musieli omówić dalszą strategię.

Meg podsunęła mu list do sióstr. Czyniła to z pewną niechęcią, bo przecież powierzała obcej osobie wszystkie swoje nadzieje, które zawarła w tym piśmie, wszystkie marzenia o ponownym spotkaniu. Najchętniej znalazłaby gdzieś mały domek, w którym zamieszkałyby we trójkę, pracowały i żyły bezpiecznie blisko siebie.

Pogrążona w rozmyślaniach, nie zauważyła, że przez cały czas trzyma list, jakby nie chciała się z nim rozstać. Jago współczująco położył rękę na jej dłoni.

- Domyślam się, że na te stronice przelała pani zbyt wiele nadziei i obaw - powiedział ciepło.

Podniosła wzrok i zamrugała na widok jego przyjaznego spojrzenia.

- To niemądre - mruknęła, pokrzepiona ta współczującą reakcją.

Rozległo się stanowcze pukanie do drzwi, po czym Ross otworzył je szeroko.

- Pani Halgate, doszło do następnej inwazji tych przeklętych dam. Czy zechciałyby pani uprzejmie... - Urwał gwałtownie.

Meg przez moment nie miała pojęcia, w co też wpatruje się jej pracodawca. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że śledczy Jago nadal trzyma ją za rękę, więc pośpiesznie oswobodziła dłoń.

- Jak powiedziałam, to jest list dla moich sióstr. Wydaje mi się, że przekazałam już panu wszystko. - Wstała. - Dziękuję. Wybacz pan, ale muszę iść do gości.

- Oczywiście, sam trafię do wyjścia. Wasza Lordowska Mość. - Patrick Jago pochylił głowę w ukłonie.

- Odprowadzę pana - wycedził Ross. - Tędy. - Wskazał wyjście dla służby.

- Milord jest nazbyt uprzejmy.

- Ależ bynajmniej.

Byli dla siebie tak grzeczni, że Meg niemal nie wychwyciła lodowatej złości w głosie Rossa i nieufnego tonu Jagona. Wielkie nieba, pomyślała. On uważa, że flirtowaliśmy, i jest zazdrosny.

Pośpiesznie przeszła do holu, gdzie zastała mały tłumek dzielący się na dwie grupki wymieniające uprzejmości. W skład pierwszej gromadki wchodziła matka, dwie córki i nadąsany syn, drugą tworzył mąż z żoną oraz córką. Tuż obok stał wyraźnie zdezorientowany Heneage, co oznaczało, że Meg musiała odłożyć na później przejmowanie się Rossem i błędnymi wnioskami, które pochopnie wyciągnął.

- Pani Halgate, właśnie tłumaczyłem sir Richardowi i lady Fenwick oraz pani Pengilly, że nie jestem pewien, czy Jego Lordowska Mość bawi w domu - powiedział Heneage.

- Och tak, panie Heneage, jak najbardziej. - Meg dygnęła. - Dzień dobry. Nazywam się Halgate i jestem ochmistrzynią. Czy zechcą państwo przejść do salonu i poczekać na przekąski? Jego Lordowska Mość wkrótce do państwa dołączy.

Zaprowadziła gości do chińskiego salonu, a potem znowu zbiegła na parter. Jeśli Ross był w podłym humorze, nie powinien spotykać się z sąsiadami, gdyż tylko ich zrazi do siebie. Nie mógł jednak uchylać się od obowiązków, musiał okazać gościnność nawet matkom z córkami na wydaniu.

- Herbata dla ośmiu osób w chińskim salonie, pani Harris, jeśli można - oświadczyła Meg, zaglądając do kuchni. - Widziała pani milorda?

- Nie dalej jak minutę temu poszedł do stajni.

- Dziękuję. Postaram się go przechwycić. - Otworzyła tylne drzwi i wpadła prosto na Rossa.

- Kogo przechwycić? - Położył dłonie na jej ramionach, żeby ją zatrzymać.

- Ciebie. Przecież wiesz, że masz gości. - Odwróciła się na pięcie i pobiegła do schodów.

- Zauważyłem ich przez okno i powiedziałem Heneage'owi, że nie ma mnie w domu - burknął, hałaśliwie tupiąc ciężkimi butami.

- Niestety, zapewniłam już gości, że jesteś na miejscu. Tym razem odwiedzili cię także jacyś dżentelmeni. - Gdy Ross tylko mruknął coś niezrozumiale, Meg poczuła się w jak w towarzystwie złego, powarkującego brytana. - Poprosiłam o herbatę dla wszystkich.

- Wspaniale. W takim razie możesz zostać z gośćmi, nalać im po filiżance, a potem mnie poinformować, do której z tych młodych dam powinienem uderzać w konkury. - Wyminął ją i wszedł do salonu.

Meg pozostała na korytarzu w oczekiwaniu na tace z herbatą.

Uderzać w konkury? Czyżby Ross doszedł do wniosku, że musi się ożenić i ustakować? To chyba dobrze, przecież powinien otoczyć się rodziną, potrzebował też spadkobiercy, którego mógłby wychować. Dlaczego jednak wspomniał o małżeństwie właśnie teraz? Może po tym osobliwie czułym pocałunku na tarasie zdecydował, że musi odłożyć na bok myśli o nałożnicach i utrzymankach. Czemu jednak znowu wydawał się ponury?

I z jakiego powodu poczułam taką pustkę w sobie? - pomyślała, zerkając mimowolnie na swoje odbicie w lustrze. Nie tylko Ross był przygnębiony, ona również wyglądała, jakby dotknęło ją nieszczęście. Oczy zapiekły ją od łez.

Jej kusząco grzeszny i niemądry związek z Rossem zakończył się, nim jeszcze na dobre się rozpoczął. Meg czuła, że powinna pogratulować sobie siły woli, dzięki której trzymała Rossa na dystans tak długo, aż odzyskał rozum. Poza tym nie zdradziła się przed nim ze swoich uczuć, więc na dobrą sprawę nie miała czego się wstydzić.

Obite zielonym suknem drzwi otworzyły się i na progu stanął lokaj Peter objuczony ciężkim termosem herbacianym. Meg poszła przodem do chińskiego salonu, z którego dobiegał szmer głosów. Usłyszała, jak sir Richard rozmawia z Rossem o wspólnym problemie związanym z ogrodzeniem, co oznaczało, że państwo Fenwickowie mieszkają w najbliższym sąsiedztwie.

Lady Fenwick przyjęła filiżankę herbaty i uśmiechnęła się zdawkowo do Meg, a następnie ukradkowo trąciła córkę łokciem.

- Anne!

- Przepraszam, mamó - wyszeptała panna Fenwick.

Żadna z nich nie wiedziała, że ich zachowanie jest oczywiste dla Meg. Anne ode-  
rwała wzrok od młodego mężczyzny, który tkwił między siostrami, i wbiła szare oczy w Rossa.

Meg zaserwowała herbatę drugiej rodzinie. Pani Pengilly przysłała w ciemnofioletowej sukni z czarnymi wykończeniami, a przy obrączce nosiła krążek ze związanych włosów, co świadczyło o wdowieństwie. Jej powściągliwe córki bez słowa przyjęły herbatę i skupiły całą uwagę na srebrnym talerzu z ciastkami. Żadna nie była ani jasnowłosa, ani piękna, jak córki Pennare'ów, brakowało im też uroku osobistego panny Fenwick.

Ross nawet nie próbował wciągać młodych dam w rozmowę i całkowicie ignorował nadąsanego młodziana, tylko skupił uwagę na matronach, z którymi dyskutował o problemie przebudowy wieży w parafialnym kościele.

Młody pan Pengilly wstał i posnuł się do okna, przy którym stała Meg, gotowa w każdej chwili dolać herbaty lub poczęstować gości ciastkami. Doszła do wniosku, że młodzieniec liczy sobie siedemnaście lat i ma zadatki na fircyka. Podszedł do niej, stanął tuż za jej plecami, a następnie położył dłoń na jej pośladku i ją uszczypnął.

Zbulwersowana Meg aż się zatchnęła, po czym z całej siły nadepnęła obcasem palce stóp bezczelnego młodziana, który zmełł w ustach przekleństwo i cofnął się gwałtownie. Wszyscy skierowali na nich wzrok.

Meg z najwyższym trudem panowała nad głosem, choć jej policzki płonęły ze złości i z zażenowania.

- Panie Pengilly, najmocniej przepraszam! - wykrzyknęła. - Nastąpiłam panu na nogę? Nie miałam pojęcia, że stoi pan tak blisko.

- Ty... - zaczął rozwścieczony elegant, ale umilkł na widok złowrogiego spojrzenia Rossa. - To doprawdy drobiazg. Nic wielkiego - wymamrotał pośpiesznie, po czym zajął miejsce na najodleglejszym krześle w salonie i odwrócił się do wszystkich profilem, który zapewne uważał za wyjątkowo posępny i nieprzenikniony, innymi słowy, wypisz, wymaluj bajronowski.

Goście opuścili dom po czasie nieco dłuższym niż zwyczajowe pół godziny. Ross odprowadził ich do wyjścia, a gdy wrócił, zatrzaskał za sobą drzwi tak stanowczo, że załopotwały zasłony w oknach.

- Dziwne, że akurat ci dżentelmeni odwiedzili cię pierwsi - zagaiła Meg.

- Spotykam ich przy okazji przejażdżek z Tremayne'em. - Spojrzał na nią uważnie.

- O co, u licha, chodziło temu szczeniakowi Pengilly'emu?



- Położył dłoń na mojej... dotknął mnie od tyłu, więc nastąpiłam mu na stopę.

- A ten cały Jago... Flirtował z tobą? - Uraczył się ciasteczkami, które połknął w całości. - Trzymał cię za rękę.

Meg miała ochotę wysypać mu głowę całą zawartość talerza ze słodyczami.

- To tylko sympatyczny, młody mężczyzna. Gdy podsuwałam mu list do sióstr, zauważył, jak bardzo jestem zdenerwowana i dla pokrzepienia uściśnął mi dłoń - wyjaśniła łagodnie, jakby przemawiała do dziecka.

- Czym się denerwowałaś? - Zmarszczył brwi. - Znajdzie je, jestem pewien.

- Ty niewrażliwy dudku! - Świetne słowo, pomyślała. Miała już dość kontrolowania siebie i kojenia jego uczuć, więc dała mu ostrego kuksańca w dołek. Ross zachwiał się na piętach, ale nie cofnął. - Wieki temu straciłam z nimi kontakt. Nie mam pojęcia, jak się miewają i czy w ogóle żyją! Najchętniej sama popędziłabym na spotkanie z nimi, a nie posyłała obcego człowieka. Kocham moje siostry. Jakbyś się czuł, gdybyś powrócił do Anglii po wielu latach na obczyźnie i nie wiedział, co się stało z Gilesem? Czy nie wolno mi się niepokoić i denerwować? Czy nie mam prawa cieszyć się, że ktoś okazuje mi współczucie i zrozumienie?

- Wybacz - burknął Ross. - Zauważyłem, że cię dotyka, i coś się we mnie zagotowało. Nie zachowałem się racjonalnie, przepraszam.

- To naprawdę miły człowiek. Dzięki niemu czuję się lepiej, gdyż wierzę, że mi pomoże. - Gdy Ross położył ciężkie dłonie na jej kruchych ramionach, spytała niespokojnie: - Co się z tobą dzieje?

- Dotknął cię. Obaj cię dotknęli. To mnie rozżłościło. - Pogłaskał ją po policzku. - Przykro mi, Meg.

- Poradzę sobie - burknęła. - Umiem o siebie zadbać.

- Czy na pewno? Czy masz pojęcie, czego pragniesz?

Serce waliło jej jak oszałałe.

- Tak. Pragnę ciebie, oboje to wiemy. Ale to nie jest... - Z trudem dobierała słowa, żeby opisać swoje uczucia. - Nie sprzedam się, Ross. - Powiedz, że mnie kochasz, poganiała go w myślach. Wiem, że złamiesz mi serce, ale kochaj mnie...

- Zatem oddaj mi się. - Podniósł ją, przytulił do szerokiego torsu i ruszył ku kanapie, zanim Meg zdążyła złapać oddech. - Weź mnie - dodał Ross, kładąc się z nią na szerokim, atłasowym siedzisku.

## Rozdział trzynasty

Miał zaborcze wargi, którymi bezlitośnie posiadał jej usta. Nie zadawał pytań, bo niby w jakim celu. Doskonale wiedział, co robi i dokąd zmierza, więc miałby z nią o tym dyskutować? Takie myśli przelatywały przez głowę Meg, kiedy usiłowała znaleźć siłę i chęć, by oprzeć się Rossowi. Ten człowiek przywykł do wydawania rozkazów. Oczekiwał posłuszeństwa od podkomendnych, a teraz postanowił nagiąć do swojej woli ją.

Na tarasie nie protestowała, kiedy chwycił ją w objęcia, teraz zaś nie zamierzał dawać jej sposobności do tłumaczeń, protestów, zastrzeżeń. Sama przed chwilą powiedziała, że go pragnie, więc trzymał ją za słowo.

Przycisnął ją do miękkiego materaca. Jego dłonie spoczęły na jej piersiach, a potem przesunęły się na talię i niżej. Zadarł suknię Meg i położył rękę na jej udzie. Czowała, że nie ma siły się bronić przed jego ciepłem, siłą i męskością. Powody, dla których powinna mu odmówić, zniknęły niczym mgła w pierwszych promieniach porannego słońca. Pozostało jej tylko cudowne pragnienie, potrzeba bliskości i pieśczoć.

Gdy jego dłoń spoczęła na miękkim wzniesieniu pomiędzy jej udami, Meg wstrzymała oddech.

- Ross... - szepnęła.

- Jesteś moja. - Przytulił twarz do jej szyi, obsypując pocałunkami wrażliwą skórę.

- Tylko moja. Nie pozwolę, żeby dotykał cię jakikolwiek inny mężczyzna.

Jego zaborcze i władcze słowa wstrząsnęły Meg. Popatrzyła na stół nadal zastawiony filiżankami i jadeitowymi miseczkami. Znajdowali się w salonie, na kanapie, w środku dnia, a ją przepełniły uczucia tak silne, że aż bolesne.

- Nie, Ross, przestań! Ktoś może wejść. Na miłość boską, jesteśmy w salonie!

- Więc chodź ze mną do łóżka. - Posłał jej namiętne spojrzenie. - Jesteś moja i świetnie o tym wiesz.

- Nie jestem twoja. - Jeszcze nie, pomyślała, nie w taki sposób. Nagle uświadomiła sobie, że jego palce ciągle błądzą w najintymniejszych okolicach jej rozpalonego ciała. - Przestań, zabierz rękę... Puść mnie! - Pragnęła go tak bardzo, że odczuła bolesny zawód, kiedy cofnął ciepłą dłoń, a potem wstał.

- Chodź ze mną do łóżka - powtórzył, wpatrując się w nią z pożądaniem pomieszanym z irytacją.

- Nie. Twierdzisz, że jestem twoja, a to nieprawda. Nie jestem niczyją własnością, nikt nie będzie mną rozporządzał. - Meg obciągnęła suknię. - Jesteś taki silny...

- Myślisz, że byłbym gotów cię przymusić? - spytał z niedowierzaniem. - Uważasz, że przed chwilą robiłem coś wbrew twojej woli?

- Nie! Chodzi mi o to, jaki jesteś. Silny, władczy. Wydajesz rozkazy, domagasz się posłuszeństwa, oczekujesz przyzwolenia. Pragniesz dostać to, na co masz ochotę, a ja muszę przeciwstawić się twojej woli. Jeśli tego nie uczynię, ulegnę ci niczym źdźbło zboża kosie. Znienawidziłabym siebie za to, że nie mam własnego zdania i jestem bezwolną kukłą w twoich rękach. Znienawidziłabym także ciebie. - Wstała, nerwowo podeszła do zwierciadła, by poprawić włosy i przypiąć szpilkami przekrzywiony czepek. - Jesteś właścicielem tego domu, tej ziemi i arystokratycznego tytułu, ale ja nie jestem twoją własnością. - Niechcący ukłuła się w głowę długą szpilką. - Mój ojciec traktował mnie jak przedmiot, podobnie mąż, a teraz jestem tylko swoja. - Gdy zerknęła do lustra, za prawym ramieniem ujrzała surową, nieprzeniknioną twarz Rossa. - Płacisz mi za to, że pracuję jako twoja ochmistrzyni.

Kocham cię, pomyślała z rozpaczą. Pragnę, byś i ty obdarzył mnie miłością, gdyż w przeciwnym razie pęknie mi serce, a jestem zbyt słaba, żeby to znieść.

Była też nazbyt słaba, by wypowiedzieć te słowa i stawić czoło jego negatywnej reakcji. Przecież tak naprawdę chciał tylko jej ciała, nic ponadto.

- Jesteś gotowa odmówić sobie tego, czego pragniesz? - Podeszedł bliżej, zatrzymał się za plecami Meg, przemawiając do jej odbicia. - Rezygnujesz z własnych potrzeb, byle tylko utrzymać mnie na dystans?

- Nie, to nie tak. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy, choć jej kolana trzęsły się jak galareta. Nie mogła wyznać, co czuje i jak głęboka jest jej frustracja, więc postanowi-

ła uciec się do wymówek. - Powiedziałeś, że jestem twoja, a przecież nie powinieneś mnie traktować jak coś, co należy do twojego inwentarza czy jak swojego pola, które możesz otoczyć płotem z napisem: „Teren prywatny, wstęp wzbroniony”.

- Chcesz powiedzieć, że jestem zazdrosny? - Zaśmiał się, ale na jego twarzy nie było widać rozbawienia.

- Chcę ci uświadomić, że zachowujesz się zaborczo, jakbyś bronił własnego terytorium. Zaczynasz łudzaco przypominać własnego ojca.

Jej słowa były niedopuszczalne. Zrozumiała to już w chwili, gdy je wypowiedziała. Ross zwierzył się jej z relacji z ojcem, wspomniawszy też, jak postępował zmarły lord Brandon. Wyznał też, że ich stosunki były wyjątkowo napięte, a fakt ten na zawsze położył się cieniem na jego psychice. Jak mogła mu zarzucić, że zmienił się w kogoś, kogo nie nawidził i nie cierpiał?

Może jego głęboka niechęć do powrotu w rodzinne okolice nie wynikała wyłącznie ze smutku po tym, co utracił, ani z poczucia winy po śmierci Gilesa. A jeśli Ross obawiał się, że będzie takim człowiekiem, jak jego ojciec? Myśli przelatywały jej przez głowę, a twarz Rossa stawała się coraz bardziej pochmurna i złowroga, jak wtedy, gdy Meg po raz pierwszy ujrzała go na nabrzeżu.

- Przepraszam... - szepnęła, dopytując się w duchu, co też najlepszego zrobiła. Cały spokój, który Ross odzyskał nad grobem Gilesa, znikł pod naporem gniewu.

Uniósł rękę, żeby ją uciszyć.

- Dość - warknął. - Ani słowa więcej.

Ross chwiejnym krokiem opuścił chiński salon. Był bliski mdłości, gdyż ból w zabańczonemu nodze dramatycznie się nasilił. Zapewne uderzył się w niezagojoną ranę, kiedy... kiedy postradał rozum, podniósł swoją ochmistrzynię i niemal zgwałcił ją na kanapie w salonie. Na dodatek dopadł ją w środku dnia, nie zamknawszy drzwi na klucz.

Musiał opuścić ten dom, nim wróci do tej kobiety, zaciągnie ją do sypialni i dokończy to, co zaczął, albo... Nagle ktoś zawołał:

- Milordzie!

- Heneage, źle się czujesz? - Ross wyciągnął rękę, by podtrzymać kamerdynera, który wyszedł zza rogu, zobaczył pracodawcę i zbladł jak kreda. Ile lat miał Heneage? Czyżby szwankowało mu serce?

- Czuję się całkiem dobrze, Wasza Lordowska Mość, i proszę o wybaczenie. Rzecz w tym, że nie słyszałem milorda, a potem... przez moment wydało mi się, że widzę starego pana barona. Wasza Lordowska Mość wyglądał tak samo jak jego ojciec, kiedy był niezadowolony. To mnie zbiło z tropu.

Ross stał w holu własnego domu i czuł coraz większą frustrację, złość i przede wszystkim smutek. Przykre wspomnienia kumulowały się w nim jak gaz w butelce fermentującego wina, gotowej lada moment wybuchnąć. Tak było zawsze. Nauczył się ukrywać uczucia, żeby nigdy nie dać ojcu satysfakcji. Nie chciał pokazywać, że dezaprobaty, kary i irytacja barona mają dla niego wielkie znaczenie. Postanowił walczyć z ojcem, okazując mu nieposłuszeństwo i zuchwałość, więc po części dlatego doszło do wypadku Gilesa.

- Wybacz, że przyprawiłem cię o wstrząs, Heneage - powiedział z westchnieniem. - Wychodzę. Przepróż ode mnie panią Harris, ale nie wrócę na kolację.

- Jak Wasza Lordowska Mość sobie życzy. - Kamerdyner powoli dochodził do siebie. - Czy mam posłać lokaja do stajni, żeby kazał szykować konia?

- Nie trzeba, sam go osiodłam.

Ross zamarł z jedną nogą na najniższym stopniu. Musiał jak najszybciej włożyć bryczesy i wciągnąć buty z cholewami. Sama myśl, że mógłby cierpliwie czekać choćby dziesięć minut, wydała mu się nieznośna. Pragnął natychmiast opuścić dom, znaleźć się jak najdalej od Meg. Gdyby to było możliwe, najchętniej oddaliłby się także od siebie.

Szybkim krokiem przebył wybrukowane podwórze i machnięciem ręki odprawił stajennego, który zamiatał rynsztok. Na codzienne przejażdżki zawsze wybierał jednego z koni wierzchowych, rumaka czystej krwi, ale krzepkiego, który spokojnie stał, kiedy Ross zajmował się problematyką rotacji upraw, lecz w razie konieczności mógł bez trudu przeskoczyć ponad granicznym żywopłotem. Było to rozsądne zwierzę, odpowiednie dla kogoś, kto leczył ranną nogę. Wbrew opinii Meg, Ross umiał wykazać się odrobiną

zdrowego rozsądku, gdy w grę wchodziło jego własne zdrowie. Uśmiechnął się krzywo i sięgnął po uzdę, która wisiała przy drzwiach.

Z sąsiedniego boksu wychylił się czarny łeb. Koń zastrzygł uszami i czujnie łypnął okiem na Rossa. Jak go wcześniej poinformował masztalerz Culrose, był to ostatni nabytek świętej pamięci lorda Brandona.

- Wspaniały rodowód i nielecha cena, milordzie, ale to istny szatan, nie koń. Starego barona pana zrzucił na ziemię, jak, nie przymierzając, worek kartofli. Nie dziwota, że zmarły lord nigdy go już potem nie dosiadł. Jak go zabieram na padok, to na samym końcu lonży, żeby mnie nie stratował ze złości. Taka z niego bestia.

Podówczas Ross tylko odnotował w pamięci, że koń jest do sprzedania, teraz jednak odwiesił uzdę i poszedł rzucić okiem na krewkie zwierzę. Zaraz po wejściu zauważył, że nie jest to wałach, lecz ogier.

- Dość - warknął Ross i chwycił konia za grzywę, kiedy ten wyciągnął szyję, aby go ugryźć. Zaskoczony ogier usiłował stanąć dęba, Ross jednak ani na moment nie zwolnił uścisku. - Chcesz stąd wyjść i pogalopować, czy nie?

Ogier przewrócił oczami, demonstrując białka, ale znieruchomiał. Najwyraźniej pojął, że taktyka zastraszania jest w tym wypadku bezowocna.

- Daj tu który siodło! - krzyknął Ross, nie puszczając grzywy, a kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył gromadę zaciekawionych stajennych i ich pomocników, którzy zebrali się przy furtce boksu. Miał nadzieję, że wystarczy im charakteru, aby w razie potrzeby wejść i wyciągnąć go na zewnątrz, jeśli bestia połamie mu kości.

- Milordzie. - Jeden z chłopaków zarzucił siodło na furtkę, a uzdę zawiesił na łąku.

Ross wepchnął rumakowi wędzidło do pyska i nałożył na łeb uzdę. Zwierzę stało ze zdumiewającym, ale i wielce podejrzanym spokojem, kiedy dopinał popręgi.

- Jak się nazywa?

- Smok z Trevarras, milordzie.

Nader stosownie. Ross mógł sobie wyobrazić, jak ogier zionie ogniem. Gdy zarzucił siodło, mięśnie Smoka zagrały pod lśniąca skórą. Czyżby ten piękny i groźny stwór wiedział, że największą krzywdę może uczynić jeźdźcowi, kiedy zrzuci go z grzbietu? Zapewne tak.

- Otworzyć furtę i się odsunąć - zakomenderował Ross.

Gdy Smok rzucił się do wyjścia, Ross jednym susem skoczył na siodło, pochylił się, żeby nie uderzyć głową o nadproże, i wsunął buty w rozkołysane strzemiona, nim koń zauważył, co się święci. Ogier wyrwał na otwartą przestrzeń, a wszyscy stajenni rozpierzchli się na boki. Potem jednak zamarł, zapierając się nogami i strzygąc uszami. Ross niemal słyszał jego myśli. Smok niewątpliwie się zastanawiał, jak uśmiercić tego, kto ośmielił się naruszyć jego nietykalność. Ross skrócił wodze, zacisnął nogi i zatopił obcasy w bokach wierzchowca, który ruszył przez podwórze, wysoko skacząc z wygiętym grzbietem. Ross utrzymał się jednak w siodle, obrócił łeb konia w kierunku bramy i popuścił wodze.

Stało się to, co przewidywał. Pokusa cwałowania zwyciężyła w koniu nad pragnieniem wysadzenia ciemiężyciela z siodła. Smok naprężył mięśnie i pognał na łeb, na szyję po podjeździe dla powozów. Teraz Ross miał tylko jeden cel - nie runąć na ziemię. Musiał wytrzymać tak długo, aż koń się zmęczy.

Noga bolała go jak diabli, ledwie trzymał wodze w zmartwiałych dłoniach, ale jego nastrój poprawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie tylko Smok potrzebował intensywnych ćwiczeń. Kiedy kapelusz sfrunął z głowy Rossa, tylko się roześmiał i w promieniach słońca pocwałował.

Dopiero po dwudziestu minutach Smok zwolnił do galopu. Przez ten czas zdążyli przeskoczyć ogromną liczbę rowów oraz żywopłotów i przebiec potężny szmat łąk i pól.

- Masz dość? - Ogier zastrzygł jednym uchem i ku zdumieniu Rossa zareagował na ściągnięcie wodzy, zwalniając do kłusa, a potem do stępa. - Widzisz? Kiedy jesteś rozsądny, pozwalam ci biegać - pochwalił go, kiedy zjeżdżali z wygonu.

Smok parsknął i w tej samej chwili Ross usłyszał damski śmiech. Odwrócił głowę w jego kierunku i ujrzał wysoką, jasnowłosą kobietę w skromnej sukni z fartuchem.

Nieznajoma położyła u stóp koszyk i oparła się plecami o bramę. Ross domyślił się, że odpoczywała, podziwiając widoki, a zauważyła go dopiero wtedy, gdy dobiegł ją stukot kopyt.

Nagle słońce znikło za chmurą i jaskrawa poświata przestała oślepiać Rossa, który odniósł wrażenie, że czas cofnął się o trzynaście lat.

- Lily! - Zeskoczył na ziemię, podszedł bliżej, objął Lily i pocałował ją prosto w usta. - Dobry Boże, jak miło cię widzieć! Billy mówił, że pojechałaś na przylądek Lizard Point.

- Tylko na kilka dni, żeby pomóc kuzynce w porodzie. - Odsunęła się, by dobrze mu się przyjrzeć. Ross zauważył wokół jej oczu zmarszczki od śmiechu i płaczu, jasne włosy były poprzetykane siwizną. Dopiero teraz uświadomił sobie, że miała już po trzydziestce. - Proszę, proszę, dorosły z ciebie chłop!

Uśmiechnięci patrzyli na siebie, a Ross poczuł, że ponury nastrój oddala się od niego jeszcze bardziej. Wiązał z Lily wiele miłych wspomnień. Była od niego o trzy lata starsza i zawsze traktował ją jak siostrę, której nigdy nie miał. Gdy odkrył, że jego ojciec ją zniewolił, a ciężarną pozostawił na pastwę losu, ogarnęła go żądza mordu. Nawet teraz, kiedy się uśmiechał, na wspomnienie tamtego zdarzenia poczuł gorący gniew.

- Musisz kogoś poznać. Williamie! - zawołała. - Trochę urósł, odkąd widziałeś go po raz ostatni.

Zza zakrętu drogi wyłonił się wysoki, patykowaty chłopak objuczony naręczem chrustu.

- Wielkie nieba. - Ross odetchnął głęboko, gdyż jako piętnastolatek był łudząco podobny do tego chłopca. William miał czarne włosy i nie ulegało wątpliwości, że wkrótce rozrosną mu się szczeka i nos, typowe cechy wszystkich Brandonów. - Czy on wie? Czy ma świadomość, kim jest i kim ja jestem dla niego?

- Tak. Wie...

Odrzucony nieślubny syn zmarłego lorda Brandon rzucił się biegiem w ich stronę.

- Mamo? - Chłopiec wpatrywał się w Rossa bursztynowymi oczami Billy'ego.

A zatem nie wszystkie cechy odziedziczył po Brandonach.

- Williamie, przywitaj się z Jego Lordowską Mością Gdzie twoje dobre maniery?

- Dzień dobry, milordzie. - Ukłonił się nisko.

Ross chwycił go za nadgarstek.

- Dajże spokój z tymi tytułami - powiedział. - Jestem twoim bratem, mam na imię Ross.

Lily wstrzymała oddech, po czym spytała cicho:



- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że uznajesz go za członka rodziny?

- Nie muszę tego robić. - Ross puścił nadgarstek Williama i dotknął jego brody. -

Spójrz na tę szczękę. - Rozczochrał włosy chłopca. - Przecież to mój brat i wcale się tego nie wstydę. Mów mi Ross, Williamie. Kiedy nie będziemy chcieli bulwersować służby, zwracaj się do mnie Wasza Lordowska Mość.

- Tak... Wasza Lordowska Mość... Ross.

William posługiwał się elegancką angielszczyzną z lekkim akcentem kornwalijskim. Wyglądało na to, że Lily nauczyła go starannie się wysławiać, gdyż sama pracowała jako pokojówka matki Rossa do czasu, gdy wpadła w oko staremu baronowi.

- Masz piętnaście lat, tak?

- Zgadza się. - Jego bursztynowe oczy były szeroko otwarte, inteligentne i trochę niepewne.

- Za miesiąc wypływa w pierwszy rejs łodzią rybacką - dodała Lily.

Ross usłyszał w jej głosie zarazem dumę i strach. Była dumna, że jej syn dorasta, pracuje i zarabia pieniądze. Bała się, gdyż na okolicznych cmentarzach roilo się od grobów rybaków, którzy stracili życie na zdradzieckich przybrzeżnych wodach.

- Williamie, czy chcesz być rybakiem?

Nie, zdawały się mówić jego oczy, wzruszył jednak ramionami i odrzekł:

- To dobra praca. I niezłe pieniądze.

- A co chciałbyś robić? Gdybyś miał możliwość wyboru?

- Chciałbym zostać prawnikiem...

Uchylił przed karzącą dłonią matki, która z irytacją usiłowała strzelić go w ucho, dodając lapidarny komentarz:

- Dudek.

- Dlaczego? - zaproponował Ross. - Williamie, umiesz czytać i pisać?

- Tak, Wasza Lordowska Mość... Ross. Uwielbiam czytać książki, gazety, cokolwiek mi wpadnie w ręce. - Uśmiechnął się szeroko, demonstrując szczerbę po wybitym przednim zębem. - A prawnicy zawsze dbają o to, żeby zwyciężała sprawiedliwość - dodał wojowniczo.

- Will, do licha, uciszże się wreszcie! - Lily niepewnie spojrzała na Rossa. - Czyta wszystkie gazety, jakie znajdzie. Rośnie z niego radykał, co strasznie mnie to przeraża, bo może skończyć w tłumie rozszalałej gawiedzi demolującej stolicę.

- Na pewno nie, jeśli pójdzie na studia prawnicze. -

Ross zastanawiał się, jakie zdarzenie zakorzeniło w chłopcu tak idealistyczne poglądy na zawód prawnika. - Tylko pamiętaj, Williamie, że nie wszyscy juryści są chodzącymi ideałami.

- Tak czy owak, to marzenia ściętej głowy. - Lily podniosła koszyk. - Żeby być prawnikiem, trzeba skończyć uniwersytet.

- Z całą pewnością chłopak potrzebuje korepetytora. - Ross ze zdumieniem skostatował, że Smok ciągle stoi tam, gdzie poprzednio, więc sięgnął po wodze i ruszył pieszo na przechadzkę z Lily i Williamem. Mój brat, pomyślał. Stracił Gilesa, ale William miał przed sobą całe życie. - Poza tym może raz w tygodniu pracować w biurze Kimber. Gdy podrośnie, wyślemy go na studia. Rzecz jasna, będzie musiał się przygotować, ale Kimber powie nam, od czego zacząć. - Spojrzał na chłopaka, który przystanął z szeroko otwartymi ustami. - Odpowiada ci takie rozwiązanie?

William przygryzł wargę, spochmurniał nagle.

- Dziękuję ci, to bardzo uprzejmy gest, ale muszę zarabiać pieniądze.

- Jesteś moim bratem, zatem otrzymasz stypendium naukowe. Porozmawiam o tym z twoją matką. A teraz zanieś chrust do domu, a my omówimy szczegóły. Och, jeszcze jedno, Williamie. Moja biblioteka jest do twojej dyspozycji.

Chłopiec wpatrywał się w niego, z trudem przełykając ślinę.

- Dziękuję, Ross - wykrztusił w końcu i oddalił się z chrustem.

Ross uśmiechnął się do Lily, która nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Jest ci bardzo wdzięczny - zaczęła podekscytowana. - Tyle tylko...

- William czuje się onieśmielony, to oczywiste, Lily. Pamiętam, jaki byłem w jego wieku. Co się stało?

- Nagle spełniają się wszystkie jego marzenia. Ale nie możesz tego robić, Ross. Ludzie pomyślą, że jest twój.

- Jest mój - odparł z mocą. - To mój brat i powtórzę to każdemu. Ludzie doskonale pamiętają, jak zachowywał się mój ojciec, więc uwierzą mi bez zastrzeżeń. Wybierałem się do ciebie, Lily, żeby spytać, jakiej pomocy potrzebujesz. Na terenie posiadłości stoi dom, który mógłby ci przypaść do gustu. Poza tym wyznaczę i tobie, i twojemu synowi stałą kwotę na życie. - Usiłowała zaprotestować, ale uścisnął jej dłoń. - Nie oponuj, Lily. I tak nic ci nie wynagrodzi tego, przez co przeszłaś.

- Dziękuję - szepnęła. - Tak, przyjmę od ciebie pieniądze, żeby Williamowi żyło się lepiej. I dziękuję za pamięć. Wyrosłeś na wspaniałego mężczyznę, Ross.

- Jestem żołnierzem, Lily. Zabójcą, który musi się nauczyć, jak gospodarować majątkiem. Wyznam szczerze, że mam z tym niejakie trudności. - Nareszcie mógł otwarcie porozmawiać z kimś, kto dobrze go znał i był gotów wysłuchać jego zwierzeń. Przy Lily nie ogarniały go pragnienia, nad którymi nie panował, gdy była przy nim Meg. Coraz lepiej zdawał sobie sprawę, że nie chodzi tylko o żądzę, ale nadal nie rozumiał, co się z nim dzieje.

Nawet z Lily nie mógł jednak mówić o śmierci, o krwi i o przekonaniu, że nie nadaje się już do życia wśród zwykłych, przyzwoitych ludzi.

- Nauczysz się - zapewniła go z przekonaniem. - Tylko nie bądź taki jak twój ojciec. Nikt w tych okolicach nie chce, żebyś był do niego podobny.

- Ależ ja jestem do niego podobny, przynajmniej z wyglądu - odparł z przygnębieniem. - Dzisiejszego popołudnia wystraszyłem biednego Heneage'a. Gdy mnie zobaczył, był pewien, że widzi ducha. A przecież to byłem ja, tyle że zachmurzony. - Przypomniał sobie słowa Meg, która zarzuciła mu, że zachowuje się zaborczo, jakby bronił swego terytorium, i że łudząco przypomina ojca.

- Czy on cię zgwałcił, Lily? - spytał nieoczekiwanie. - Czy użył przemocy, czy też zagroził ci biedą i wyrzuceniem całej rodziny z domu, jeśli nie dasz mu tego, czego żądał?

- Nie musiał używać siły - odparła cicho. - Wystarczyły groźby. Oświadczył, że jestem jego własnością. Mówił, że jest moim panem, więc muszę robić to, czego sobie zażyczy, bo inaczej wyrzuci nas i będziemy głodować. Powtarzał, że należę do niego.

Rossowi aż pociemniało w oczach. Też mówił Meg, że jest jego własnością, kiedy miażdżył jej ciało na kanapie. Cóż, miała rację. Naprawdę zmieniał się we własnego ojca.

- Na mnie pora. - Wskoczył na Smoka i popatrzył w zmęczone, szczerze oczy Lily. - Przyjdź do mnie jutro, razem zdecydujemy, który dom podoba ci się najbardziej. Są trzy do wyboru. Zabierz Williama, chętnie z nim pogawędzę.

- Dziękuję. - Położyła dłoń na wodzy. - Mój ojciec okropnie się cieszy z twojego powrotu do domu.

Uśmiechnął się, po czym spał Smoka i ruszył galopem.

Czyżbym naprawdę wrócił do domu? - pomyślał. W istocie, powoli zaczynał tak traktować dwór. Dowiadywał się coraz więcej o posiadłości, o swoich ziemiach i dzierżawcach, o należących do niego kutrach, i coraz lepiej orientował się w sprawach majątku. Teraz musiał lepiej poznać brata i porozmawiać z przyjaciółmi.

Meg wyganiała z domu ducha jego ojca, pokój po pokoju, pomieszczenie po pomieszczeniu, dzięki czemu gmach stawał się coraz cieplejszy i pogodniejszy, po prostu na nowo ożywał. Już teraz mogłaby w nim zamieszkać młoda żona.

- Dobry Boże, Meg - westchnął.

Ściągnął wodze, a ogier natychmiast zademonstrował niezadowolenie i stawiał opór. Ross zaklął i z trudem zmusił Smoka do zwolnienia kroku.

Co, u licha, miał począć z Meg?

## Rozdział czternasty

- Pani Halgate.

Meg podskoczyła, rozlewając wodę z wazonu pełnego kwiatów, który ustawiała na lśniącym, mahoniowym stole w małej jadalni. Pośpiesznie wytarła mokrą plamę i mocno speszona odwróciła się.

- Wasza Lordowska Mość. - Dzięki Bogu nie straciła głosu, choć serce podeszło jej do gardła.

Ross podszedł niebezpiecznie blisko i z kamienną twarzą stanął tuż przed nią. Od razu zauważyła, że miał na nogach buty z cholewami.

- Zechce pani skonsultować się z panią Harris i przekazać mi, kiedy w najbliższym czasie można zorganizować wieczorne przyjęcie. W przyszłym tygodniu będzie pełnia księżycy, co znacznie ułatwi podróż gościom.

Prośba była całkowicie nieoczekiwana, więc w pierwszej chwili Meg pomyślała, że się przesłyszała.

- Wieczorne przyjęcie? - powtórzyła, a gdy Ross skinął głową, spytała: - Na ilu gości?

- Duża jadalnia pomieści dwadzieścia cztery osoby. - Podszedł do lustra, żeby poprawić fular.

- Dwadzieścia cztery? Za pozwoleniem, ale czy Wasza Lordowska Mość jest już w odpowiednio bliskich relacjach z dwudziestoma trzema osobami? - Ledwie trzymała się w ryzach. Obawiała się powrotu Rossa, martwiła się, dokąd pojechał i co chwila powtarzała sobie, co powinna mu powiedzieć. Ich stosunki stały się gorące, namiętne i pełne złości. Teraz jednak powrócił zimny, nieprzystępny mężczyzna, więc przygotowane przez nią przemowy straciły sens.

- Tak, aż tyłu. Zapomina pani, że codziennie jeżdżę po okolicy. Odwiedzam sąsiadów i zmuszam się do wysłuchiwania wykładów o zapaleniu racic u owiec, a także o niebywałej wartości wodorostów jako nawozu. Nie widzę jednak powodu, by powtarzać pani zasłyszane informacje. Za pierwszym razem zapewne nie uda się nam przyjąć

wszystkich młodych dam z pobliskich majątków, lecz tak czy siak zamierzam poznać je bliżej.

- Milord chce poznawać młode damy?

- W istocie. Jako córka pastora z pewnością mnie pani poprawi, lecz pamięć mnie nie myli, święty Paweł powiedział: „Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie, niż płónać\*<sup>\*</sup>”. Czyż nie? Poza tym znalezienie żony jest moją powinnością.

*\* List do Koryntian, 7, 9. Biblia Tysiąclecia, wydanie IV, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań, 1991.*

Wyglądało na to, że całą uwagę skupił na fularze. Meg pomyślała, że Ross nawet nie chce wiedzieć, jaki wpływ miały na nią te słowa. Położyła dłonie na oparciu krzesła, żeby nie stracić równowagi.

- Pierwszy list świętego Pawła do Koryntian, rozdział siódmy, wers dziewiąty - szepnęła.

Oboje mogli udawać, że to bez znaczenia, a lodowato uprzejma pogawędka nie jest w rzeczywistości ostrą kłótnią. Rzecz jasna, Rossowi nie latały mroczki przed oczami, a nerwy miał jak postronki, więc nie czuł się zmieszany i upokorzony. Meg wiedziała jednak na pewno, że kipiał złością z jej powodu.

- Przecież Wasza Lordowska Mość nie ma stosownej odzieży - zauważyła.

- Perrott wiercił mi dziurę w brzuchu tak długo, że w końcu ustąpiłem i dwa dni temu ponownie odwiedziłem krawca. Pod koniec tygodnia spodziewam się dostawy ubrania. Zajrzałem również do szewca i mogę z zadowoleniem oznajmić, że nie muszę już nosić obuwia po ojcu, więc tym mniej go przypominam.

- Doskonale. - Mimo niewątpliwej prowokacji nie zamierzała wracać do tego tematu. - Zatem natychmiast porozmawiam z kucharką. - Pani Harris z pewnością wiedziała, jak przyszykować kolację, na której być może pojawi się przyszała pani domu. Należało wykazać się dobrym smakiem i zamożnością, aby usatysfakcjonować rodziców, a także zorganizować dobrą zabawę, żeby zauroczyć młode damy.

Dygnęła, choć Ross przez cały czas stał plecami do niej, a następnie opuściła jadalnię i zeszła po schodach do swojego pokoju. Dopiero tam straciła resztki panowania nad sobą, po prostu cała się rozdygotała.

To, jak silnie zareagowała, było wielce niepokojące. Czy chodziło tylko o frustrację po zakazanych chwilach namiętności? A może raczej wstrząsnęła nią wieść o tym, że Ross szuka żony? Meg przycisnęła do rozpalonej twarzy myjkę z chłodną wodą. Miała nadzieję, że dzięki temu odzyska zdolność logicznego myślenia.

Ross powinien poszukać sobie żony, przecież właśnie tego mu życzyła. Odpowiednia partnerka, dzieci, rodzina pozwolą ostatecznie zapuścić mu tutaj korzenie. Narodziny dziedzica zapewnią Rossowi cel w życiu, dzięki czemu z prawdziwym zapałem zajmie się swoją piękną posiadłością. Natomiast żona ofiaruje mu tak niezbędną miłość, czyli uczucie, którego brakowało Rossowi od wielu lat.

Spojrzała na lustrzane odbicie swojej poblądłej twarzy.

Doszła do wniosku, że to zapewne milczenie pana Jagona wytrąciło ją z równowagi. Gdyby wiedziała, gdzie są Bella i Lina, mogłaby zaplanować własne życie. Tak, z pewnością chodziło o to. Ross usiłował uporządkować swoje sprawy, a ona czuła niepokój, gdyż nie robiła tego samego. Nie mogła uwikłać się w kolejny nieudany związek uczuciowy. Kiedyś zbłądziła, ale z tym już koniec.

Tak czy owak, przede wszystkim musiała skupić się na obowiązkach i porozmawiać z kucharką.

- Cóż takiego się stało, pani Halgate? - zaniepokoiła się pani Harris. Jej reakcja dowodziła niezbicie, że Meg nie umie robić dobrej miny do złej gry. Kucharka odłożyła wałek i otrzepała ręce unurzane w mące. - Wygląda pani na przygnębioną.

- Och, jestem przygnębiona. - Przynajmniej miała dobrą wymówkę. - Pan baron zamierza wydać w przyszłym tygodniu kolację dla dwudziestu czterech osób. Nie ma to być zwykła kolacja, tylko prawdziwe przyjęcie. Milord zapytuje, który dzień byłby najodpowiedniejszy. A przecież duża jadalnia nie jest jeszcze gotowa! Nie zdążyłam nawet przejrzeć obrusów, na których mogła pojawić się pleśń, albo są pożerane przez mole.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! - Pani Harris nie kryła przerażenia. - Jakie znowu przyjęcie? Od półtora roku nic takiego tu nie było... - Odetchnęła głęboko. - Przy-

najmniej Heneage się ucieszy. Wciąż narzeka, że pospołu z lokajami raz w tygodniu czyści srebra, a nie pojawia się nikt, kto mógłby docenić ich urodę.

- Lord Brandon zaprasza rodziny z niezamężnymi córkami.

- Ach, więc to takie buty! - mruknęła kucharka.

- Właśnie takie. Trzeba zaimponować gościom, nie sądzi pani? Natychmiast pędzę do dużej jadalni, by sprawdzić, jak ją odświeżyć. Myślę też, że warto by przyszykować podłużną salę z widokiem na ogród, bo chiński salon jest za mały dla dwudziestu czterech osób. - Pomyślała, że radzi sobie całkiem nieźle. Przynajmniej pozornie była pełna zapału i energii. Gdy do kuchni wszedł kamerdyner z torbą pocztową, dodała: - Panie Heneage, Jego Lordowska Mość chce wydać przyjęcie dla dwóch tuzinów gości, i to już w przyszłym tygodniu.

- Doprawdy? - ucieszył się Heneage. - Czwartek byłby najlepszy, prawda, pani Harris? Księżyc będzie w pełnej krasie, a my zyskamy dostatecznie dużo czasu na przygotowania.

We wtorek poprzedzający przyjęcie Meg zajrzała do kuchni, gdy pan Heneage sortował korespondencję.

- Miriam, skarbie, mogłabyś zaparzyć mi filiżanki herbaty? - spytał, nie odrywając wzroku od listów, a pomoc kuchenna posłusznie przetaszczyła czajnik pod pompę. - Wszystkie do pana barona, no i oczywiście rachunki. - Wręczył stosik Meg, ale na samym dniu natrafił na jeszcze jeden list. - A ten jest zaadresowany do pani. Wygląda na to, że przebył niełichą drogę.

Meg wzięła przesyłkę do ręki i popatrzyła na niebieski lak. List zapewne pochodził od Jagona, bo któż inny mógłby do niej napisać?

- Przepraszam - powiedziała cicho i wyszła z kuchni.

Kiedy znalazła się na tarasie, przycupnęła na ławeczce i zamarła z zapieczętowanym listem na kolanach. Przenikliwy ból uświadomił jej, że zbyt mocno przygryzła dolną wargę. Po chwili odetchnęła głęboko, złamała pieczęć i rozprostowała kartkę papieru.



*Gospoda Royal George,*

*Martinsdene, 8 maja*

*Szanowna pani Halgate!*

*Jak pani widzi, dotarłem na miejsce w doskonałym czasie i ubiegłej nocy zakwaterowałem się w gospodzie nieopodal domu pastora. Przedstawiłem się jako student architektury prowadzący badania nad dawnymi budowlami sakralnymi i mam nadzieję, że ten wybieg pozwoli mi poznać Pani ojca.*

*Od razu jednak śpieszę donieść, że od pewnego czasu żadnej z Pani siostr nie widziano we wsi.*

Oczy Meg momentalnie zaszczyły łzami, ale zmusiła się do dalszej lektury:

*Bliższe informacje o pastorze usiłowałem uzyskać od mojego gospodarza. W tym celu zasugerowałem, że pragnę przedstawić się wielebnemu i uzyskać od niego pozwolenie na studiowanie architektury kościoła. Wedle słów właściciela gospody, panna Celi-  
na Shelley nie gościła we wsi od czerwca ubiegłego roku, a panny Arabelli Shelley nie widziano od końca kwietnia.*

Dokąd mogły pojechać? Skoro znający wszystkie okoliczne plotki Ben Wilkins, właściciel gospody, tego nie wiedział, sprawa z pewnością była tajemnicza.

*Po kilku kuflach piwa, przy deszczowym wieczorze i bezruchu w interesie, miałem nadzieję, że gospodarz nabierze chęci do plotek i nie starałem się go powstrzymywać. On jednak nie powiedział ani słowa więcej i wydawał się wręcz niespokojny, że w ogóle się odezwał. Odniosłem przemożne wrażenie, że obawia się gniewu pastora.*

*Jutro zamierzam odwiedzić plebanię, by zapoznać się z Pani ojcem. Ponadto dołożę wszelkich starań, by upewnić się, że żadna z Pani siostr nie jest siłą przetrzymywana w domu.*

*Napiszę ponownie, gdy tylko uzyskam dalsze informacje.*

*Pozostaję Pani uniżonym sługą*

*Patrick Jago*

Meg ze smutkiem popatrzyła na list. Myślała, że jej siostry nadal mieszkają w domu, są nieszczęśliwe, w potrzasku, lecz bezpieczne. Trochę liczyła też na to, że znalazły mężów, których zaaprobował pastor. W najczarniejszych myślach nie zakładała jednak, że przepadną bez śladu. Jak to możliwe, że nie krążyły nawet pogłoski o przyczynach ich zniknięcia?

I w jaki sposób Jago miałby natrafić na ich ślad? Po jej policzku spłynęła łza i spadła na starannie wykaligrafowane litery, potem następna i jeszcze jedna. Wreszcie całkiem się rozszochała, jak wtedy, gdy otwarto testament Jamesa, a jej rozchwiany świat na dobre się zawalił.

- Meg, kochanie, co się stało? Złe wieści?

Ross powiedział do niej „kochanie”?

- Nie wiem - wykrztusiła. - Mam nadzieję, że nie. Chodzi o moje siostry. One... znikły. Patrick Jago donosi, że przepadły bez wieści, znikły z Martinsdene. Nikt nie wie, co się z nimi stało. - Z wdzięcznością przyjęła od Rossa śnieżnobiałą chustkę. - Nie widziałam ich od tak dawna. Żadna z nas nie była szczęśliwa w domu, a teraz... Nie wiem, co robić...

- Ten Jago ma łeb na karku - pocieszył ją Ross. - Ledwie zaczął robotę, dajmy mu czas. Może to dobrze, że sama tam nie pojechałaś. Utkwiłabyś na miejscu bez grosza przy duszy i bez pojęcia, dokąd podążyć.

- To prawda, Wasza Lordowska Mość. - Z westchnieniem otarła oczy. - Milord ma rację, Jago je znajdzie.

Otoczył ją ramieniem i przytulił.

- Już dobrze, Meg - powiedział cicho. - I proszę, nie zwracaj się do mnie tak oficjalnie. Jestem Ross, pamiętasz? Poza tym nie zapominaj, że nie otrzymałaś żadnych złych wieści.

Powinna go odepchnąć, ale tak czule głaskał ją po włosach...

- Nie możesz - wyszeptała tylko. - Ktoś nas zobaczy...

- Nie opuszczę cię, kiedy płaczesz. - Przytulił ją mocniej. - Dzięki tobie pogodziłem się z Gilesem i choćby z tego powodu nie mam nic przeciwko temu, by zobaczyło nas nawet całe Falmouth.

- Odwaliła pani kawał dobrej roboty, szykując dom - pochwalił ją Perrott, kiedy stanęli na półpiętrze, czekając na przybycie gości.

- A pan świetnie wyszykował milorda - odwzajemniła się Meg, nie odrywając wzroku od Rossa, który właśnie szedł przez hol.

- Wspaniale się prezentuje, prawda? - Lokaj nie krył satysfakcji. - Dobrze, że służył w wojsku, bo oficerowie zwykli trzymać się prosto. Poza tym widać, jak bardzo jest sprawny. Nie ma ani grama zbędnego tłuszczu, a jego mięśnie są wspaniałe. To dzięki długim marszom.

Odkąd spędzili ze sobą pół godziny na tarasie, Ross wydawał się nie tyle ponury, ile poważny, a Meg mogła tylko żywić nadzieję, że pan na tych włościach pozna młodą damę, do której mocniej zabije mu serce. Co oczywiste, ona będzie musiała odejść, gdyż nie mogłaby pozostać na dworze wraz z żonatym Rossem. Mimo to stale wyszukiwała jakieś zajęcia i robiła wszystko, by wyglądać na zadowoloną z życia. Niekiedy zdarzało się, że nie myślała o Rossie i o siostrach nawet przez godzinę.

- Są może jakieś nowiny o panie Arabelli i panie Celinie? - spytał Perrott.

- Otrzymałam następny list od pana Jagona, wygląda jednak na to, że sprawa utknęła w martwym punkcie. Moich sióstr z całą pewnością nie ma w domu, a gdy Jago wpadł do mojego ojca z wizytą, ten oświadczył, że nie ma żadnych córek.

- Może uciekły, by potajemnie wyjść za mąż?

- Ludzie nie plotkują na ich temat. Wygląda na to, że wieśniacy wolą milczeć, by nie narazić się na gniew pastora.

- Moim zdaniem brak wiadomości to dobra wiadomość. Jakkolwiek patrzeć, za pozwoleniem, gdyby którąś z pani sióstr zmogła choroba lub, nie daj Boże, opuściła, ten padół, wtedy Jago z pewnością dowiedziałby się o tak dramatycznym zdarzeniu.

- To prawda. - Wiedziała, że nie powinna przejmować się sprawą, na którą nie miała żadnego wpływu, dlatego po raz dziesiąty tego dnia skupiła uwagę na przygotowaniach do przyjęcia.

Odkąd dowiedziała się o wystawnej kolacji, z całych sił pracowała nad poprawą wyglądu dużej jadalni oraz podłużnej sali. Poleciała lokajom usunąć na strych co bardziej ponure obrazy oraz obniżyć żyrandole i oczyścić każdą kryształową kropelkę. Służba

sumiennie wypolerowała srebra, praczki usunęły plamy z obrusów, lokaje umyli okna od środka, ogrodnicy od zewnątrz, a Meg przeobraziła dwie największe sypialnie dla gości w buduary dla dam, żeby miały gdzie pozostawić okrycia i wypocząć podczas przyjęcia.

Lokaje wprowadzali do buduarów rozgadane damy. Było jasne, że nikt nie zamierza się spóźnić na przyjęcie. Wszystkie panie pragnęły jak najszybciej ujrzeć nowego lorda Brandona, który zasiadł u szczytu stołu. Po części rozbawiona, po części zirytowana paplaniną Meg wiedziała, że powinna obsługiwać przede wszystkim mężatki, lecz nie mogła się oprzeć pokusie i z ciekawością oceniała potencjalne panny młode.

Ross przezornie zaprosił nie tylko rodziny z córkami na wydaniu, ale i tak przyszło aż siedem panien, które ustawiły się przed lustrami, żeby poprawić urodę.

- Nie jest ani trochę przystojny - powiedziała Elizabeth Pennare, upinając loki jednej ze starszych sióstr.

- Za to rozkosznie tajemniczy - zauważyła jakaś panna, której Meg nie znała. - Zupełnie jak bajronowski bohater.

- I mężny - dodała inna. - Przecież jest majorem i odniósł ranę. Szkoda, że nie nosi już jasnoczerwonego munduru.

Brygada strzelców nosi zielone uniformy, niedouczona pannico, pomyślała Meg, pomagając pokojówce składać peleryny.

- I bogaty - podkreśliła jedna panien Pengilly. - Papa powiada, że lord Brandon ma kopalnie, kutry i skład handlowy w Falmouth.

Kilka młodych dam wymieniło porozumiewawcze spojrzenia, unosząc brwi i ścigając usta w ciup, oburzone prostą wzmianką o majątku. Meg wiedziała jednak, że wszystkie są zainteresowane pieniędzmi, a także tytułem i wyglądem. A co z człowiekiem? Co z jego charakterem? - chciała spytać.

- Moim zdaniem to bardzo trudne wrócić do domu po wielu latach wojowania i bez rodziny rozpocząć życie na nowo - przemówiła skromna, cicha panienska.

Meg uśmiechnęła się, poruszona tą wrażliwością.

- E tam - mruknęła Anne Pengilly, uradowana wizją skandalu. - Ludzie mówią, że jakiś chłopak wygląda kubek w kubek...

- Dziewczęta, zapraszam - przerwała jej lady Pennare, która właśnie wpadła do pokoju. - Gospodarz czeka.

Rozchichotane panny wymaszerowały z buduaru. Pozostała w nim tylko cicha dziewczyna, która zwróciła na siebie uwagę Meg.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała ją. - Przepraszam, nie dosłyszałam pani godności. Czy mam poprosić pani mamę?

- Och nie, nie trzeba. Nazywam się Penelope Hawkins i jestem bratanicą pastora - przedstawiła się nieśmiało. - One są takie... przytłaczające. Jak stado świergoczących ptaków. Biedny lord Brandon... - Wymknęła się za drzwi i podążyła do jadalni.

Ta się nadaje, zdecydowała Meg. Pod warunkiem, że nie przestraszy się Rossa.

Wszystkie są nieznośne, uznał Ross, z uśmiechem wsłuchując się w paplaninę lady Avise Westmoreland, która przekonywała go o absolutnej konieczności odwiedzania Londynu co najmniej cztery razy w roku.

- W przeciwnym razie skąd brać suknie? - argumentowała.

Ross miał nadzieję, że dama nie oczekuje poważnej odpowiedzi.

- Bezwzględnie - zgodził się. - Może jeszcze potrawki? - Czuł, że jeśli przyjdzie mu spędzić życie u boku którejś z tych kobiet, to albo ją udusi, albo palnie sobie w łeb. Do przyjęcia wydawała się tylko jedna niepozorna ptaszyna, o ile pamiętał, bratanica pastora.

Wygląda na to, że mam upodobanie do cór kościoła, pomyślał z rezygnacją. Panna Hawkins nie budziła w nim pożądania, za to wydawała się odpowiednia na spokojną towarzyszkę życia i nie brakowało jej zdrowego rozsądku.

W przeciwieństwie do lady Avise.

Ross stał na frontowych schodach i w blasku księżyca wpatrywał się w odjeżdżające powozy.

- Powiedz Perrottowi, żeby na mnie nie czekał - powiedział do jednego z lokajów i ruszył ścieżką prowadzącą do zatoki.

Kiedy zbliżał się do plaży, w oddali mignęło coś białego. Czyżby jakiś człowiek? Tregarne oskarżył Billy'ego o kontrabandę, ale Ross nie śpieszył się ze sprawdzeniem tej informacji. Wiedział jednak, że noc to idealna pora dla szmuglerów. Gdyby przyłapał

jednego z nich na gorącym uczynku, miałyby niezbite dowody na łamanie prawa i musiałyby działać.

Nie było wyjścia. Odetchnął głęboko, postawił poły płaszcz, żeby nie było widać jasnej koszuli, i powolnym krokiem ruszył ku podejrzanej białej plamie.

## Rozdział piętnasty

Ross cicho stapał po trawie, a tuż przed plażą przystanął i nadstawił uszu, lecz szum fal zagłuszał wszystkie dźwięki. Okolica wydawała się kompletnie wyludniona, ale instynkt podpowiadał mu, że ktoś czai się w pobliżu.

Nieopodal były grotty, lecz żeby zbliżyć się do nich, Ross musiał przejść pod krawędzią niskiego urwiska, po zwalonych skałach i licznych sadzawkach. Ściągnął wieczorowe buty oraz skarpety, a następnie zrzucił całą górną część stroju. Jego śniady tors z pewnością nie był aż tak widoczny jak biała koszula.

Gdy na wpół nagi ruszył ku jaskiniom, usłyszał plusk, skrzypnięcie i nagły błysk światła blisko na morzu. Zrozumiał, że do brzegu ostrożnie dopływa łódź, więc ukrył się za skałą. I usłyszał, jak ktoś nuci piosenkę. Po chwili na brzegu pojawiła się jakaś postać.

Ze zdumieniem zorientował się, że to kobieta, i to ubrana wyłącznie w halkę, z nogami nagimi aż do kolan oraz odsłoniętymi ramionami. Szła ku morzu, ciemne włosy miała upięte na czubku głowy i wyglądało na to, że nuci dla przyjemności. Zachichotała i podskoczyła, gdy pierwsza fala dotknęła jej stóp.

Meg? Tutaj? W samej bieliźnie? Ross już otworzył usta, żeby krzyknąć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie mógł zwracać na siebie uwagi załogi łodzi, gdyż natychmiast zawróciłyby i uciekły, nie wiedząc, ilu ludzi czai się na brzegu. Tymczasem Meg zanurzyła się po pas, śmiejąc się i podskakując w chłodnej wodzie, a potem popłynęła przed siebie.

Z ciemności wyłonił się mroczny kształt łodzi, która sunęła prosto na Meg. Zdumiona krzyknęła ze strachu, ktoś zaklął siarczyście i odsłonił latarnię. U wiosł siedziało sześciu mężczyzn, a siódmy zajmował miejsce na dziobie i przyświecał płynącym. Ross stłumił okrzyk.

- Zasłoń to przekłete światło - warknął ktoś z łodzi.

- To kobita! Szybciej machać wiosłami, chłopcy, to ją złapiem. - Mężczyzna na dziobie uniósł lampę, wpatrując się w desperacko machającą rękami i nogami Meg.

Gdy Ross dobiegł na skraj morza, stała już na dnie, a woda sięgała jej po pas.

- Meg, do mnie! - krzyknął, a ona odwróciła się ku niemu. - Biegiem!

Zanurzony po uda Ross chwycił ją, pchnął za siebie, a sam stanął nieruchomo, wpatrując się w łódź.

Jeden nieuzbrojony mężczyzna przeciwko siedmiu osiłkom wyposażonym w wiosła, noże i zapewne pistolety. Było jasne, że ma niewielkie szanse w starciu z takim przeciwnikiem. Ross obnażył zęby. Gdyby dotknęli Meg, był gotów rozszarpać ich na strzępy gołymi rękami.

- Jestem Brandon. Wynoście się z tej plaży.

- Bo co? Zatrzymasz nas? - Do wody zeskoczył wielki jak tur mężczyzna, ściskając w ręce długi nóż. - Ty i ta twoja syrenka?

Ross cofnął się o krok. Brawura nie miała sensu, bo gdyby zginął, Meg byłaby zdana na łaskę i niełaskę oprychów. Musiał zyskać na czasie, żeby zdążyła uciec.

Gdyby tylko udało mu się zwabić bandytę na tyle blisko, aby zaatakować go wręcz...

Nagle usłyszał świst. Coś przeleciało mu koło ucha, a łotr dostał kamieniem w klatkę piersiową i ryknął z wściekłością. Ross obejrzał się przez ramię. Meg najwyraźniej wcale nie zamierzała uciekać, gdyż stała na plaży i energicznie miotała kamieniami w łódź i jej załogę.

Ross rzucił się do brzegu, słysząc skrzypienie łodzi i wiosła.

- Schowaj się za mną! - nakazał, gdy tylko wbiegł na piasek, i zaczęli tyłem wycofywać się w głąb plaży. Wrogów było zbyt wielu, a w takim miejscu nie miał szans stać im czoła. Na dodatek już się rozdzielali, żeby zaatakować go z obu stron i zablokować ścieżkę, tę jedyną drogę ucieczki. - Posłuchaj - zwrócił się do zadyszanej Meg. - Za moment zaatakują. Uciekniesz, ile sił w nogach, słyszysz? Powiesz Heneage'owi, żeby otworzył arsenał i uzbroił lokajów, stajennych i kogo tam jeszcze znajdzie. Niech wszyscy natychmiast tu przybiegną i narobią hałasu.

Meg zrozumiała, że ma szansę uciec, o ile Ross skupi na sobie całą uwagę tych szubrawców. Tyle tylko, że tak nierówna bitwa musiała się skończyć w jeden sposób...

- Miałabym cię zostawić? Przecież ja...

Donośny huk wystrzału skutecznie zagłuszył jej słowa. Napastnicy odwrócili się w stronę jaskiń, skąd zbliżał się jakiś uzbrojony w strzelbę człowiek.

- Billy? - spytał Ross z niedowierzaniem.

- A jakże. Aleś se dumny czas obrał na spacer w wodzie, chłopcze. A wy, tępe mordy, jazda mnie stąd, nim któremu pustą makówkę odstrzele.

- A co z baryłkami? Na dzisiaj żeś dostawę obiecał.

- Wysoki bandyta postąpił krok naprzód, ale znieruchomiał, gdy Billy skierował ku niemu lufy dubeltówki.

- Pożegnaj się z nimi - warknął. - Żaden tuman nie będzie mi straszył chłopaka i jego dziewczyny, a potem robił ze mną interesy. Na co czekacie, gamonie, precz z tymi swoimi pieniędzmi! Mam dla was dwie nabite lufy, jak chceta której zakosztować.

W odpowiedzi usłyszał stek wyzwisk i gróźb, ale złoczyńcy wycofali się jak niepyszni i chwycili za wiosła. Ross przytulił mokrą i drżącą Meg, ale nie spuszczał oka z łodzi, aż całkiem znikła w ciemnościach. Dopiero wtedy powiedział:

- Dziękuję, Billy.

Stary obwieś uratował ich oboje, więc Ross gotów był ucałować go w oba policzki, choć jednocześnie miał chęć udusić za zadawanie się z przemytnikami.

Billy odchrząknął.

- Pora zabrać panienkę do domu, tylko o jej ubraniu nie zapomnij. Woda taka lodowata, że zamarznąć na śmierć można. - Podniósł tobolek. - Masz no tu jej klamoty. A gdzie twoje, chłopcze? Po mojemu, to oboje od góry do dołu żeście nieprzyzwoici.

- Jakbym słyszała ojca - tłumiąc nerwowy chichot, mruknęła Meg.

- Moje rzeczy leżą przy ścieżce. Billy, jeśli możesz, zrób z nich zawiniątko - poprosił Ross.

Wziął Meg na rękę, zanim zdążyła zaprotestować. Wilgotna i zmarznięta, przylgnęła do jego nagiej piersi.

- Ross, co ty wyprawiasz? - wyszeptała.



Jego serce mocniej zabiło. Była zarazem tak odważna i kusząco bezbronna...

- Niosę cię do domu - odparł dziarsko. - Zabierzesz ubrania? - Skinęła głową, a Billy podał jej tobolek. - Jutro przyjdę z tobą porozmawiać, stary łotrze.

Jak na starego łotra, nawet udała mu się skruszona mina.

- Nigdzie się nie wybieram. - Po tych słowach rozpląnął się w mroku.

- Nie możesz mnie dźwigać. - Meg poruszyła się niespokojnie. - Twoja noga...

- Już nie kuleję - zapewnił ją Ross, nie całkiem zgodnie z prawdą. Kiedy nie zwracał uwagi na dojmujący ból, udawało mu się nie kuśtykać. Teraz jednak mógł się skoncentrować wyłącznie na bliskości Meg.

Przytuliła się do niego ufnie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Ross, zaskoczony tak nietypową dla niej łagodnością.

- Wybacz - powiedziała tak cicho, że musiał się pochylić, aby ją dobrze słyszeć. - Nie powinnam była chodzić nocą na plażę.

- Nie miałem pojęcia, że umiesz pływać. - Zerknął na dom. W holu paliło się światło, lecz nie mógł pónagi wmaszerować głównym wejściem z roznegliżowaną ochmistrzynią na rękach. - Masz klucz do tylnych drzwi?

- Tak, w kieszeni. - Umilkła, a kiedy skreślił na ścieżkę prowadzącą na tyły budynku, dodała: - Nauczyłam się pływać w młyńskim stawie, gdy byłam dziewczynką, a mama żyła. Chciałam sprawdzić, czy nadal radzę sobie w wodzie, a poza tym... musiałam odpocząć od tego wszystkiego.

- Ja również.

- Penelope Hawkins wydaje się najodpowiedniejsza. Bratanica pastora - dodała Meg, wychwytyjąc tę samą zbieżność, co wcześniej Ross. - Przypadła mi do gustu. Nadaje się, prawda?

- Nie chcę żony, która się nadaje. Wolę dobrze wiedzieć, czego chcę, poza tym, że pragnę kochać się z tobą. - Wyczuł, jak zamarła w jego ramionach. Dobrze chociaż, że nie próbowała się wyrwać. - Jesteśmy w domu - oznajmił.

Ześliznęła się na ziemię i wręczyła mu zwinięte ubrania, żeby poszukać klucza.

- Wiesz, że już drugi raz tego wieczoru wspomniałeś o domu? Przestałeś go nazywać dworem.

- Tak, to prawda... - Coraz częściej myślał o tym budynku jak o swoim domu. Od-  
kąd Meg wprowadziła liczne zmiany, stał się zupełnie innym miejscem.

Otworzyła drzwi i weszli do pogrążonego w półmroku korytarza. Meg ruszyła  
przodem, a Ross zawiesił wzrok na jej biodrach wyraźnie zarysowanych pod mokrą hal-  
ką. Czy jest lekarstwo na taką żądzę? - dopytywał się w duchu buski rozpaczny.

- Muszę wziąć swoje ubranie - wychrypiał

- Ross? - Spojrzała mu w oczy.

Zadrżał targany pożądaniem, które musiał jakoś zwalczyć.

- Idź do łóżka - powiedział, marszcząc brwi. - Oddaj mi ubranie.

Wzdrygnęła się na jego ostry ton, ale Ross nie miał sił, by się tym przejmować. Po  
prostu musiał oddalić się od Meg jak najszybciej.

- Proszę. - Wcisnęła mu tobolek z odzieżą. - Dziękuję. Niewiele brakowało, a oboje  
zginęlibyśmy przez moją nieostrożność i głupotę. - Poczula za plecami gałkę u drzwi i  
przekręciła ją. Weszła do pokoju tyłem, nie odrywając wzroku od Rossa. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Gdy odszedł, zamknęła drzwi. W ciszy, która zapadła, Meg usłyszała ciche tyka-  
nie. Zdziwiona przejrzała swoje rzeczy i w pończochach natrafiła na kieszonkowy zega-  
rek Rossa. Popatrzyła uważnie na gładką, złotą kasetkę z wygrawerowanym herbem.  
Musiała oddać zgubę właścicielowi, i to z samego rana. Odłożyła ją na stół i zamarła. To  
była cenna rzecz, z pewnością odziedziczona po przodkach. A jeśli Ross zauważy brak  
zegarka i wróci na plażę, żeby go poszukać, po czym natknie się na przemytników?

Postanowiła natychmiast iść na górę, uchylić drzwi i zawiesić zegarek na gałce,  
gdzie Ross łatwo go znajdzie. Ściągnęła mokrą halkę, wytarła się ręcznikiem i włożyła  
nocną koszulę oraz peniuar. W domu panowała idealna cisza, kiedy boso przemykała się  
po schodach. Po chwili ostrożnie otworzyła drzwi sypialni Rosa i wsunęła rękę do środ-  
ka, żeby zawiesić zegarek.

- Krew. Boże, tyle krwi! Krew, wnętrzości i błoto...

Zamarła, słysząc rozzłoszczony, pełen cierpienia głos Rossa, zupełnie jakby mó-  
wienie sprawiało mu ból. Gdy jednak wymamrotał coś niezrozumiale, pojęła, że śpi i  
dręczą go koszmary.

Czuła się jak intruz, ale nie mogła przestać nasłuchiwać. Mówił tak, jakby brzydziło go to, kim jest. W takiej chwili nie wolno jej było zostawić go samego. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Nie obudziło go szczęknięcie zamka ani szelest jej bosych stóp na dywanie, kiedy podchodziła do łóżka.

Blask księżyca przenikał przez odsłonięte okno, oświetlając materac, na którym w zwiniętej pościeli leżał nagi Ross.

- Jeszcze żyw... Nie umiecie nawet palnąć mu w łeb, jak należy, wrzeszczy, jak Zarzynana świnia... Gińże, do czarta! Strzelać, raz jeszcze, ognia! No, w końcu. Trup, następny trup... Przeładować broń! Szybciej, czarci pomioście. Wszystkich trzeba powybijać. Giles, matka, Francuzi. Zabić ich wszystkich! Pozabijałem ich sam, a oni ciągle przychodzą.

- Ross... - Wstrząśnięta Meg chwyciła go za rękę, którą zaczął tłuc w pościel.

- Krew, fala za falą, morze krwi... Jakże tak, brodzić we krwi? Muszę znaleźć Meg, bo w niej utonie. Utopiłem ją we krwi jak wszystkich innych...

Rozszlochała się, widząc łzy na jego policzkach.

- Ross! - Pochyliła się nad potężnym, ale tak strasznie zgnębionym wojownikiem, chwyciła za ramiona i stanowczo potrząsnęła. - Ross, obudź się! Posłuchaj mnie, to ja, Meg!

Gwałtownie otworzył oczy, uniósł ręce i błyskawicznie usiadł, strząsając z siebie Meg jak muchę, i runął na nią jak na śmiertelnego wroga.

- Ross!

- Meg? - Zwolnił uścisk dłoni. - Boże, zrobiłem ci krzywdę? Co tu robisz?

- Nic mi nie jest. Przyniosłam twój zegarek, żeby zawiesić na klamce w twoim pokoju, ale miałeś straszny koszmar. Dlatego cię obudziłam.

Na moment zamknął oczy, a potem puścił Meg i przetoczył się na bok, żeby zapalić świecę przy łóżku.

- Ciągle mam przed oczami to, co mi się przyśniło - wyznał ponuro. - Jak zwykle, mnóstwo krwi i śmierci. Przykro mi, że musiałaś tego wysłuchiwać.

- Twoje słowa brzmiały bardzo plastycznie - powiedziała cicho. - Na dodatek wspomniałaś o Gilesie i matce.

- W pewnym sensie zabiłem także ich, a potem latami doskonaliłem się jako zabójca. Cóż, tyle jestem wart.

- Nie mów tak! - Uklękła i położyła ręce na jego ramionach. - Tam, na plaży chciałeś odesłać mnie do domu, a potem stawić czoło tym wszystkim łotrom. Niewiele brakowało, a zostałbyś ciężko poturbowany lub zabity. Mimo to chciałeś mnie bronić, a przecież zabójcy nie myślą w taki sposób.

- Szczerze mówiąc, nawet dobrze się bawiłem - wyznał autoironicznie - choć tylko do czasu, gdy się okazało, że tam jesteś i grozi ci niebezpieczeństwo.

- Oczywiście, jak każdy odważny mężczyzna. Sam widzisz, że nie jesteś ani zły, ani bezwartościowy. W dzieciństwie uczestniczyłeś w tragicznym wypadku, do którego doszło przez młodzieńczą bezmyślność i porywczność, nie możesz jednak karać się za to przez resztę życia. Czy uważano cię za dobrego oficera?

- Tak! - potwierdził z urazą, że w ogóle o to pyta. Meg stłumiła uśmiech.

- Zwykli zabójcy są bezwartościowi i nigdy nie stają się dobrymi oficerami, Ross. Wiem coś o tym, bo długie lata wędrowałam z wojskiem. Przejmujesz się swoimi czynami, co dowodzi, że nie pałasz żądzą krwi. I wiedz, że upiorne wspomnienia z czasem miną. Na statku nie śniły ci się koszmary, bo gdyby tak było, obudziłbyś mnie krzykiem.

- To prawda. - Cały czas wpatrywał się w Meg. - Być może jesteś moim lekarstwem i wybawieniem.

Zerknęła mu w oczy... i pocałowała go w usta, bez słowa wyznając mu, jak bardzo go potrzebuje.

Powoli, jakby z ociąganiem, odwzajemnił pocałunek.

- Meg - szepnął, kiedy oderwali od siebie wargi. - Sądziłem, że boisz się mnie, w końcu miałaś ku temu powody. Pragnę cię, ale czułem się zbyt wielki, zbyt brzydki i zbyt brutalny dla ciebie. - Chciała zaprotestować, ale uciszył ją gestem. - Uważałem, że nie zechcesz zostać ze mną, więc zaproponowałem, byś stała się moją utrzymanką. To miała być transakcja handlowa. - Potrząsnął głową. - W ostatnich tygodniach myślałem tylko o sobie...

- Przecież miałeś powody, które świetnie rozumiem. Kochaj się ze mną, Ross. - Wyczuła, jak znieruchomiał. - Weź mnie, ale nie jak swoją utrzymankę. Chcę być twoja tej nocy i nie myśleć o jutrze.

- Mój Boże, Meg, źle cię oceniłem - szepnął. - Nigdy nie powinienem był prosić, byś została moją utrzymanką. Zaslugujesz na przystojnego, młodego mężczyznę, a nie na pooranego bliznami, prześladowanego przez duchy przeszłości...

- Jeśli jeszcze raz nazwiesz się zabójcą, to cię uderzę - przerwała mu stanowczo. - Poza tym wcale nie chcę przystojnego młokosa. - Położyła dłonie na jego torsie. - Wiem wszystko o zapatrzonych w siebie urodziwych młodych oficerkach. Potrzebuję prawdziwego mężczyzny, Ross. Tej nocy pragnę cię. - Pragnęła dodać, że go kocha, ale czuła, że jeszcze na to za wcześnie.

Siedział bez ruchu, kiedy głaskała go po piersi. W końcu wsunęła rękę pod zmięte prześcieradło i patrząc Rossowi prosto w oczy, odważyła się na śmiałą pieszczotę.

- Pokładasz ogromną wiarę w moją samokontrolę - wyszeptał. - Tylko... Ach... Nie ruszaj dłonią.

- Nie? - przekomarzała się.

- Nie... - Nagle poruszył się niewiarygodnie szybko i Meg zorientowała się, że leży na plecach, bez peniuaru i nocnej koszuli, a Ross klęczy nad nią ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy. - Posłuchaj, nie stać mnie już na żadne subtelności i samokontrolę. Za bardzo cię pragnę. Jeśli chcesz się wycofać, zrób to teraz.

- Pamiętasz, jak na statku wyznałeś, że mnie pragniesz? Często wspominałam twoje słowa i wierz mi, chcę cię tak samo jak ty mnie... tu i teraz.

W odpowiedzi odrzucił kołdrę i ukląkł między jej nogami, rozchylając je ostrożnie.

- Powiedz mi, jeśli będzie cię bolało - szepnął.

Meg zamknęła oczy, czując na sobie ciężar jego ciała.

- Weź mnie, Ross, proszę. - Patrzyła mu w oczy, kiedy delikatnie ją pieścił, niepewny, czy powinien wierzyć jej na słowo. Jednak Meg zatopiła paznokcie w jego ramionach i całą sobą dała mu znak, że jest gotowa.

Wtedy się połączyli.

Przeżyła olśniewający moment czystej samowiedzy. To jest ten mężczyzna, na którego czekała latami.

Kochali się długo i namiętnie, dosięgli granicy miłosnego szaleństwa, a zarazem okazali wzajemną czułość i delikatność. To były doznania, których w najśmielszych snach sobie nie wymarzyli i których nie opiszą żadne słowa, lecz które tej nocy stały się ich własnością.

A gdy wreszcie znieruchomieli, w sypialni zapanowała cisza, zakłócana jedynie odgłosem ich przyśpieszonych oddechów.

- Meg - szepnął Ross, a potem wtulił głowę w jej ramię.

Po paru sekundach zorientowała się, że zasnął. Pogłaskała go po włosach.

- Kocham cię, Ross - wyszeptała, zapadając w głęboki sen.

TLR

## Rozdział szesnasty

- Meg, kochanie, obudź się.

Zamrugnęła, widząc pochylonego nad sobą Rossa.

- Mhm. - Wyciągnęła do niego rękę.

Po pierwszym szaleńczym wybuchu żądry mogli pieścić się powoli, odkrywać się, badać, rozkoszować bliskością i grą zmysłów.

- Już czwarta, właśnie usłyszałem bicie zegara. Musisz stąd iść.

- Och.

Zmysłowy nastrój prysł bez śladu. Meg usiadła w zmiętej pościeli i rozejrzała się wokół. Za oknem świtało, a nagi Ross stał na dywanie z rękami opartymi na biodrach. Pomyślała, że mogłaby przyglądać mu się bez końca.

- Co się stało? - spytał z uśmiechem.

- Lubię na ciebie patrzeć. - Z zachwytem zauważyła, że się zarumienił.

- Szelma z ciebie. - Pochylił się, by pocałować ją w usta. - Też lubię na ciebie patrzeć. - Ukląkł przy łóżku, ale już się nie uśmiechał. - Czy na pewno wszystko w porządku?

- Chodzi ci o naszą nocną przygodę czy o to, co się zdarzyło później?

- O jedno i drugie. Meg, czy nie powinienem był poczekać? Oboje byliśmy... roze-mocjonowani, a po sennej marze nie myślałem trzeźwo.

- Jeśli o mnie chodzi, czuję się zupełnie dobrze. - Pomyślała, że to niedomówienie, gdyż była wniebowzięta. - Mam nadzieję, że prędzej czy później i tak by do tego doszło. Dobrze, że zdobyłam się na odwagę, by powiedzieć ci, co czuję i czego mi potrzeba.

Otoczyła ramieniem jego szyję i ich usta ponownie się zetknęły. Kiedy Ross się odsunął, nie puściła go, więc wstając, pociągnął ją za sobą. Wtedy objęła go rękami i nogami, tuląc się do niego nagim ciałem.

- Meg, proszę cię, przestań. - Łagodnie oswobodził się z jej uścisku i posadził ją na łóżku. - Nigdy dotąd nie musiałem wykazywać się taką siłą woli. - Wręczył jej peniuar.

Owinęła się nim i z podkulonymi nogami oparła o wezglowie łóżka, a potem położyła brodę na kolanach, patrząc, jak Ross strzepuje jej nocną koszulę.

- Co się stało? - Zerknął na nią. - Bez obaw, nie poniesiemy żadnych konsekwencji. Byłem ostrożny.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie martwię się tym. Po prostu jestem senna. - Tak naprawdę myślała o tym, że nie będzie mogła tutaj zostać, kiedy Ross się ożeni. Co więcej, nosiła się z zamiarem opuszczenia go, gdy tylko ruszy w poważne konkury.

- Daj spokój. - Pocałował ją w czoło, a potem przyciągnął do siebie, żeby wstała z łóżka. - Dzisiejszej nocy znów przyjdź do mnie. - Na jego ustach zagościł uśmiech. - To łóżko jest znacznie większe od twojego.

- Zauważyłam.

- Przyjdiesz?

- Tylko jeśli uda mi się zrobić to dyskretnie. - Miała go dla siebie zaledwie na kilka tygodni, może na miesiąc z kawalkiem. Zabrakło jej sił, by negować własne uczucia i odmawiać mu tego, czego tak pragnął.

Spoglądał na nią zmysłowym, a zarazem pełnym szczęścia wzrokiem, kiedy przewiązywała peniuar w pasie. Dałam mu szczęście, pomyślała. Otworzył drzwi, do ostatniej chwili patrząc jej w oczy. I sobie również, dodała.

- Pani Halgate! Ostatniej nocy w zatoce byli szmuglerzy! - Rozgorączkowana Damaris postawiła przy wannie dwa wiadra z gorącą wodą.

- Wiem. O włos uniknęłam nieszczęścia. - Meg postanowiła wyjawic tyle prawdy, ile tylko się da. - Poszłam popływać...

- W morzu?! Proszę pani...

- Tak, w morzu. Usłyszałam wystrzał, więc pewnie ktoś ich przepłoszył.

- Och, a skąd pani wiedziała, że to szmuglerzy?

- Rozmawiali głośno, dlatego się domyśliłam.

- Jego Lordowska Mość i stary Billy Gillan ich wygonili - z przejęciem mówiła pokojówka, ustawiając parawan wokół wanny. - Perrott wszystko mi opowiedział. Wygląda na to, że była bijatyka! Powinna pani zobaczyć niewymownie milorda!

- Damaris! - Meg zrobiła odpowiednio karcącą minę, żeby zademonstrować, jak bardzo jest zszokowana wzmianką o męskiej bieliźnie. - Wyobrażasz sobie, jak się zaniepokoiłam? Byłam pewna, że w pobliżu nie ma nikogo!



- Och! - Damaris wytrzeszczyła oczy. - Te łotry mogły panią podglądać!

- Miałam na sobie halkę - oznajmiła Meg z naciskiem. - Poza tym było za ciemno, w blasku księżyca mało co widać. - Weszła do wanny i sięgnęła po myjkę. - Wylej mi ten dzban wody na głowę, dobrze? Muszę wypłukać z włosów sól.

Ross zarzucił strzelbę na ramię i z psem myśliwskim u nogi poszedł lasem do domu Billy'ego. Aż trudno mu było uwierzyć, że obfite i solidne śniadanie oraz wieczór pełen mocnych wrażeń i miłości z piękną kobietą mogą tak bardzo poprawić męskie samopoczucie.

- Tyle hałasu robisz, chłopcze, tymi wielkimi nogami, żeś całe ptactwo wypłoszył aż do Truro. - Billy wyszedł zza drzewa, kiedy Ross zbliżał się do jego domu.

- Nie wszyscy musimy skradać się potajemnie, żeby robić szemrane interesy, Billy.

- Ano tak. Ty to nie musisz, boś lord, bogacz i pan na tych ziemiach. - Poruszał szczękami i wypluł bryłkę przeżutego tytoniu.

- Po kiego zadajesz się z przemytnikami? - Ross od razu przystąpił do rzeczy. - Tregarne podejrzewa, że robisz szemrane interesy. Potrzebujesz pieniędzy? - Gdy Billy uparcie milczał, Ross się nie przejął, bo już w dzieciństwie nauczył się przy nim cierpliwości. - Nie śpiesz się, mogę czekać cały dzień.

- Przeklęty łowczy. - Billy skrzywił się paskudnie. - Wtyka nos w cudze sprawy. Chłopak rośnie, rozumu mu nie brak, no i Lily się zamartwia.

- Zatem chciałeś zebrać pieniądze dla Williama? Czy Lily powiedziała ci, co dla niego robię? Nie musisz już przejmować się jego przyszłością.

- Głupia dziewczyna, nic nie pojęła. Wszak nie uznasz nieślubnego dzieciaka swojego ojca, gdzieżby tam.

- Oczywiście, że go uznam - oznajmił Ross. - Już go uznałem, Billy, przecież to mój brat. Wiedz też, że podaruję im dom na terenie posiadłości oraz wyznaczę stałą kwotę na utrzymanie. Tobie też mogę zapewnić przyzwoity dach nad głową i trochę pieniędzy.

- Niby że co? Ja w domu z ogrodem i sąsiadami naokoło, co to by mnie na okrągło podglądali? Gdzie mnie tam do takich wygód. - Billy drgnął niespokojnie. - Ale jak mówisz po prawdzie, to dobrze robisz Lily i chłopakowi.

- Wiesz, że William pragnie zostać prawnikiem? - Gdy Billy skinął głową, ciągnął dalej: - Więc nie może mieć dziadka za kratkami, co? Jak cię zamkną za kłusowanie albo przemyt, to z jego planów nici. Kimber weźmie twojego wnuka na naukę, ale nie wtedy, gdy będziesz gnął w więzieniu w Truro.

- I niby co mam do garnka włożyć, jak czego sam nie złowię?

- Powiem Tregarne'owi, że jako dziadek mojego brata możesz polować i zastawiać pułapki, na co chcesz, ale tylko na moim terenie. I nie patrz tak na mnie - dodał Ross na widok jego chmurnego. - Nie obchodzi mnie, że odbieram ci ukochane zajęcie, to buszowanie po wszystkich lasach i kłusowanie z przemytnikami. Pomyśl o Williamie, ot co. Koniec z kontrabandą, koniec z grasowaniem po cudzych ziemiach, bo jak wpadniesz, to nic ci nie będę mógł pomóc. Tu mam władzę sędziowską, ale gdzie indziej już nie, rozumiesz?

- Na twardego mężczyznę żeś wyrósł, chłopcze.

Ross wiedział, że to zarazem pochwała i przeprosiny.

- Miałem dobrego nauczyciela.

- A co zamierzasz z tą cud-miód dziewczyną? - zainteresował się Billy, wyraźnie zadowolony z pretekstu do zmiany tematu.

- Cud-miód dziewczyną? - powtórzył Ross. - Hm, nie oponuję, że pani Halgate istotnie jest dość urodziwa. A odpowiadając na twoje pytanie, zamierzam trzymać ją z dala od kłopotów i takich jak ty starych łotrów. To moja ochmistrzyni.

- Tak? I niby po co jej było hasać nocą bez przyodziewku?

- Chciała popływać. Więcej tego nie uczyni.

- Hm. - Billy przewiesił strzelbę przez ramię, a kiedy strzelił palcami, czarno-biały pies wyskoczył z krzaków i do niego podbiegł. - Jak już masz dość zmywania mi głowy, to dam ci trochę potrawki z królika i opowiesz o tych swoich zalotach.

- Kto mówi, że się do kogoś zalecam? - zdumiał się Ross.

- Nikt mówić nie musi, bo sam mam oczy i widzę, jak powozy się do dworu zjeżdżają i eleganckie damulki przywożą.

- Powiniennem znaleźć sobie żonę i sprawić dziedzica - wyznał Ross, zastanawiając się, dlaczego czuje dziwną pustkę. Jakby zrobił coś złego, lecz nie miał pojęcia, co. Wzruszył ramionami i zrzucił to na karb niewyspania.

- A jakże - zgodził się Billy. - Więc do roboty, chłopcze, ale choć raz zawczasu pomyśl głową, nie czym innym.

Meg stanęła z Damaris pośrodku sypialni Rossa i ciężko westchnęła.

- Wiem, proszę pani - przyznała pokojówka. - Łatwo tu popaść w melancholię, prawda? Tak tu ciemno i cicho.

- Wszystko przez te zasłony. - Meg odwróciła się, starannie omijając wzrokiem łóżko. - Aksamit w kolorze ciemnej morwy jest niezwykle dystyngowany, ale staje się nie do wytrzymania w połączeniu z granatową farbą na ścianach, ciężkimi meblami i natłokiem przygnębiających obrazów. - Odwróciła się ponownie. - Okna są identyczne jak te w dużym pokoju po drugiej stronie schodów, prawda? Chodź, Damaris, mam pomysł.

Godzinę później Meg zaangażowała pokojówki do pracy przy wymianie jasnobłękitnych jedwabnych zasłon z głównego pokoju dla gości na morwowe aksamitne z pokoju Rossa. Sama poszła poszukać odpowiednich obrazów, które zamierzała powiesić na miejscu kolekcji posepnych, siedemnastowiecznych portretów, które ktoś nie wiedząc czemu zawiesił w sypialni. Była pewna, że natrafi na kilka krajobrazów nadmorskich. Na wspomnienie plaży zarumieniła się lekko i z uśmiechem stanęła na progu biblioteki.

- Au!

W środku rozległo się przyciszone jęknięcie, huk i stłumione przekleństwo. Na pewno nie był to Ross, gdyż przebywał poza domem, a zresztą poznałaby go po głosie. Pokojówki już zakończyły pracę w tej części domu, a lokaje zmagali się z karniszami.

Meg ostrożnie pchnęła drzwi i jej oczom ukazał się młodzieniec, który w kucki porządkował stertę rozsypanych książek. Gdy wstał na jej widok, od razu dostrzegła w nim podobieństwo do Rossa. Był równie wysoki, miał czarne włosy i wyrazistą szczękę.

- Nie są zniszczone - wykrztusił chłopak.

Od razu zwróciła uwagę na jego charakterystyczny, kornwalijski akcent.

- Tak, widzę, że to był wypadek. - Popatrzyła mu w oczy i zauważyła, że mają nie-  
spotykaną bursztynową barwę. - Jesteś wnukiem Billy'ego, prawda? - I bratem Rossa,  
dodała w myślach.

- Tak, proszę pani. Mam na imię William. Jego Lordowska Mość... znaczy się Ross  
pozwolił mi pożyczać książki.

- Nazywam się Halgate i jestem ochmistrzynią. - Uznała, że William jest człon-  
kiem rodziny, więc powinna traktować go z szacunkiem. Tylko czy Ross zamierzał go  
uznać? - Może pomogę ci coś znaleźć?

- Jeszcze nigdy nie widziałem tylu książek.

- Co lubisz czytać? - spytała Meg, zastanawiając się, jak dobrze chłopak zna litery i  
czy w ogóle chodził do szkoły.

- Co popadnie - odparł z uśmiechem. - Gazety, Biblię... cokolwiek.

- Rozumiem. - Zdjęła z półki „Podróże Guliwera”. - Twój brat lubi tę pozycję. A to  
są legendy kornwalijskie, spodobają ci się ryciny. - Położyła książki na stole i wskazała  
krzesło obok siebie. - Usiądź, razem obejrzymy.

Wkrótce cały blat był zasłonięty książkami, a Meg i William odczytywali fragmen-  
ty na głos. W pewnej chwili usłyszeli za plecami jakiś hałas.

Meg odwróciła się i ujrzała Rossa, który oparł się ręką o framugę i wchodził przez  
okno o niskim parapecie. Na widok zaczytanej pary zamarł, jakby zobaczył ducha.

- Dzień dobry, Wasza Lordowska Mość - powitała go Meg, wstając z krzesła. - Za-  
raz poukładam książki z powrotem.

William zerwał się z miejsca.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją Ross. - Pozwoliłem bratu korzystać z biblio-  
teki.

- Sam chętnie posprzątam - zaproponował pośpiesznie William. - Pani Halgate  
pomagała mi zapoznać się z księgozbiorem.

- Zauważyłem. - Ross uśmiechnął się do Meg

Był to taki uśmiech, że aż zakręciło się jej w głowie. Ciepły, dobry, tylko dla niej...

- Pójdę sprawdzić, czy służba skończyła już pracę w sypialni milorda - oznajmiła wciąż jeszcze oszołomiona. - Wymieniliśmy zasłony, niestety dotąd nie znalazłam nadmorskich krajobrazów, żeby zastąpić portrety. Za pozwoleniem...

Ross powiódł za nią zachwyconym wzrokiem, gdy wychodziła.

- To bardzo miła pani - powiedział William. - Bardzo mi pomogła, od razu ją polubiłem.

- Tak... - Ross spojrział na stół i sięgnął po „Podróże Guliwera”. - Ja również.

TLR

## Rozdział siedemnasty

List od Patricka Jagona był krótki i brutalnie jasny.

*Droga Pani,*

*Z żalem informuję, że nie udało mi się znaleźć żadnych wskazówek, dotyczących obecnego miejsca pobytu Pani siostr. Mam całkowitą pewność w związku z trzema sprawami. Po pierwsze, aktualne pozostają wiadomości, które zawarłem w poprzednim liście. Po drugie, w rejestrach parafii w promieniu dziesięciu mil nie dokonano żadnych wpisów pod nazwiskiem Pani siostr. Po trzecie, nie przebywają w domu pastora ani w przyległych budynkach. Spieszę wyznać ze skruchą, że w ostatnią niedzielę, podczas porannej mszy, dokonałem gruntownego przeszukania wyżej wzmiankowanych.*

*Obecnie bawię w Londynie. Pytałem we wszystkich gospodach przyjmujących pasażerów ze Wschodniej Anglii, na wypadek gdyby Pani siostry wybrały się do stolicy. Rzecz w tym, że minęło wiele miesięcy od ich zniknięcia, bez zdziwienia zatem przyjąłem wiadomość, że nikt nie pamięta dwóch podróżujących dam.*

*Ponieważ zatrzymała mnie inna, osobista kwestia, jeszcze przez pewien czas pozostanę tutaj, w Belle Sauvage na Ludgate Hill, i pod ten adres proszę kierować ewentualną korespondencję.*

*Zasylam pozdrowienia*

*Szczerze oddany...*

- I tak dalej - mruknęła Meg, składając list.

- Żadnych dobrych wieści? - Pani Harris naląła jej filiżankę herbaty.

- Żadnych dobrych, ale i żadnych złych. - Doskonale wiedziała, co Jago miał na myśli, pisząc o rejestrach parafialnych. Sprawdził, kto ostatnio został pochowany.

- Dzięki Bogu. - Kucharka odetchnęła z ulgą. - I tak najadła się pani strachu wczoraj w nocy z tymi niegodziwymi szmuglerami. Co za szczęście, że już wracała pani do domu, zanim dobili do brzegu.

- W ogóle nie powinnam była iść na plażę - wyznała Meg. - Czułam lekkie... wzburzenie i pomyślałam, że kąpiel w morzu dobrze mi zrobi.

- Nie dziwota, że się pani źle czuła. Nie dość, że ma pani zgryzotę z siostrami, to jeszcze to całe wielkie przyjęcie na głowie. W dodatku milord nie znalazł żadnej, co to by ją polubił, w każdym razie ja tam nic nie zauważyłam. Nie doszły mnie żadne słuchy, żeby potem poszedł odwiedzać jakieś damy, a to znaczy, że niedługo trzeba będzie wyszukać następne przyjęcie dla nowych panien na wydaniu. Jeszcze wspomnicie moje słowa.

- To pewne, pani Harris. Przecież Jego Lordowska Mość to mężczyzna co się zowie, do tego w sile wieku, więc powinien się ustatkować i założyć rodzinę.

- Podobnież jego rodzina już się powiększyła - wtrącił Perrott, nakładając solidną porcję śmietany na babeczkę upieczoną przez panią Harris. - Obiło mi się o uszy, że ma brata i szykuje się jakiś skandal.

- Przyrodniego brata - sprostowała pani Harris. - William Gillan się nazywa. Znam go, miły chłopak, choć za dziadka ma tego starego obwiesia Billy'ego. Lily, matka Williama, to dobra kobieta i na przyzwoitego człowieka go chowa. A z tego wstydu i hańby, co jej stary baron przysporzył, to nie ona przed Bogiem się będzie tłumaczyć, bo uczciwa z niej była dziewczyna. Krzywdziciela Pan osądzi, a nie jego ofiarę - dokończyła z ogniem w oczach.

- Co racja, to racja, ale i tak mało który dżentelmen potrafi się przyznać, że ma w rodzinie bękarta - skomentował Perrott, racząc się babeczką z dżemem i śmietaną.

- Jego Lordowska Mość chce zatrudnić korepetytora, uczyć chłopaka na prawnika i pozwolił mu swobodnie chodzić po domu.

- Przyszłej pani baronowej nie musi się to spodobać - stwierdził Heneage. - A jeśli się sprzeciwi? Dla niejednej damy byłoby to nie do przyjęcia. Albo uzna, że chłopak to syn nie starego, a młodego barona. O ile pamiętam, panicz Ross lubił broić.

- W takim razie Jego Lordowska Mość lepiej sobie poradzi bez takiej żony. - Zniecierpliwiona Meg hałaśliwie odstawiła filiżankę na spodku i wstała. - Jeśli będzie przedkładała pozory nad rodzinne uczucia i to, co dobre, a w dodatku nie uwierzy Jego Lor-

dowskiej Mości na słowo, to na niego nie zasługuje, i kropka. A teraz przepraszam, ale muszę w samotności pomyśleć o liście od pana Jagona.

Zamykając za sobą drzwi, usłyszała przyciszone gwizdnięcie Perrotta i zamarła z dłonią na klamce.

- Nasza ochmistrzyni zareagowała trochę zbyt gwałtownie! - mruknął zaskoczony lokaj. - Jak myślicie, czy...

- Bardzo się staram nie myśleć, Perrott - stanowczo przerwał mu Heneage. - Myślenie prowadzi do urojeń, a tego nie popieram. Na pewno nie na temat rodziny.

Meg cicho domknęła drzwi i sztywnym krokiem przeszła do rustykalnej altanki z widokiem na ogród różany, usiadła na ławce i pogрузzyła się w rozmyślaniach. Wyglądało na to, że zdradziła się przed wyższą służbą. Wierzyła w jej dyskrecję i życzliwość, niemniej wystarczyła tylko pogłoska, żeby okoliczne ziemiaństwo dobrze się zastanowiło przed swataniem z baronem Brandonem swoich cennych córek. Do tego wiele osób będzie utrzymywać, że Ross niepotrzebnie przyznał się do przyrodniego brata, rozniosą się też plotki o intymnych kontaktach milorda z ochmistrzynią. To z pewnością doprowadzi do skandalu.

A co z Bellą i Liną? Stało się coś, czego nie zakładała: śledczy ich nie znalazł. Może więc sama powinna pojechać do Londynu, poszukać tam pracy i dać ogłoszenia, że poszukuje zaginionych sióstr? Musiała policzyć, ile jeszcze ma pieniędzy, i zastanowić się, jak długo jeszcze może tutaj pozostać.

Po namyśle postanowiła, że tej nocy odwiedzi Rossa i przez najbliższy tydzień będzie do niego przychodziła każdego wieczoru, o ile on tego zechce. Na więcej nie mogła sobie pozwolić. Otrzyma dar siedmiu nocy, a potem ona wyjedzie. Musiała zniknąć z jego życia i poświęcić się poszukiwaniu sióstr oraz budowaniu własnej przyszłości.

Zegar na półpiętrze wybił pierwszą jak zwykle o pięć minut za późno. Meg na moment znieruchomiła z dłonią na dębowej boazerii pokrywającej drzwi do sypialni Rossa.

Podjęła decyzję, wyznaczyła sobie limit i musiała postępować zgodnie z planem. Pozostało jej tylko cieszyć się nadchodzącymi dniami, gdyż wkrótce te wspomnienia



miały pozostać jej jedyną pamiątką po Rossie. Obróciła gałkę i niepewnie wśliznęła się do środka.

- Meg. - Ross wstał z fotela przy kominku, upuszczając książkę na podłogę. Ubrany był w elegancki szlafrok z orientalnego brokatu, który mienił się złotem i srebrem w płomieniach świec rozstawionych po całej sypialni. - Dziękuję ci za ten pokój - rzekł szczerze. - Tyle tu morskich akcentów... Przypominają mi o naszej podróży statkiem.

- Kiedy cierpiałeś z bólu, nudziłeś się jak mops i ciężko przeżywałeś dramatyczną zmianę w życiu? - Oparła się plecami o drzwi.

- Jakże mógłbym nudzić się przy tobie, Meg? - Nie spuszczał z niej wzroku. - Co się stało?

- Nic. - Uświadomiła sobie, że Ross jest nie tylko rozpromieniony, ale też... szczęśliwy! Wreszcie czuł się jak w domu, a zadowolenie złagodziło jego surowe rysy. - Masz wspaniały szlafrok - zauważyła, żeby zmienić temat.

- Antyk. Perrott wygrzebał go w którejś z szaf. Poruszył się, a wtedy zauważyła skrawek nagiego torsu. A więc pod brokatem był całkiem nagi!

Siedem nocy, ukochany, pomyślała i podeszła do niego, żeby wsunąć palce w jego dłoń. Przyciągnął ją bliżej, a wtedy przytuliła policzek do chłodnego materiału. Pachniał drzewem sandałowym, w którym przechowywano szlafrok. Meg powoli rozchyliła poły, żeby poczuć zapach Rossa.

- Mhm - zamruczała z rozkoszą.

- Mhm? - Musnął wargami odsłonięty fragment jej szyi.

- Jesteś pyszny. - Dotknęła końcem języka gorącej skóry Rossa i polizała go po obojczyku.

- Ty też - zauważył. - Bez soli i piasku jesteś jeszcze smaczniejsza.

Język Rossa rozkosznie tańczył w okolicach jej ucha. Meg z aprobatą przechyliła głowę, odszukała palcami pasek jego szlafroka i rozplątała węzeł. Ubranie się rozchyliło, odsłaniając rozpalone męskie ciało w pełnej gotowości. Wstrzymała oddech. Czy zawsze tak łatwo go pobudzić, czy też dostrzegął w niej coś, co mu się wyjątkowo podobało?

- To niesprawiedliwe. - Sprawnie pasek sznurek peniuaru Meg, który następnie ściągnął jej z ramion, żeby rozsypać kokardki skromnej, praktycznej koszuli nocnej. W

konsekwencji tych poczynań ubranie Meg zsunęło się na podłogę. - A teraz pozwól, że nasycę tobą wzrok. - Powstrzymał jej ręce, którymi próbowała skromnie się zasłonić. - Jesteś taka delikatna. Dlaczego wcześniej nie zwróciłem na to uwagi? Gdy traciłem przytomność i byłem bezwładny, utrzymałaś mnie w rzece, radziłaś sobie z wszystkimi trudami obozowego życia. Nawet wczoraj w nocy, gdy byłaś zupełnie naga, nie zauważyłem, jaka jesteś krucha i subtelna. - Łagodnie pogłaskał ją po piersiach i przesunął dłonie na krągłe biodra. - A ja posiadałem cię mocno, szybko i samolubnie.

- Wcale nie samolubnie. - Ponownie położyła jego dłoń na swojej piersi. - Pragnęłam cię równie mocno, jak ty mnie. Dzięki tobie poczułam się tak dobrze jak nigdy. - Zaczęła go pieścić jak wczoraj, z czułą śmiałością, by poczuł jak największą rozkosz.

- Meg, jeśli nie przestaniesz, znowu będę szybki i stanowczy.

- Mamy dla siebie całą noc.

- Tak, całą noc - powtórzył cicho. - Powiedz, czego pragniesz tej nocy.

- Wiesz, Ross. Tego, czego i ty.

- To dobrze, Meg. To bardzo dobrze. - Wszedł w nią, wsłuchując się w jej głos, kiedy raz po raz wymawiała jego imię, by w końcu je wykrzyczeć.

Ross usłyszał, jak zegar wybija trzecią, i poruszył się, czując na ramieniu głowę Meg. Podjął ostateczną decyzję, gdyż wiedział już, czego chce. Szaleństwem byłoby wiązanie się z młodą kobietą, z którą nic go nie łączyło. Po cóż miałby na siłę brać ślub albo czekać nie wiadomo jak długo, aż się zakocha? Poza tym wcale nie był przekonany, że znajdzie ukochaną na całe życie. Przecież miłość to tylko przejściowy stan zaburzenia równowagi umysłowej.

Ostrożnie odsunął się od Meg, która zamruczała coś przez sen, a następnie wstał z łóżka, włożył szlafrok i nalał dwa kieliszki czerwonego wina. Przysunął nocny stolik i delikatnie okrył Meg kołdrą, nie chciał bowiem, aby jej kształty rozpraszały jego uwagę. Potem usiadł na skraju materaca i oparł się o słup w rogu łóżka. Czas mijał, aż zegar wybił wpół do piątej.

- Meg?

Dopiero po dłuższej chwili udało mu się ją obudzić na tyle, by zerknęła na niego spod kołdry.

- Ross. - Usiadła i uśmiechnęła się szeroko. - Wracaj do łóżka.

- Nie. Musimy porozmawiać. - Gdy to usłyszała, ciepły uśmiech znikł z jej ust. -

Na stoliku stoi lampka wina dla ciebie. Za moją damę. - Wypił łyczek.

- Za mojego lorda. - Z wahaniem również spełniła toast.

- Muszę jechać do Londynu.

Meg zakrztusiła się i odstawiła kieliszek.

- Kiedy?

- Pojutrze. - Zamknęła oczy, a jemu wydało się, że wyszeptała: „Jednak tylko dwa”. - Otrzymałem kolejny list od mojego zarządcy finansowego, który nalega, bym podjął kilka ważkich decyzji. Sprawa jest złożona, więc korespondencyjnie się tego nie załatwi. Nie mogę już dłużej odwlekać spotkania. Meg, pojedź ze mną.

- Do Londynu? - zdumiała się.

- Tak. - Postanowił wreszcie zadać pytanie, które dręczyło go od dawna. - Meg, czy zechcesz zostać...

- Mam być twoją utrzymanką? - W jej oczach zabłyśły łzy. - Rozumiem... Chcesz mnie umieścić w londyńskim domu i mieć do swojej wyłącznej dyspozycji.

- Nie, Meg. Słuchaj uważnie i nie przerywaj mi, dobrze? - Kiedy posłała mu złowrogie spojrzenie, miał ochotę wybuchnąć śmiechem. - Meg, czy pojedziesz ze mną do Londynu i zostaniesz moją żoną?

## Rozdział osiemnasty

- Miałabym... wyjść za ciebie? - Meg nerwowo sięgnęła po kieliszek i opróżniła go jednym haustem. - Dlaczego?

- Bo uważam, że pasujemy do siebie. - Ross zmarszczył brwi, ogólnie jednak zachował spokój, choć jego oświadczyzny nie zostały przyjęte zbyt entuzjastycznie. - Potrzebuję żony, a my dobrze czujemy się razem nie tylko w łóżku. Chyba nie masz innych planów?

- Innych planów? Na pewno nie tego typu. - Wzdrygnęła się.

Nie, to jej się śniło, nie musiała się szczypać.

- Ross, nie musisz żenić się ze mną tylko dlatego, że poszliśmy do łóżka, a ja nie zgodziłam się zostać twoją utrzymanką. Na litość boską, nie byłam dziewicą, nie uwiodłeś mnie. Czy honor nakazuje ci się oświadczyć?

- Do diabła z moim honorem. - Zaczęła ogarniać go złość. - Daję ci tytuł, wygody, dom, a także piekielnie dobrą miłość... Czy to zbyt mało?

- Piekielnie dobrą miłość?

- Niedawno głośno dawałaś wyraz zadowoleniu - wyjaśnił chełpliwie.

- Istotnie. - Nadal płonęła po pieszczotach Rossa. - Było mi dobrze - przyznała z rumieńcem. - Po prostu zaskoczyłeś mnie, dołączając sprawy łóżkowe do listy korzyści, które mi proponujesz. - Uśmiechnęła się, a z jego twarzy znikła irytacja. - A nie pomyślałeś o tym, że pewnego dnia się zakochasz? Co wówczas pomyślisz o tak nieroztropnym uczynku jak ożenek z ochmistrzynią?

- Zapragnąłem cię, potem polubiłem. Czy to nie jest solidna podstawa małżeństwa? Jeśli zostaniesz moją żoną, nie będę szukał młodych dam, w których mógłbym się zakochać, nie obawiaj się tego.

- Innymi słowy, będziesz miał brzuch napęczniony prostym, solidnym posiłkiem, więc nie zainteresujesz się bankietem? - Usiłowała żartować, ale myśli w huraganowym tempie przelatowały jej przez głowę. Ślub z Rossem. Marzenie, fantazja, której nigdy nie ośmieliła się brać pod uwagę. - Pewnego dnia zatęsknisz za kimś, kogo mógłbyś obdarzyć prawdziwą miłością. - A wtedy pęknie mi serce, dodała w duchu.

- Meg, przecież wiem, że już kiedyś wyszłaś za mąż powodowana uczuciem. Nie mogę ci ofiarować pierwszej, niewinnej miłości. Nie jestem młodzieńcem, który wyrusza na wojnę i składa swojej ukochanej żarliwą obietnicę płynącą z gorącego, romantycznego uczucia. - Zauważył, jak Meg się zdrygnęła. - Ale przecież łączy nas naprawdę dużo. Nigdy cię nie zdradzę, Meg, przysięgam. Masz na to moje słowo.

Wiedziała, że mówił szczerze, i nagle zaczęła się wahać. Czy na pewno powinna odrzucić oświadczenia? Tylko jak miałyby wyznać prawdę o Jamesie, skoro wtedy Ross by się dowiedział, kim naprawdę była? Czy mogła mu wyjawiać, że wyszła za mężczyznę, który był już żonaty? Który ją oszukał? Odkryła prawdę dopiero w chwili otwarcia testamentu. Wtedy okazało się, że James Halgate miał żonę, którą porzucił. Bezmyślnie związał się z dziewczyną, którą poznał podczas pijackiej eskapady po Londynie, kiedy wyjechał z rodzinnego domu, by się wyszumieć.

Dziękuję ci za wspaniałomyślną propozycję, mogłaby powiedzieć Rossowi. Tyle tylko, że byłam żoną bigamisty, co mi zrujnowało życie. Kiedy doktor Ferguson zaopiekował się mną, żony oficerów z pułku już mnie odrzuciły i napiętnowały towarzystwo.

Nie, nie mogła tego powiedzieć. Na samą myśl o upokorzeniu i wstrząsie, którego doświadczyła po zdradzie męża, łzy napłynęły jej do oczu.

- Jesteś arystokratą, masz pozycję w wyższych sferach - uciekła się do racjonalnych argumentów. - A ja jestem tylko drugą córką pastora z małej parafii w hrabstwie Suffolk. Nie zapewnię ci ani koneksji, ani posagu.

- Naprawdę oceniasz mnie tak nisko? Uważasz, że poluję na zamożną żonę, która wprowadzi mnie w najwyższe sfery? - Wpatrywał się w nią badawczo, jakby wyczuwał, że Meg coś ukrywa.

- Och, przecież wiesz, że nie.

- W takim razie jedź ze mną do Londynu, Meg. Dla zachowania pozorów zabierz ze sobą Damaris. Wyjedź stąd jako moja ochmistrzyni, która musi wraz ze mną ocenić mój dom. A wrócisz tu już jako moja żona.

Musiała mu odmówić. Wszyscy zaczęliby mówić o tym, że ochmistrzyni wyszła za lorda Brandona, i ta informacja dotarłaby do kogoś w Londynie, kto zna ujawnioną w

Hiszpanii prawdę. Szybko zaczęto by mówić również w Kornwalii, co upokorzyłoby Rossa. Jak mogła narazić na szwank jego dumę i honor? Przecież z pewnością nie zaakceptowałyby żony, której skandaliczna przeszłość jest tajemnicą poliszynela.

Meg mogła odrzucić oświadczyzny bez podawania przyczyn albo wyjawić prawdę, a potem odmówić zamążpójścia, gdyż jako człowiek honoru Ross niewątpliwie nie wycofałby propozycji.

- Muszę się zastanowić - oświadczyła, zdumiewając samą siebie.

Przecież nie to zamierzała powiedzieć! Zrozumiała, że nadal wierzy w szczęśliwą przyszłość u boku Rossa. Tylko jak miała naprawić dotychczasowe błędy? On mnie nie kocha, powiedziała sobie, a ja nie mogę żyć w związku pozbawionym miłości.

- Proponuję, żebyś pojechała ze mną i zastanowiła się po drodze - zasugerował z kamienną miną. Zachowując dystans, próbował nie zdradzić, że jest urażony lub nawet zraniony.

- Kochasz go, a miłość wszystko zwycięża - powiedziała Bella, pomagając Meg w ucieczce z Jamesem.

- Dobrze, pojedę z tobą - oświadczyła. - Mam obejrzeć twój dom, więc weźmiemy Damaris, przyda się, ma praktyczne oko. Tak dawno nie byłam w Londynie...

- Czy tam wzięłaś ślub?

- Tak. James zdobył pieniądze na licencję i skłamał, że ma przyzwolenie mojego ojca. Na pewno wiedział, że papa w razie konieczności nie zaprzeczy z obawy przed skandalem, który wyniknąłby z mojej ucieczki. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że pastor udzielający im ślubu musiał domyślać się prawdy. Zapamiętała, że przyjął pieniądze z chytrym uśmieszkiem i wielce rad wsunął gotówkę do sakiewki. Bardziej obyta w świecie dziewczyna od razu by to pojęła, ale panna Margaret Shelley była naiwną młodką. - Tyle że nie zwiedziłam stolicy. - Zapamiętała tylko ciasny i brzydki pokój w gospodzie, w którym spędzili noc poślubną, i jeszcze labirynt wąskich uliczek londyńskiego City. Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie pomarańczarki z koszykiem. Owoce wydawały się oślepiająco jaskrawe na tle szarych murów.

- Razem obejrzymy miasto, dobrze? To moja pierwsza wyprawa do stolicy. Rodzice nie widzieli sensu w zabieraniu nas do Londynu, kiedy byliśmy dziećmi.

- Naprawdę nigdy tam nie byłeś? Ale się dziwić, skoro uciekłeś z domu, mając siedemnaście lat. Zabierzesz Perrotta? Tylko marzy o tym, by zaprowadzić ciebie do krawców, kapeluszników i szewców, choć jak znam ciebie, rozczarujesz go odmową.

- Niekoniecznie. - Wstał z łóżka. - Żonaty mężczyzna powinien być schludnie ubrany, nie sądzisz?

- Ross... - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Proszę, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Naprawdę nie wiem, co postanowię. Zrozum, nic nie mogę ci obiecać.

- Nawet nadziei?

- Niestety. - Pośpiesznie włożyła nocną koszulę. - Przykro mi.

Damaris i Perrott nie mieli pojęcia o rozterkach swojego pracodawcy oraz jego ochmistrzyni i traktowali wyjazd do Londynu jak nieoczekiwane wakacje. Nawet niewygody podróży powozem pocztowym nie popsęły humoru pokojówce.

- Kołysze jak na łodzi rybackiej wuja Henry'ego - oświadczyła pogodnie, gdy Meg wyglądała przez okno, usiłując skupić uwagę na czymś innymi niż sensacje żołądkowe oraz Ross.

Pierwszą noc spędzili w Ashburton, drugą w Andover. W obu wypadkach Meg i Damaris zajmowały jeden pokój, Ross i Perrott drugi. Jadali wspólnie w prywatnym saloniku. Ross dbał o to, by rozmowy podczas posiłków koncentrowały się wyłącznie na neutralnych tematach, a w powozie zajmował się czytaniem korespondencji i sporządzaniem notatek. Damaris i Perrott grali w karty albo podziwiali widoki za oknem, a Meg rozmyślała. Pomimo trojga towarzyszy podróży czuła się dziwnie samotna.

Głębokie rozważania nie zaowocowały jednak żadnymi wnioskami, więc ciężko westchnęła, kiedy powóz zajeżdżał przed dom przy Clarges Street. Jak wyjaśnił Ross, znajdowali się w Mayfair. Meg rozejrzała się i od razu stało się dla niej jasne, że trafili do najmodniejszej części Londynu. Ogrodzenie wokół budynku prezentowało się bardzo wykwintnie, podobnie jak szerokie drzwi wejściowe z mosiężnymi okuciami oraz błyszcząca kołatką. Za porządek odpowiadała kucharka, która pod nieobecność rodziny pełniła także funkcję ochmistrzyni i wyglądało na to, że zna się na swoim fachu.

- Uprzedziłem ich listownie o naszym przyjeździe - powiedział Ross, gdy drzwi się otwierały.

- Wasza Lordowska Mość. - Kamerdyner, który stanął na progu, był młodszy od Heneage'a. Jego frak wydawał się staranniejszy, a mucha wyglądała schludniej.

Meg z uśmiechem pomyślała, że to widocznie specyfika Londynu. Ross odwrócił się do niej, jakby chciał puścić ją przodem. Dopiero po sekundzie przypomniał sobie, że jest tylko ochmistrzynią i wszedł pierwszy na czele gromadki wiejskiej służby.

- Woodward. - Ross skinął głową kamerdynerowi, a dwóch wysokich lokajów zeszło po bagaże. - To jest pani Halgate, moja nowa ochmistrzyni, Perrot, mój lokaj, oraz Damaris, pokojówka pani Halgate. Nie wątpię, że zadbasz o ich komfort. Pani Halgate, zechce pani przyjść do mnie na podwieczorek, abyśmy mogli podyskutować o zmianach, które warto wprowadzić w wystroju domu.

- Milordzie. - Meg pochyliła głowę w ukłonie. - Sporządzę listę.

- I cóż? - spytał Ross, kiedy Meg dygnęła i zajęła miejsce za tacą z herbatą. - Dziękuję ci, Felton, to wszystko.

Lokaj ukłonił się i wyszedł, a Meg rozstawiła filiżanki. Ross zauważył, że jest bardzo blada. Czyżby źle się czuła? Brakowało mu jej w łóżku i chciałby z nią pogawędzić, ale wolał nie dawać służbie tematu do plotek.

- Doskonale, Wasza Lordowska Mość. Dom jest przyjemny, choć nieco ciemny i zagracony.

- Nie to miałem na myśli. Czy choć przez chwilę zastanowiłaś się nad moimi oświadczeniami?

- Myślałam prawie wyłącznie o nich. - Nalała herbaty, którą następnie zamieszała maleńką łyżeczką. Ross uznała że Meg koncentruje się na tej prostej czynności, żeby nie patrzeć mu w oczy. - Mleka czy cytryny, milordzie?

- Cytryny. Meg, czy możesz mi udzielić odpowiedzi.

- Nie. - Drżącą dłonią wręczyła mu filiżankę z delikatnej porcelany. - Mam mętlik w głowie, nie śpiam nocami, a wszystko dlatego, że cię pragnę. - Hałaśliwie odstawiła filiżankę i skrzywiła się, jakby przeszył ją ból. Ross zerwał się krzesła, ale powstrzymała go ruchem ręki. - Wszystko w porządku. Po prostu jestem zmęczona po podróży, a w dodatku musiałam zaznajomić się z domem, nic ponadto.



- Czy służba traktuje cię z należyтым szacunkiem? - Szykował się, by wziąć ją w ramiona i przytulić, gdyby się rozplakała. Nie cierpiał siebie za to, co z nią robił, ale nic nie mógł na to poradzić. - Rozmawiałem z Woodwardem i z panią Richmond. Wyjaśniłem im, że jesteś wdową po oficerze, którą okoliczności przymusiły do podjęcia pracy na tym stanowisku.

- Wszyscy odnoszą się do mnie bardzo dobrze. Ross, nie mogę ci odpowiedzieć na pytanie.

- Jedź ze mną jutro - zaproponował spontanicznie.

- Najpierw muszę udać się do City, żeby podpisać dokumenty, ale podczas dzisiejszego spotkania wyjaśniłem już większość wątpliwości, więc w krótkim czasie będę wolny. Potem zwiedzimy Londyn.

- Sami?

- W otwartym powozie, z lokajem z tyłu. Nikt nie powinien mieć zastrzeżeń.

- Tak, w istocie - przyznała Meg niepewnie, jakby była bliska płaczu. - Twoje propozycje są nad wyraz kuszące, Ross.

Później, podczas porządkowania dokumentów prawniczych, myślał o tym, że powinien się zadowolić zgodą Meg na wyjazd i skupić uwagę na interesach, lecz przed oczami ciągle miał jej bladą twarz z podkrążonymi oczami. Mówiła z napięciem, jakby miała trudności z formułowaniem myśli nawet w prostych sprawach.

Czyżbym ją terroryzował? - dociekał, masując skronie. Przecież nie udawała namiętności, gdy się kochali. Poza tym była silną kobietą i umiałaby odmówić, gdyby nie miała na coś ochoty. Innymi słowy, nadal mógł żywić nadzieję, gdyż jej bezsenność i niepokój musiały wynikać z niepewności.

## Rozdział dziewiętnasty

- Wyszperałem w bibliotece przewodnik, a ponieważ jesteśmy w City, proponuję zacząć zwiedzanie właśnie tutaj. Do wyboru mamy Tower, ratusz, katedrę Świętego Pawła oraz siedzibę Banku Anglii. Od czego zaczniemy?

- Od Tower, jeśli można, Wasza Lordowska Mość - zasugerowała Meg, świadoma obecności lokaja, który jechał wraz z nimi otwartym powozem. - To miejsce wydaje się najbardziej romantyczne. Czuję się jak prostytutka ze wsi, gdyż patrzę na wszystko szeroko otwartymi oczami i mogę polegać tylko na przewodniku.

- Na dodatek wydrukowanym przed piętnastu laty - dodał Ross z uśmiechem. - Jenkins, jedziemy obejrzeć Tower - poinformował stangreta i usadowił się obok Meg.

Wstrzymała oddech na widok White Tower, wpatrzona z podziwem w fosę oraz imponujące umocnienia.

- Ta budowla jest bardzo stara - zauważyła. - Aż trudno uwierzyć, że za tymi murami doszło do tylu ważnych historycznych zdarzeń.

- Co chciałaby pani zobaczyć, pani Halgate? - Ross pomógł jej wyjść z powozu przy Bramie Zachodniej.

- Menażerię i skarbiec - zdecydowała Meg. - A Wasza Lordowska Mość?

- Ponad wszelką wątpliwość menażerię, a także zbrojownię. Jenkins, wrócimy za jakiś czas.

Gdy minęli bramę i zapłacili za wejście, Ross wsunął dłoń Meg pod swoje ramię.

- Już nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie - oznajmił.

- Powinniśmy zachować dyskrecję. - Usiłowała nie myśleć o emanującym od niego ciepłe, które wyraźnie wyczuwała pod rękawiczką i przez rękaw. - Spójrz, menażeria!

Za dodatkową opłatą w wysokości dwóch szylingów strażnik poprowadził ich wzdłuż rzędu klatek. Meg spodziewała się ujrzeć małe i ciasne pomieszczenia, ale zwierzęta miały do dyspozycji całkiem sporą przestrzeń, a klatki były starannie wysprzątane. Z przyjemnością podziwiali lwy: młodego Hektora, pannę Jenny i pannę Fanny Howe, a także niepokojącą piękną i elegancką pannę Peggy, czarną panterę. Meg wzdrygnęła się,

słyszając nieprzyjemny śmiech hieny, ale obojgu bardzo przypadły do gustu igraszki szopów praczy.

Zbrojownię zwiedzali znacznie dłużej. Meg w końcu usiadła na ławce i z uśmiechem patrzyła, jak Ross przeprowadza staranną inspekcję wszystkich eksponatów. Towarzyszący mu strażnik niespokojnie przestępował z nogi na nogę, zupełnie jakby szykował się na ostrą reprimendę z powodu przeoczonej plamki rdzy albo nienależycie wypolerowanej lufy.

- Najmocniej przepraszam, że kazałem ci czekać. Z pewnością strasznie się wynużyłaś - sumitował się Ross, gdy wreszcie zakończył zwiedzanie arsenału.

Meg doskonale wiedziała, że kompletnie o niej zapomniał.

- Ani trochę. - Wzięła go pod rękę, kiedy przechodzili do skarbcza. - Rozmyślałam o tym, że William z radością zwiedziłby to miejsce.

- W istocie, spodobałoby mu się tutaj. Meg, nie masz nic przeciwko Williamowi, prawda? - zaniepokoił się.

- Chodzi ci o to, że go uznałeś i finansujesz jego karierę? Skąd, oczywiście że nie. Moim zdaniem postąpiłeś w sposób godny podziwu, a on jest uroczym i dobrze rokującym młodzieńcem.

- Chciałem powiedzieć, że niektórzy ludzie zawsze będą uważali go za mojego syna, a nie brata.

- Wiem, że się mylą, a moje zdanie podziela każdy, kto cię zna. Niezycżliwe plotki zawsze się pojawiają, po prostu trzeba z tym żyć.

- Noszę nazwisko Brandon - oświadczył Ross. - Nie pozwolę, żeby ktoś szargał moje dobre imię i brukał honor mojej przyszłej żony, rozsiewając oszczerstwa.

- Przecież postępujesz jak należy - powiedziała Meg ze ściśniętym gardłem. - Twoja szczerść i otwartość wystarczą, by zdusić plotki. - Nie dodała, że związany z nią skandal był oparty na prawdzie i bardzo groźny w ewentualnych konsekwencjach. Wiedziała, że musi wyznać Rossowi całą prawdę, lecz jeszcze nie dzisiaj.

Wejście do skarbcza kosztowało kolejnych parę szylingów, ale widok połyskujących koron, monarszego jabłka, berła oraz miecza koronacyjnego sprawił, że Meg na chwilę zapomniała o innych sprawach.

- Kiedy pozwolisz, bym kupił ci klejnoty? - Ross chwycił ją za rękę, kiedy spacerowali po murach obronnych, spoglądając na tętniące życiem ulice miasta. - Pragnę obrzucić cię perłami, brylantami i szafirami. - Ucałował jej zaciśnięte dłonie i popatrzył jej w oczy.

Meg zarumieniała się z zakłopotania.

- O nie. - Pośpiesznie cofnęła rękę. - Nie chcę, byś mi cokolwiek kupował.

- Nie dasz mi tej przyjemności?

- Nie. - Odwróciła wzrok, wyobraziwszy sobie, jak Ross muska jej kark ciepłymi palcami, zapinając drogocenny naszyjnik wysadzany drogimi kamieniami, a potem wsuwa pierścień na jej palec. - Proszę cię, czy możemy już iść dalej? Wiatr znad rzeki jest coraz chłodniejszy.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy wracali do powozu, uśmiech Ross już się nie uśmiechał. Meg mogłaby pomyśleć, że go zraniła, ale przecież nie żywił do niej głębokich uczuć. Nie kochał jej, po prostu uraziła jego dumę. Pragnął obsypać ją kosztownościami, a ona wolałaby pocałunki.

W powozie Ross podał Jenkinsowi listę miejsc, które zamierzali odwiedzić przejazdem. Nie planował zwiedzania żadnego z nich, więc musieli traktować się z oficjalnym dystansem z uwagi na lokaja. Tak będzie bezpieczniej, powiedziała sobie Meg. W pewnej chwili opuszki ich palców zetknęły się na skórzanej tapicerce. Ross się poruszył i skraj jego palta opadł na ich dłonie, więc mogli trzymać się za rękę podczas prowadzenia uprzejmej rozmowy o widokach po obu stronach powozu.

Minęli Bank Anglii, a także ratusz, z zainteresowaniem patrzyli na stada krów i owiec przeganiane przez zatłoczone ulice na targowisko w Smithfield. Podziwiali katedrę Świętego Pawła i budynki sądów. Ross zamierzał wspomnieć Williamowi, że widzieli jego przyszłą *alma mater*. Przejechali też obok Muzeum Brytyjskiego, gdyż Meg uważała, że powinni przynajmniej rzucić na nie okiem.

Ross zacisnął palce na jej dłoni, po czym wyszukał kciukiem skrawek nagiej skóry pod guzikiem rękawiczki i pogłaskał miejsce, w którym wyczuwał tętno.

- Wasza Lordowska Mość, podjęłam decyzję - odezwała się nagle. - W związku ze sprawą, którą poruszyliśmy w Kornwalii.

Zamarł, a ona pomyślała, że wyglądał jak mężczyzna z desperacką cierpliwością oczekujący na odpowiedź ukochanej kobiety. Ale przecież nie kochał jej, tylko pragnął i z przyjemnością spędzał z nią czas. Czy to mogło zastąpić miłość? Zaraz się okaże, czy jego uczucia są dostatecznie silne, by przewyciężyć odrazę, którą poczuje po wysłuchaniu jej historii. Musiała opowiedzieć mu o sobie jak najszybciej, nim zabraknie jej odwagi.

Prowadzili nieszkodliwą pogawędkę przez całą drogę powrotną do domu przy Clarges Street. Gdy weszli do środka, Ross przekazał kamerdynerowi kapelusz, rękawiczki oraz laskę, i skierował wzrok na Meg.

- Pani Halgate, czy może pani przyjść do mnie do gabinetu?

- Oczywiście, Wasza Lordowska Mość. - Podążyła za nim z mocno bijącym sercem, powtarzając sobie, że postępuje słusznie, uwalniając Rossa od małżeńskiej propozycji. Zamierzała wyjawic, kim jest i jak potoczyły się jej losy, by w pełni pojął sytuację i podjął decyzję na nowo.

- Za pozwoleniem, milordzie - zatrzymał ich Woodward. - Pewna dama oraz dżentelmen czekają na powrót pana barona. Wyjaśniłem, że Waszej Lordowskiej Mości nie ma w domu, lecz dali do zrozumienia, iż chodzi o sprawę nie cierpiącą zwłoki.

- Przyjdę później do gabinetu Waszej Lordowskiej

Mości, dobrze? - Meg odetchnęła z ulgą, gdyż trudna rozmowa została odłożona w czasie. Nie powinna jej inicjować pod wpływem impulsu, wolała uporządkować myśli i zastanowić się, co powiedzieć.

- Dziękuję, pani Halgate.

Zachmurzony Ross sięgnął po wizytówkę na srebrnej tacy, którą podsunął mu Woodward, a Meg niemal wbiegła po schodach na piętro.

Ross skierował wzrok na bilecik, nieco rozbawiony swoim rozczarowaniem. Poczul się jak dziecko, któremu ktoś nie pozwolił sięgnąć po cukierek. Był pewien, że Meg się zgodzi. Przecież zaciskała dłoń na jego palcach, widział na jej policzkach rumieniec.

Wszystko wskazywało na to, że jest skłonna przyjąć oświadczenia. Z uśmiechem odczytał napis na kartoniku: *James Walton Halgate, The Grove, Martinsdene Parva*

- Halgate? - zdumiał się.

- Tak, milordzie. Ponieważ jednak państwo nie pytali o panią Halgate, uznałem, że to tylko zbieg okoliczności. - Kamerdyner nie wydawał się przekonany. - Pozwoliłem sobie podać gościom przekąskę.

- Bardzo dobrze. - Zaniepokojony Ross otworzył drzwi i wszedł do salonu.

Na widok gospodarza z krzesła wstał wysoki, szpakowaty mężczyzna o lekko wypłowiałych, niebieskich oczach, po chwili jego towarzysza również zerwała się z miejsca. Ross miał wrażenie, że czas stanął w miejscu, zupełnie jakby za moment trzeba było zmierzyć się z wrogiem.

- Lord Brandon?

- W istocie. Państwo Halgate, proszę usiąść. Jak mogę państwu pomóc?

- Czujemy się w obowiązku powiadomić Waszą Lordowską Mość o pewnej nader delikatnej sprawie - odezwała się pani Halgate, zaciskając usta na znak świętego oburzenia. - Jak nas poinformował sir Edmund Keay, wieloletni przyjaciel rodziny, który niedawno przeprowadził się do Falmouth, Wasza Lordowska Mość raczył zatrudnić nową ochmistrzynię.

- Sir Edmund, z którym jeszcze nie miałem okazji zawrzeć znajomości, ma słuszość - odparł Ross. - Proszę mi jednak wybaczyć, ale nie rozumiem, dlaczego interesuje go ta sprawa. - Zatem chodziło o Meg, a zbieżność nazwisk nie była przypadkowa.

Pan Halgate poczerwieniał, słysząc lodowaty ton Rossa.

- Sir Edmund poczuł się w obowiązku poinformować nas, że Margaret Shelley nieuczciwie podaje się za panią Halgate i kłamie, przedstawiając się jako żona naszego zmarłego syna.

- Nieuczciwie? - Ross zamrugnął. Nie takich informacji się obawiał. Podejrzewał, że James Halgate nie umarł na wojnie, lecz zaginął, a teraz powrócił do Anglii. Ross bał się, że Meg nadal jest mężatką, ale nigdy nie przypuszczał, by ktoś miał zarzucić jej oszustwo. - Moja ochmistrzyni kłamie?

- Margaret Shelley nakłoniła naszego biednego Jamesa do ucieczki - wybuchnęła pani Halgate. - A ten niemądry chłopiec był już wtedy żonaty, zresztą nieszczęśliwie i nieroztropnie. Kto by pomyślał, że ta mała flądra...

- Proszę pani - przerwał jej Ross. - Jest pani wzburzona, to zrozumiałe, niemniej Meg, to znaczy pani Halgate, nadal pozostaje moją pracownicą, więc nie pozwalam, by pod moim dachem nazywano ją w sposób urągający godności.

- Ta dziewczyna zawsze była dzikuską - atakowała dalej pani Halgate. - Nie re-spektowała zasad, była złośliwa i za nic miała autorytety. Uwiodła naszego syna, nakłoniła go do bigamii, a teraz ma czelność kłaść nasze szlachetne nazwisko. Jego nazwisko. - Ukryła twarz w chustce, widomy gest rozpacz.

- A co z prawdziwą wdową po państwa synu? - Ross czuł się tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy został ranny.

Z trudem chwycił powietrze i był dziwnie otepiały, choć wiedział, że powinien bardzo cierpieć. Miał jednak świadomość, że w takich wypadkach ból przychodzi później.

- Nie żyje - wyjaśnił pan Halgate ponuro. - Podobnie jak dziecko. Obawiam się, że nasz syn nader nietrafnie dobrał sobie żonę. W żadnym razie nie powinien był wiązać się z córką karczmarza. Zostali kochankami, a potem wzięli ślub, kiedy się okazało, że dziecko jest w drodze. James otrzymał jednak rozkaz wyjazdu, więc opuścił żonę. Powiedział jej, że wraca do domu, aby pogodzić się z nami. Co oczywiste, dołożylibyśmy wszelkich starań, żeby spłacić tę nieszczęsną istotę, a dziecko wziąć pod swoją pieczę i zapewnić mu należyte wychowanie. Rzecz w tym, że nikt nas nie poinformował o zaistniałej sytuacji. A potem ta lafirynda położyła łapska na naszym synu, przekonała go do porzucenia żony i dziecka. Nie mieliśmy pojęcia o istnieniu prawdziwej żony do chwili doręczenia nam listu od dowódcy Jamesa oraz załączonego do pisma testamentu. Było już jednak za późno. Taka czy inna gorączka zabiła i matkę, i dziecko. Ale fakt pozostaje faktem: Margaret Shelley uwiodła naszego syna. Doszły nas słuchy, co się stało po jego śmierci. Zwłoki biedaka jeszcze nie ostygły, a ona już się związała z innym mężczyzną. Zamieszkała z nim bezwstydnie, udając pospolitą pielęgniarkę.

- Nie była jego kochanką.

- Och, to jasne, że teraz wszystkiego się wypiera - zjadliwie zaproponowała pani Halgate. - Jak się domyślam, nie powiedziała Waszej Lordowskiej Mości prawdy o swoim małżeństwie, prawda? - Pokiwała głową, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Zatem dlaczego Wasza Lordowska Mość wierzy jej, gdy chodzi o innego mężczyznę?

Bo ufam Meg, chciał odpowiedzieć. Bo powierzyłbym jej własne życie. Tylko czemu nie wyznała mi tego wszystkiego, gdy prosiłem ją o rękę?

- Chcą państwo powiedzieć, że Meg Shelley wiedziała o poprzednim małżeństwie państwa syna i mimo to przekonała go do ucieczki oraz ślubu? - zainteresował się Ross, ignorując zadane mu pytanie.

- Oczywiście. W swoich listach James wyraźnie pisał, że, jak pamiętam słowo po słowie: „Meg wie o mnie wszystko, rozumie moje problemy i mimo to chce ze mną być”. Biedaczysko, nie umiał dochowywać tajemnicy - westchnęła pani Halgate z goryczą.

- Czego oczekują państwo ode mnie? - spytał Ross, choć sam doskonale wiedział, na co ma ochotę. Jak najszybciej znaleźć Meg, potrząsnąć i nawrzeszczyć na nią. Potem pragnął zawlec ją do swojego łóżka i wykorzystać, nasycić się nią po uszy. Oczekiwał, że Meg poczuje się tak samo okropnie jak on. Odchylił się jednak tylko na krześle i złączył palce w daszek, znad którego obserwował państwa Halgate'ów.

- Jak to czego? Niech Wasza Lordowska Mość ją wyrzuci na bruk! Żaden przyzwoity dżentelmen nie powinien zatrudniać takiej kreatury.

- Zatem chcą państwo, żeby przestała używać państwa nazwiska, a ponadto by spotkała ją kara, czy tak? - Ross zorientował się, że Meg nie jest jedyną osobą, na którą ma ochotę nawrzeszczyć.

- Jak najbardziej. - Pani Halgate nie kryła zdumienia, że nie jest to oczywiste. - Wszak rodzony ojciec wydziedziczył tę kobietę.

- Zapewne uczynił tak z powodu ucieczki - zauważył Ross, przypominając sobie, co Meg opowiadała mu o pastorze. - A co się stało z jej siostrami?

- Znikły. Wszystkie trzy zeszły na złą drogę. Nie mamy pojęcia, gdzie się podziwiają Celina i Arabella.

- Rozumiem. - Ross wstał i zamarł w milczeniu, dając państwu Halgate'om do zrozumienia, że rozmowa skończona.



- Więc co Wasza Lordowska Mość zamierza uczynić w związku z tą osobą? - zapytała pani Halgate, kiedy Ross zadzwonił po Woodwarda.

- Nie mam zwyczaju omawiać z kimkolwiek spraw związanych z moim gospodarstwem domowym. Zasugeruję jednak Meg, żeby korzystała z innego nazwiska. Nie wyobrażam sobie, by zechciała pozostać przy dotychczasowym, kiedy się dowie, jak państwo traktują jej osobę.

- Ha! Ona doskonale wie, co o niej myślimy. Proszę mi wierzyć, daliśmy jej to jasno do zrozumienia, kiedy miała czelność wystosować do nas list kondolencyjny. Jestem pewna, że chodziło jej o pieniądze. Odpisaliśmy niezwłocznie, informując, że odmawiamy przyjęcia do wiadomości jej istnienia.

- W takim razie życzę państwu miłego dnia. Woodward, odprowadź państwa Halgate'ów do drzwi.

Meg nigdy nie była mężatką, a wedle słów Halgate'ów, gdy związała się z ich synem, wiedziała, że jest już żonaty. Kłamała w sprawie swojego małżeństwa, nadal tkwiła w kłamstwie, kiedy powinna była zaufać Rossowi i powierzyć mu wszystkie tajemnice. I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą był tak szczęśliwy jak nigdy dotąd! Teraz kipiał złością. Dlaczego Meg okazała się zupełnie innym człowiekiem, niż sądził?

- Woodward! - krzyknął, a kamerdyner zatrzymał się na korytarzu. - Zechciej łaskawie poprosić panią Halgate do mojego gabinetu.

Nie zamierzał tolerować kłamstw. Musiał wyjaśnić tę sprawę do końca, bo tylko tak mógł opanować wściekłość i ból.

Meg zastukała i weszła do środka, nie czekając na zaproszenie. Czuła, jak jej żołądek ściska się ze zdenerwowania, ale wiedziała, co musi zrobić. Postanowiła usiąść i opowiedzieć Rossowi o tym, jak zakochała się w Jamesie, o długich miesiącach samotności, gdy pojechał do Londynu i nie odzywał się ani słowem, o euforii, kiedy do niej powrócił, o smutnych chwilach w domu, o ucieczce, w ogóle o wszystkim. Wierzyła, że Ross ją zrozumie.

Jej odwaga nieco osłabła, gdy odwrócił się od okna i spojrzał jej w oczy. Miał kamienną twarz, ale płonący wzrok.

- Właśnie miałem wątpliwą przyjemność gościć panią Halgate - oznajmił.

- Jak to? - Zamrugwała ze zdumienia. - Żonę Jamesa? To ona nie umarła?

- Jak rozumiem, nie żyje ani jego żona, ani dziecko.

Dziecko? Meg osunęła się na krzesło, kiedy ugięły się pod nią kolana.

- W takim razie... kto?

- Rodzice świętej pamięci porucznika Halgate'a. Ludzie, którzy nie uznali cię za synową, kiedy Halgate zginął. - Ross oparł się biodrem o biurko. - Ich zdaniem powinienem wyrzucić cię na bruk.

- Zamierzałam powiedzieć ci wszystko i wyjaśnić...

- Doprawdy? - przerwał jej szorstko. - Meg, szkoda, że nie chciałaś porozmawiać ze mną wcześniej. Odnoszę wrażenie, że postanowiłaś mnie oszukiwać od chwili wejścia na pokład statku. Dlaczego przedstawiałaś się nazwiskiem, do którego nie masz żadnych praw?

- Bo przedstawiałam się nim przez pięć i pół roku! Tyle lat spędziłam z Jamesem jako jego żona. Gdy braliśmy ślub, nie wiedziałam, że jest żonaty. Dzisiaj zamierzałam opowiedzieć ci o wszystkim.

- Nie wyjawiałaś prawdy na statku ani wtedy, gdy proponowałem ci zatrudnienie. Nie zająknęłaś się o tej historii, gdy zasugerowałem, byś została moją utrzymanką, ani wtedy, kiedy poprosiłem cię o rękę.

- Nie wiedziałem, jak się do tego zabrać... - wyznała szczerze.

- Dlaczego mi nie zaufałaś? - Wziął do ręki pióro i zaczął toczyć je między palcami. - Wiesz, jak Halgate'owie mnie znaleźli? Są znajomymi jednego z moich sąsiadów, który napisał do nich list z ostrzeżeniem, że wróciłaś do Anglii, nadal udajesz żonę ich syna i najwyraźniej mydlisz oczy niejakiemu lordowi Brandonowi. Zapewne ów sąsiad uznał, że znam całą prawdę, lecz się nią nie przejmuję.

- O niczym nie wiedziałam, gdy James brał mnie za żonę - podkreśliła po chwili milczenia. - Mówię prawdę...

- Kochałaś tego człowieka i nie naszły cię żadne podejrzenia? - Ross z suchym trzaskiem złamał drewniane pióro.

- Byłam niewinną i naiwną romantyczką. Sądziłam, że kocham Jamesa. - Teraz naprawdę kocham ciebie, pomyślała z rozpaczą. Proszę cię, nie psuj tego.

- Zatem zmieniłaś się nie do poznania, Meg. Teraz jesteś do bólu praktyczna. Gdy straciłem przytomność, chwyciłaś mnie i nie puściłaś, byle tylko dostać się do Anglii. Ciekawe, jak bym skończył, gdyby ten sprytny plan nie przyszedł ci do głowy? Pewnie wylądowałbym na jakiejś mierzei jako pokarm dla krabów.

Meg wstała z wysiłkiem.

- Minęły lata, nim nauczyłam się myśleć praktycznie i dbać o siebie oraz o człowieka, który wcale nie okazał się ideałem, co naiwnie zakładałam. A potem, gdy jego zdrada wyszła na jaw, mogłam dać za wygraną i umrzeć... albo zacząć się sprzedawać. Wybrałam jednak życie, choć samotna kobieta nie ma łatwo, Ross. Przedstawiając się jako mężatka, mogłam liczyć na niewielką co prawda, ale jednak jakąś ochronę, szacunek. Dzisiaj zamierzałam wyjawić ci całą prawdę i zaproponować, byś wycofał się z oświadczeń. Oczywiście możesz dać wiarę zbolełym rodzicom, których jedyny syn, nim zginął, głęboko ich rozczarował. Biedacy muszą kogoś obarczyć winą, przecież stracili także wnuka. - Z trudem zachowywała spokój. - Czy mogę już iść?

- Za chwilę... - Chwycił ją w ramiona. Miał gorące i twarde wargi, ale w pełni panował nad sytuacją, kiedy całował Meg w usta, jedną ręką obejmując ją w talii, a drugą przytrzymując jej głowę. Smakował złością i żądzą, ale również dezorientacją. Także Meg walczyła ze sprzecznymi uczuciami. Zarazem chciała wydrapać mu oczy, jak i rozpląnąć się w jego objęciach. - Meg, chcę ci zaufać - wydyszał po chwili. - Pragnę cię, ale...

Zrozumiała, że ten pokaz męskiej dominacji był dla niego równie wyczerpujący jak dla niej.

- Ale? - spytała, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła.

Po powrocie do swojego pokoju zamknęła drzwi na klucz i z podkulonymi nogami usiadła na podłodze.

Kochała Rossa, lecz go straciła. Nie wierzył jej, nie ufał... Gdyby było inaczej, odprawiliby Halgate'ów z kwitkiem, a on nawet o nią nie walczył.

Przycisnęła twarz do kolan i zalała się łzami.

## Rozdział dwudziesty

- Pani Halgate!

Pukanie do drzwi wyrwało Meg z płytkiego snu. Ciężko wstała z podłogi i usiadła na skraju łóżka.

- Pani Halgate, proszę pani!

- Damaris, okropnie boli mnie głowa - odkrzyknęła drżącym głosem.

- Och, najmocniej przepraszam, proszę pani - zmitygowała się pokojówka. - Może coś przynieść? Herbaty albo naparu?

- Nie, dziękuję.

- No, to dam pani spokój, niech się pani wyśpi. Ale nie wie pani, dokąd poszedł pan baron? Wyszedł tak nagle i bez słowa, a Perrott się zastanawia, jakie mu wyszykować ubranie na wieczór.

- Przykro mi, Damaris, ale nie mam pojęcia.

Pomyślała, że jak na jej gust to mógłby iść do diabła.

Była wściekła na Rossa, na Halgate'ów i na Jamesa. Na całym świecie tylko siostry ją kochały i darzyły zaufaniem, więc musiała je znaleźć. Doszła do wniosku, że skoro mieszkańcy wsi nie chcieli mówić z Jagonem, to może zgodzą się porozmawiać z nią.

Gdy jechali do Londynu, z przyzwyczajenia spakowała cały swój dobytek. Teraz zdjęła z siebie ubranie i położyła na pościeli wszystko, co zostało kupione za pieniądze Rossa. Potem włożyła starą bielizną oraz suknię, odliczyła pieniądze, które należały się jej za pracę, a pozostałe wysypała na ubrania, zapisawszy na kartce dokładną sumę. Na koniec spakowała do walizki swoje dawne rzeczy, włożyła stary czepek, owinęła się szalem i uchyliła drzwi.

W holu było pusto, więc podbiegła do drzwi wejściowych i wysliznęła się na ruchliwą ulicę, a po chwili wahania zatrzymała dorożkę.

- Ludgate Hill, Belle Sauvage - poinstruowała woźnicę.

Ross obudził się z potwornym kacem. Tępo patrzył w sufit, usiłując przypomnieć sobie, ile wypił i dlaczego. Meg.

Usiadł gwałtownie i sięgnął po dzwonek. Wyglądało na to, że zalał się w trupa w kasynie przy St James's, przy okazji wygrywając znaczną sumę w karty.

- Dzień dobry, Wasza Lordowska Mość. - Perrott cicho wszedł do sypialni i podał mu szklankę płynu o barwie brązowawych pomyj. - Mój poprzedni pracodawca święcie wierzył w ten specyfik.

Ross zawahał się, ale wychylił napój duszkiem. Momentalnie zakręciło mu się w głowie, a zawartość żołądka podeszła pod gardło, jednak o dziwo, po kilku sekundach poczuł się lepiej.

- Która godzina? - zapytał.

- Druga, Wasza Lordowska Mość. Mam kazać przynieść wannę?

- Wannę i zimną wodę. Potem kawę.

Polewanie lodowatą wodą okazało się kuracją paskudną, ale skuteczną. Kiedy dodatkowo uraczył się dwiema filiżankami kawy, jego umysł odzyskał względną sprawność. Niestety, Ross przypomniał sobie ze szczegółami, dlaczego tak okropnie się spał.

Musiał natychmiast porozmawiać z Meg. Przecież zamierzała dać mu sposobność wycofania się z oświadczeń, a zarazem była gotowa je przyjąć, jeśli jej wybaczy. Powinien uwierzyć w jej szczerą, bo tylko wtedy wszystko nabierało sensu. Wcale nie zamierzała go usidlić, po prostu pragnęła go zaakceptować i dopiero potem wyjawic głęboko skrywaną tajemnicę. A skoro była gotowa wyjść za niego nawet za cenę wyznania bolesnej historii, to zapewne go kochała...

- Ty cholerny idioto. - Wpatrywał się ponuro w przestrzeń.

- Wasza Lordowska Mość?

- Nie mówię do ciebie, Perrott, tylko do siebie. Gdzie jest pani Halgate?

- Zapewne w swoim pokoju, Wasza Lordowska Mość. Damaris mówiła, że pani Halgate poczuła się wczoraj źle, więc poszła do siebie. Potem już się nie widziały.

Po grzbiecie Rossa przebiegł lodowaty dreszcz. Rzucił się biegiem do pokoju Meg, gwałtownie załomotał, ale w środku panowała grobowa cisza. Otworzywszy drzwi, ujrzał w sypialni nieskazitelną porządek. U stóp łóżka leżał starannie ułożony stosik ubrań oraz pieniądze i kartka papieru.

Ross chwycił ją nerwowo.

- Och, dobry Boże. - Damaris stanęła na progu i rozejrzała się nerwowo. - Milordzie, pani Halgate powiedziała, że strasznie boli ją głowa, więc nie wchodziłam, żeby jej nie przeszkadzać. Myślałam, że po mnie zadzwoni, wtedy bym weszła. Co to, napisała list? - spytała pokojówka, dostrzegając papier.

- Odeszła, zostawiając rozliczenie swoich zarobków.

Ross wyszedł na korytarz i wychylił się przez poręcz.

- Woodward!

- Wasza Lordowska Mość? - Kamerdyner pojawił się w holu.

- Dokąd udała się pani Halgate?

- Nie wiedziałem, że wyszła.

Ross zacisnął pięści.

Gdzie jesteś, Meg? - pomyślał z rozpaczą. Wróciłaś do Kornwalii? Nie, bo nie miała tam czego szukać. Więc dokąd pojechała? Dokąd mogła się udać młoda kobieta bez przyjaciół, bez referencji i z żałośnie małą sumą pieniędzy w torebce?

Podróż zdawała się trwać w nieskończoność. Dylizans z Ludgate Hill był zatłoczony i śmierdzący, więc z ulgą wysiadła w Ipswich, gdzie znalazła miejsce w wozie dostawczym zmierzającym do Framlingham. Postanowiła zatrzymać się tutaj na noc, gdyż była zbyt zmęczona i głodna, żeby szukać kogoś, kto przewiezie ją jeszcze ponad sześć mil do Martinsdene.

Gdy następnego dnia jakiś rolnik podrzucił ją do rodzinnej wsi, w pierwszej kolejności skierowała się do gospody Royal George.

- Dzień dobry, panie Wilkins. Potrzebuję pokoju na dwie noce - wyjaśniła.

- Tak jest, proszę pani. - Oberżysta odłożył ściereczkę, którą czyścił kufle, i uśmiechnął się, prezentując szczyrby po wyrwanych zębach. - Mamy ładny pokój z widokiem na zieleń... Och... Panna Margaret! A niech mnie, podobno uciekła pani z młodym Halgate'em!

- Ale wróciłam. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Cieszę się, widząc pana w pełnym zdrowiu.

- Ożeniłem się z Jenny North. Pamięta ją pani? Jesteśmy razem już od pięciu lat i mamy trzech chłopaków, naprawdę wspaniałych. Ale dlaczego chce pani tutaj zostać?

- Zapewne nie będę mile widziana w parafii, ale muszę znaleźć siostry.

- To dziwna sprawa, panno Margaret, bardzo tajemnicza. - Wilkins ponuro pokiwał głową.

Po godzinie spekulacji i plotek Meg poznała tylko te same wieści, które wcześniej uzyskał pan Jago.

- Rzecz jasna, odwiedzę ojca - poinformowała Wilkinsa, kiedy niósł jej walizkę na górę. - Wolą mówić szczerze i otwarcie, żeby plotkarze mieli konkretne informacje do komentowania.

Dom pastora wyglądał tak samo jak w dniu jej wyjazdu. Weszła boczną furką i przemknęła się przez zadbane ogród do kuchennych drzwi.

Pani Philpott, kucharka, wydawała się jeszcze tęższa, niż zapamiętała Margaret.

- Dzień dobry, pani Philpott - powiedziała Meg.

Kucharka odwróciła się raptownie i wytrzeszczyła oczy.

- Panna... panna Margaret! - Zalała się łzami, ukrywając twarz za fartuchem.

- Proszę, nie pani się uciszy i weźmie w garść. - Meg potrząsnęła nią lekko, a pani Philpott przestała histeryzować i ograniczyła się do pochlipywania. - Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, gdzie są moje siostry.

- Cóż to za harmider? - Drzwi się otworzyły i na progu stanął wielebny Shelley. - Usiłuję napisać jutrzejsze kazanie... - Zamarł. - Margaret!

- Ojciec... - Wstrzymała oddech.

Wróciła do domu, który opuszczała jako wyrodna córka. Czy pastor jej wybaczy? Czy miała jeszcze szansę ponownie go pokochać?

- Co tu robisz, grzeszne dziecko?

W gardle wyrosła jej gula. A zatem nie było mowy o wybaczeniu, musiała się pogodzić z odrzuceniem. Nie miała jednak zamiaru płakać.

- Gdzie są Arabella i Celina? - spytała stanowczo, spoglądając ojcu w oczy.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Pograżyły się w grzechu, podobnie jak ty, nie mam co do tego żadnych złudzeń. Nie udało mi się wygnać z was niegodziwości i teraz muszę dźwigać to brzemie.

Meg przez chwilę stała nieruchomo, a potem bez słowa wyszła. Musiała znaleźć inny sposób uzyskania informacji o siostrach.

Z opuszczoną woalką usiadła w ostatnim rzędzie kościelnych ławek, kiedy pastor wychodził z zakrystii, aby odprawić mszę, która okazała się kojąca, choć kazanie było oschłe i pełne aluzji do grzesznej człowieczej natury, przez co bardzo kontrastowało z ciepłymi, porywającymi frazami wielebnego Hawkinsa.

Po zakończeniu nabożeństwa, gdy wierni wstali z miejsc, aby rozejść się do domów, Meg stanęła przed drzwiami kościoła i odrzuciła woalkę.

- Za pozwoleniem, czy mogę wszystkich prosić o uwagę? - spytała tak głośno, że ludzie umilkli i ze zdumieniem skierowali na nią spojrzenia. - Nazywam się Margaret Shelley i poszukuję moich sióstr. Czy ktoś z państwa może mi pomóc? Jeśli wiedzą państwo cokolwiek na ich temat, bardzo proszę powiedzieć mi o tym. Interesują mnie nawet pozornie błahe informacje. Do jutra pozostaję w gospodzie Royal George i byłabym wdzięczna, gdyby państwo...

Nagle zorientowała się, że ludzie kierują spojrzenia na drzwi kościoła. Odwróciła się i ze zdumieniem ujrzała wysokiego mężczyznę, który stał nieruchomo przy kropielnicy.

Ross, pomyślała oszołomiona, a ktoś w kościele głośno westchnął.

- Co to ma być? - krzyknął pastor, wyłaniając się z zakrystii. - Margaret, oczekuję, że natychmiast opuścisz kościół!

- To nie jest prywatna własność wielebnego, lecz dom boży - zdecydowanym tonem powiedział Ross i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. - Panna Shelley nie otrzymała odpowiedzi na zadane pytanie. Przypominam więc, że do jutra można zastać ją w gospodzie i będzie zobowiązana, jeśli udzieli nam państwo pomocy w tej ważnej sprawie.

- A kimże pan jest, żeby zakłócać spokój tego miejsca? - spytał wrogo wielebny Shelley, zbliżając się do córki.

- Nazywam się Brandon - obwieścił Ross dobitnie. - A ta dama, jak miemam, wkrótce zgodzi się zostać moją żoną.



- Ale przecież... - wykrztusiła zdezorientowana. - Po naszym ostatnim spotkaniu sądziłam, że Wasza Lordowska Mość błędnie zinterpretował swoje uczucia do mnie.

- Nie uświadamiałem sobie, jakie są naprawdę. - Popatrzył jej głęboko w oczy. - Brałem pod uwagę kilka istotnych powodów, dla których powinniśmy wziąć ślub, ale nie zakładałem, że cię kocham.

- Kochasz mnie? - Przez salę przetoczyło się zbiorowe westchnienie, a Meg przypomniała sobie, gdzie się znajdują. - Ross, nie jesteśmy sami. Powinniśmy porozmawiać o tym gdzie indziej.

- W żadnym razie. Pragnę wyjawic swoje intencje w obecności świadków. - Ross wcisnął kościelnemu w ręce kapelusz oraz rękawiczki, a następnie podszedł do Meg, ukląkł przed nią na jedno kolano i przycisnął jej dłoń do ust. - Margaret Shelley, czy uczynisz mi zaszczyt i zechcesz zostać moją żoną? Kocham cię sercem i duszą.

Ktoś wybuchnął płaczem, a pastor wybełkotał coś niezrozumiale. Meg widziała jednak wyłącznie uśmiech Rossa i namiętność w jego oczach.

- Och, tak. Tak, wyjdę za ciebie, Ross. Za bardzo cię kocham, żeby nie być twoją żoną - wyznała.

Wstał i wsunął jej dłoń pod rękę.

- W takim razie dzięki tobie jestem szczęśliwszy, niż na to zasługuję. - Odwrócił się razem z nią i stanęli naprzeciwko pastora. - Czy chcesz, by twój ojciec udzielił nam ślubu?

Spojrzała na ojca, licząc na to, że dostrzeże na jego obliczu choćby cień aprobaty lub wybaczenia, lecz pastor patrzył na nią pustym, obojętnym wzrokiem.

- Nie - odparła po chwili. Musiała iść naprzód, nie wolno jej cofać się do punktu wyjścia. - Chcę wrócić do domu, do Kornwalii. Pragnę wziąć ślub w naszym kościółku, przed wielebnym Hawkinsem. Niech panna Hawkins fałszuje na organach, niech Lily będzie moją druhną, a stary Billy doprowadzi mnie do ołtarza.

- I niech William będzie drużbą - dodał ze śmiechem Ross. - Jutro wracamy do domu, ukochana. - Rozejrzał się po kościele. - Dziękuję wam, przyjaciele. Jeśli pomożecie mojej narzeczonej, będziemy wam bardzo zobowiązani.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

- Wszystko sprowadza się do tego, że ktoś widział, jak w sobotę Bella płacze w leśnej dolince. Następnego dnia przyszła do kościoła, gdzie ludzie zauważyli, że jest blada i skonfundowana. Po mszy przepadła bez śladu. Och, i jeszcze jedno. Kiedy widziano ją zapłakaną, nie miała na głowie czepka - podsumowała Meg. - Ponadto wszyscy zgodnie utrzymują, że żaden mężczyzna nie zalecał się do Liny. - Zerknęła do sporządzonych przez Rossa notatek, które leżały na bufecie w gospodzie. Przez całe popołudnie przyjmowali parafian, z obawy przed pastorem zakradających się tylnym wejściem.

- Chyba musimy dać za wygraną, ukochana. - Ross pozbierał papiery. - Pozostawię gospodarzowi nasz adres i obiecuję sowitą nagrodę za nowe informacje. O, właśnie idzie. Mam nadzieję, że kolacja jest już gotowa i czeka w osobnej jadalni.

Gdy tylko przeszli do saloniku, chwycił Meg w ramiona.

- Och, Ross - szepnęła. - Naprawdę mnie kochasz? Po tym, co się zdarzyło w Londynie? Po tym, czego się dowiedziałeś?

- Chcę cię pocałować. - Przywarł wargami do jej ust. - Bałem się, że już nigdy nie będę mógł tego zrobić.

- Kiedy zrozumiałeś, że mnie kochasz? - Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Gdy odeszłaś, a ja przeraziłem się, że straciłem cię bezpowrotnie. - Ktoś zapukał, a otwierające się drzwi uderzyły Rossa w plecy. - To pewnie nasza kolacja.

Meg wyplątała się z jego uścisku i usiadła przy stole, a do środka weszła Jenny Wilkins z tacą pełną smakołyków, które rozstawiła na stole. Po chwili wyszła, uśmiechając się domyślnie.

- Muszę ci coś wyjaśnić - podjęła nieśmiało Meg. - Nie powiedziałam ci o Jamesie i o moim małżeństwie, które nie było małżeństwem, gdyż był to dla mnie zbyt bolesny temat. Nikt nigdy nie prosił mnie o wyjawienie prawdy, nikt nie chciał wiedzieć, co czułam, gdy z nim uciekłam i jak się nam układało po ślubie. Dlatego ukrywałam prawdę, a im więcej czasu mijało, tym trudniej było mi o niej mówić. Używałam nazwiska Halgate, bo kim innym byłam?

- Rozumiem, kochanie.

W oczach Rossa dostrzegła przejęcie i współczucie.

- Nie przypuszczałam, że w Kornwalii ktoś mnie rozpozna - mówiła dalej. - Jako twoja ochmistrzyni czułam się bezpieczna.

- A potem poprosiłem cię o rękę. Przepraszam, że się rozzłościłem, poznawszy twoją historię. Powinienem był zapanować nad emocjami. Byłaś młoda, porywcza i niewinna, więc nie jesteś winna temu, że ktoś cię oszukał. Każdy, kto spróbuje cię skrytykować, będzie miał do czynienia ze mną.

- Naprawdę nie przeszkadza ci moja przeszłość? - upewniła się z nadzieją.

- Gdyby porucznik Halgate wciąż żył, wyzwiałbym go na udeptaną ziemię, ponieważ jednak umarł, sprawę uważam za zamkniętą. - Ross obrócił się na ławie, a Meg usiadła mu na kolanach. - Czyżbyś czyniła do mnie awanse, moja piękna? W świetle dnia, przy jedzeniu?

- Czyżbyś zamierzał czekać do ślubu? - spytała z obłudnie niewinnym uśmiechem.

- W żadnym razie nie wytrzymam miesiąca czy nawet półtora, aż staniemy przed ołtarzem. Zamierzam urządzać wystawne wiejskie wesele, a to wymaga czasu i pracy. A jednak z uwagi obyczajność muszę wytrzymać. I ty też, moja droga. Dlatego na ten czas musimy ogłosić celibat.

Powiedział to tak dobitnym tonem, że na moment zamarła. Dopiero po chwili dostrzegła błysk w jego oczach. A zatem przekomarzał się z nią!

- Ross, jesteś niepoprawny - oznajmiła z niekłamaną ulgą.

- To prawda. - Wstał, trzymając ją w objęciach. - Więc razem bądźmy niepoprawni, dobrze?

- Jestem, jak najbardziej za!

Kiedy opuszczali granitową kruchę, spomiędzy drzew prześwitywały jaskrawe promienie słońca, zdobiąc jasnymi plamami zacienione groby, które zapełniały przestrzeń wzdłuż okolicznych ścieżek.

Wszyscy okoliczni mieszkańcy zebrali się przed kościołem i ustawili przy drózkach, żeby obrzucać nowożeńców płatkami róż oraz ryżem, klaskać i wiwatować.

Meg zatrzymała się, obdarzając uśmiechem gości, którzy szli za nią i za Rossem. William, elegancki niczym londyński dżentelmen, puchł z dumy w roli drużby. Lily, pogodna i urocza, wpatrywała się w nią ze łzami w oczach, a zdumiewająco czysty stary Billy paradował we fraku. Przy nodze emerytowanego kłusownika i przemytnika warował łaciaty pies z obrozą ozdobioną kwiatami.

- To nasza rodzina, lady Brandon - wyszeptał Ross. Jednocześnie skierowali wzrok w górę, gdzie pod kwiecistą murawą spoczywał Giles, a potem Meg ponownie się odwróciła i cisnęła kwiaty za siebie, dyskretnie celując w stronę Lily, gdyż krążyły pogłoski, że interesuje się nią jakiś adorator. - Twoje siostry są z nami duchem. Nigdy nie przestaniemy ich szukać.

- To nie jest cała nasza rodzina. - Położyła dłoń na brzuchu. - Tyle że niektórych Brandonów jeszcze nie widać.

- Meg? Dziecko? - spytał z niedowierzaniem, a zarazem niebotycznym szczęściem.

- Wszystko na to wskazuje. - Wzięła go pod rękę.

- W takim razie wracajmy do domu, żeby wypełnić go miłością do naszej córki.

- Albo syna - dodała Meg, kiedy wspinali się do oczekujących nad doliną powozów.

- Do nas wszystkich. - Ross przystanął, żeby ująć w dłonie twarz Meg i pocałować ją w usta.

Goście nagrodzili państwa młodych hucznymi oklaskami, płosząc ukryte w krzakach kawki, które w panice por frunęły ku niebu. Po dłoniach Rossa popłynęły łzy szczęścia Meg, ciepłe i delikatne niczym kornwalijski deszcz.

